

MAŁGORZATA ŻUBER-ZIELICZ
ZHP W CIENIU BOGA
I LUSTRACJI

KARY ZA LEKARZY
PRZEBIERAŃCÓW
W REKLAMACH

JAK BUDOWANO NOWĄ HUTĘ
- WYTRZYMALI NAJTWARDZI

POLACY UPRZEJMIE
DONOSZĄ

MAMY DOŚĆ CHCEMY MIESZKAŃ



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311201

28

2022

MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE 2.07-27.08.2022

www.jazznastarowce.pl
facebook.com/festiwaljazznastarowce

Organizator

Partnerzy

Partnerzy

Partnerzy

Partnerzy

Partnerzy

JAZZ ART
FUNDACJA

MIĘDZYNARODOWY CENTRUM
MUSYKI STARÓWCE

Urząd
Miejscowości

Urząd
Miejscowości

Starówce

ZO'KS

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce

Starówce



Autocenzura

W tę informację trudno było uwierzyć. Nawet mnie. Choć mogę korzystać z wielu, także zagranicznych źródeł. A co mogą myśleć ci z dostępem tylko do mediów, które pokazują wyłącznie bohaterską walkę Ukraińców z najeźdźcą? Ani mi w głowie kwestionowanie tej walki. I równie obca jest mi jakakolwiek aprobata dla wojny, która niesie śmierć i ogromne zniszczenia. Po tym wstępie chcę podkreślić, że zadawanie przez dziennikarzy w sumie dość oczywistych, choć niewygodnych pytań powinno być czymś naturalnym. Od mediów nie można żądać bezkrytycznego stosunku do Ukrainy. Choć w większości takie właśnie są. Ich wybór. W Polsce duże i wpływowe media przyjęły na siebie rolę pasa transmisyjnego propagandy ukraińskiej i powtarzają za nią oficjalne oświadczenia. Bezrefleksyjnie. Nie mają pytań, które poszerzałyby wiedzę odbiorców. Widać, że boją się nawet cienia wątpliwości. W tych mediach Ukraina ciągle wygrywa. Znalaziono generałów, którzy pokazują te zwycięstwa na mapach.

Generałowie zawsze i chyba wszędzie wygrywają. Na mapach. Gorzej jest w realu. Bo na prawdziwych wojnach wszyscy kłamią. Dostłownie wszyscy. Powinni o tym pamiętać zwłaszcza dziennikarze. Bo to nam ludzie pamiętają, co napisaliśmy.

Skutkiem tej jednostronności jest mizerna wiedza Polaków o wielu problemach związanych z samą wojną

i sytuacją na i wokół Ukrainy. W efekcie czego tak szokuje informacja z „Rzeczpospolitej”, która pisze o wielkiej korupcji i łapówkach, które pozwoliły po 24 Lutego wyjechać z Ukrainy przez Polskę ponad 430 tys. mężczyzn w wieku 18-60 lat. A jeśli do tego dodać mężczyzn wyjeżdżających przez Rumunię i Mołdawię, to mamy masowe złamanie dekretu o stanie wojennym prezydenta Zełenskiego. Problem o porażającej skali. Łapówki płacili Ukraińcy swoim, czyli ukraińskim pogranicznikom. Polacy, choć mam nadzieję, że akurat w tym procederze nie biorą udziału, też mają coś na sumieniu. Hipokryzję. Udajemy, że nie wiemy, kim są te tysiące mężczyzn w sile wieku, pracujących w Polsce na budowach, w rolnictwie, transporcie itp. Wystarczy, że są tańsi od innych, i już przykrywa ich czapka niewidka. Wiedza o tym zjawisku jest powszechna. Ale nie w mediach.

I jeszcze jedno. Władze z honorami pożegnały ambasadora Andrija Deszczycę. Wzięto chyba pod uwagę tylko ostatnie trzy miesiące jego misji. Ja jednak pamiętam, że przez osiem lat jego kadencji relacje polsko-ukraińskie były bardzo trudne. Nie tylko IPN odbijał się od zaryglowanych drzwi. Podobnie było w wielu obszarach gospodarczych. Deszczyca twardo bronił interesów Ukrainy. W wielu sprawach kosztem naszych.



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Mieszkanie to nie towar**
Młodzi ludzie mają dość
- 12 Milionowe kary dla przebierańców**
Lekarze z dala od reklamy
- 14 Z zawiści, zemsty,
bezinteresownej niechęci**
Polacy kochają donosy
- 16 Polskie mrzonki o odbudowie Ukrainy**
Nasze firmy nie zarobią
- 44 A dąb rośnie od świata do świata**
Europejskie Drzewo Roku 2022
- 47 Architektura bez kobiet traci**
– rozmowa z Agatą Twardoch

ZAGRANICA

- 20 Ryk Iwa**
Mélénchon – człowiek spoza systemu
- 24 Wojenna gorączka**
Świat się zbroi

OPINIE

- 28 Małgorzata Żuber-Zielicz**
ZHP w cieniu Boga i ilustracji
- 32 Piotr Kimla**
Rozważania w kontekście wojny w Ukrainie

HISTORIA

- 34 Zerwane łańcuchy**
Powrót Polski na Góry Śląsk
- 38 W kufajkach i gumiakach**
Na budowie Nowej Huty

KULTURA

- 40 Bez dwóch zdań przyszedł czas na zmiany**
– rozmowa z Jowitą Budnik
- 43 Culturalia**
- 66 Marzyn z Krzeszowic**

ZDROWIE

- 50 Polski zgrzyz**
– rozmowa z dr n. med. Beatą Tokarczuk

ZWIERZĘTA

- 54 Tacierzyństwo**
Większość zwierząt nie poznaje ojca

OBSERWACJE

- 58 Piąta ćwiartka**
– rozmowa z Magdaleną Kasprzyk-Chevriaux

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Autocenzura
- 19 Andrzej Romanowski**
Do ostatniego Ukraińca
- 23 Roman Kurkiewicz**
Niech rozkwita milion bomb
- 37 Tomasz Jastrun**
Zaćma starcza
- 57 Wojciech Kuczok**
Wymiary opóźnień



BEZ DWÓCH ZDAŃ PRZYSZEDŁ CZAS NA ZMIANY

– rozmowa z Jowitą Budnik



ARCHITEKTURA BEZ KOBIEC TRACI

– rozmowa z Agatą Twardoch



TACIERZYŃSTWO

Większość zwierząt nie poznaje ojca

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. PIOTR BŁAWICKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK



f Groźne skutki forsowania amerykańskiej „wojny zastępczej”

Znakomity artykuł. Rosja zajmie jeszcze trochę terenu Ukrainy, gdzie większość mieszkańców to Rosjanie, a to spowoduje odcięcie Ukrainy Zachodniej od morza, a Ukraina Zachodnia bez Ukrainy Wschodniej dla Zachodu ma taką wartość jak samochód bez silnika. To spowoduje, że w innym układzie władzy w Kijowie będzie możliwy powrót do rozmów pokojowych. Na pewno będzie to trwało latami. Dzisiaj Zachód jest coraz bardziej w ślepych zaułku.

Andrzej Kościański

Bez względu na wszystko Ukraińców czeka cierpienie. Na wojnie są tylko ofiary.

Sebastian Wójcik

Ciekawe, jak byłoby na świecie, gdyby USA zajęły się swoimi sprawami, a nie misjami pokojowymi. I oczywiście innymi pokojowymi działaniami.

Waleria Lubner

f Polki nie chcą rodzić. I mają rację

Żadna metoda nie zadziała, bo ludzie nie ufają państwu. Najważniejszą rzeczą, którą ludziom zabrała „wolna” Polska, było poczucie bezpieczeństwa i stabilności. „Demokracja” z dnia na dzień pozbawiła ludzi wszystkiego. Bohaterowie również waszej redakcji jednym pociągnięciem długopisu wyrzucili pół miliona pracowników na margines społeczeństwa, a potem puścili na nich psy gończe „wolnej” prasy. Teraz wy piszecie, że ktoś rzucił im ochłapy. Dla kogoś, komu „wolna” Polska obiecywała 3 zł/godz., 500 zł to niewyobrażalne pieniądze. Program 500+ nie zadziałał, bo 30 lat „demokratycznej” tresury nauczyło ludzi, że wrócą liberalowie z PO czy SLD i zabiorą. A dziecko zostanie. Dziecko, któremu ojczyzna nie zapewni ani edukacji, ani leczenia, ani pracy, ani domu.

Na emigracji Polacy się rozmnażają. Dziwne, prawda? Natomiast dzięki cytatom z wzorcowych „Wysokich Obcasów” dowiedziałem się, że moja żona nie wychowała dwojga dzieci, tylko

wykonała „pracę reprodukcyjną”. Taki poziom dyskusji o reprodukcji za PRL za-rezerwowany był dla Telewizyjnego Technikum Rolniczego.

Zdzisław Nowak

✉ Czy pracodawcy powinni móc kontrolować trzeźwość pracowników?

Pytanie powinno brzmieć: „Kiedy w końcu będziemy mogli sprawować realną kontrolę nad poczynaniami pracodawców względem pracowników?”. W Polsce mobbing jest tak powszechny jak sama praca, a proces antymobbingowy to jawna kpina.

Grzegorz Soboń

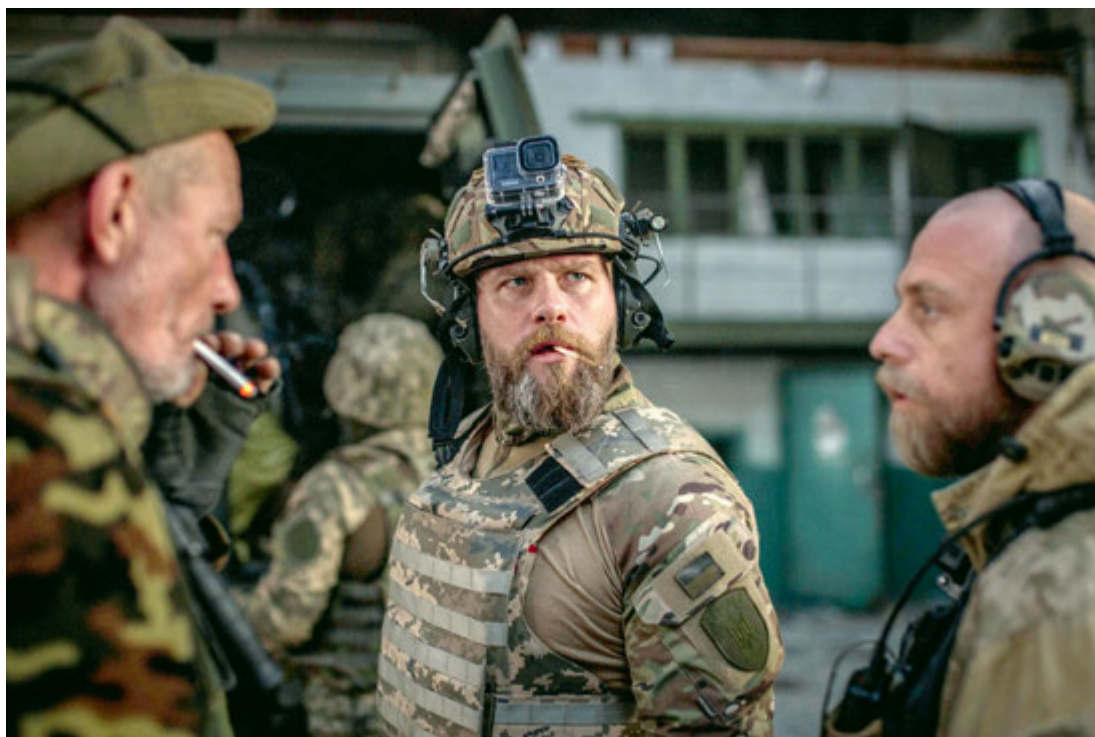
Tak, ale... Zdarzyło mi się widzieć i nietrzeźwych pracodawców. I kto kogo wtedy mógłby kontrolować?

Ewa Wesółowska

Tak, ponieważ pracodawca odpowiada za bezpieczeństwo swoich pracowników. AS



ZDJĘCIE TYGODNIA



Ukraińscy żołnierze podczas walk o Siwieronodoneck w obwodzie ługańskim.

Andrzej Mleczko, wybitny artysta i znakomity satyryk, którego rysunki od lat drukujemy na łamach „Przeгляdu”, obchodzący w tym roku 50-lecie pracy twórczej, otrzymał tytuł **Honorowego Obywatela Miasta Krakowa**. Jego charakterystyczna kreska i przewrotne puenty rozśmieszają nas w trudnych czasach. A w Polsce czasy są zwykle trudne. Mleczko bawi, ale też uczy. Andrzej, serdecznie gratulujemy Honorowego Tytułu.

W Krakowie na Światowym Kongresie Tłumaczy Literatury Polskiej nagrody Transatlantyk za lata 2020 i 2021 wręczono trójce laureatów. Otrzymali je: **prof. Ewa Thompson** – literaturoznawczyni, urodzona w Kownie, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, która w latach 60. wyjechała do USA i wychowała tam kilka pokoleń filologów oraz slawistów, **prof. Tokimasa Sekiguchi** – tłumacz polskiej klasyki i emerytowany profesor Tokijskiego Uniwersytetu Studiów Międzynarodowych, oraz **prof. Silvano De Fanti** – tłumacz polskiej klasyki, który przełożył na włoski po raz pierwszy od 1871 r. „Pana Tadeusza”, pod tytułem „Messer Taddeo” („Rzeczpospolita”).

Bp Piotr Libera, który w latach 1998-2007 był sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu Polski, a później ordynariuszem diecezji płockiej, złożył rezygnację z urzędu. Papież ją przyjął. Hierarcha ma 71 lat, na emeryturę powinien odejść dopiero w roku 2026.

Podczas SacroExpo – Międzynarodowej Wystawy Budownictwa i Wyposażenia Kościołów, Sztuki Sakralnej i Dewocjonaliów w Kielcach producenci szat liturgicznych pokazali trendy modowe.

Z ofertą prezentującą wszystko, co niezbędne do sprawnego funkcjonowania parafii, duszpasterstw i współczesnej ewangelizacji. W tym roku najmodniejsze było zdobnictwo haftem ukraińskim. Ręcznie haftowana złotymi nićmi szata liturgiczna kosztuje ok. 12 tys. zł. Ma przecież być „złote, a skromne” („Fakty po Mitach”).

Festiwal Bieszczadzkie Lato z Książką po raz 14. zorganizowany przez Wydawnictwo Bosh w dwóch podkarpackich miastach, Przemyślu i Sanku, promował czytelnictwo w miejscach oddalonych od centrów kulturalnych. Pojechali tam znani pisarze, m.in. Jerzy Bralczyk, Michał Ogórek i Witold Beres.

Ogólnopolskie Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów przyznały nagrodę Super Kolosa za całokształt dokonań **żeglarce Joannie Pajkowskiej**. Za wieloletnią karierę żeglarską, w tym trzykrotne samotne opłynięcie świata pod żaglami i konsekwentne spełnianie żeglarskich marzeń oraz promowanie żeglarstwa kobiecego.

W kategorii Wyczyn wyróżnienie trafiło do **Anny Tybor** za wyprawę Dream Line Manaslu 8163, podczas której zjechała na nartach z tego ośmiotysięcznika („Na Szczycie”).

Znowu przybywa pijanych kierowców. Mimo nowych, drakońskich kar w pierwszych czterech miesiącach tego roku policja złapała ponad 35 tys. kierujących po alkoholu.

Na 241 tys. używanych samochodów osobowych sprowadzonych do Polski w I kw. 2022 r. 61% ma ponad 10 lat. W kwietniu średni wiek sprowadzonych aut wyniósł 12,6 lat.

PRZEBŁYSKI

Pajczkowska odkryła koło

Tu już nawet nie ma co rąk załamywać. Wystarczy zobaczyć, co piszą wysłannicy telewizji Kurskiego relacjonujący wojnę w Ukrainie. Najpierw puszy się swoimi ogromnymi sukcesami Karolina Pajczkowska: „Na jaw wychodzą okrucieństwa popełniane przez Rosjan w okolicach Charkowa. Trwają oględziny pobliskich miejscowości, które dowodzą zbrodni wojennych. Staramy się tam dostać, żeby pokazać Wam ten materiał jako pierwsza telewizja na świecie”. Ma kobieta tupet, za tydzień odkryje koło.

Ale zanim to ogłosi, dostała prztyczka w nos od kolegi, Jacka Łęskiego. Przypomniał Pajczkowskiej, że już tam był i wszystko pokazał. To dziarskiej Karolinie nie wystarczyło i odpisała mu tak: „Oj Jacku, Jacku, Wypisywanie na mój temat na grupie wschód to jedno... Ale spokojnie, rozumieć... idzie młodość. Proszę, nie kontaktuj się ze mną więcej. PS Po polsku to każdy relacjonować potrafi”. Spodobała nam się ta autoreklama zalet: młodość i język.



Pięta wraca, Duda milczy

Izabela Pek jeszcze jako aktywistka PiS korespondowała z prezydentem Dudą na Twitterze... „Dawno się nie widzieliśmy ale zawsze miło mi Panią spotkać albo zobaczyć. Lubię Pani szalony styl bycia, taki WOW! Zupełnie inny od mojego ;-)))”, pisał. Pek zaś wspomina, że prawie każdego wieczoru wysyłała prezydentowi informacje, bo „kiedy wszyscy w PiS się na niego rzucili, ja stałam po jego stronie”.

Ale w procesie, który pani Iza wytoczyła wydawnictwu „Sieci”, na wzajemność Dudy nie może liczyć. Cztery lata temu „Sieci” wydrukowały tekst „Jak się załatwia polityka”. Tym politykiem był poseł PiS Stanisław Pięta. W gębie przykładowy mąż i wzorowy katolik. W „Sieci” też. A w realu kochanek pani Izabeli i obłudnik kpiący z łatwości ludu pisowskiego. Zapowiada się bardzo pikantny proces.

Sąd nad Rybusem

O wiedzę piłkarską Marcina Przydacza nie posądzaliśmy. Bo generalnie po wiceministrze spraw zagranicznych nie spodziewamy się kompetencji w żadnej sprawie. I słusznie, bo Przydacz pojechał po Macieju Rybusie. Piłkarz reprezentacji Polski od 10 lat gra w Rosji, ma żonę Rosjankę, dwoje dzieci i z powodów rodzinnych chce dalej grać w Moskwie. Co bardzo się nie spodobało Przydaczowi. Naujadał na Rybusa, jak umiał. Nie zna biedak historii. Nie słyszał o Ernieście Wilimowskim, jednym z najwybitniejszych polskich piłkarzy w historii, który w czasie wojny grał w reprezentacji Niemiec. A teraz jest w encyklopediach. Rybus gra też oczywiście dla kasy. Taki ma bowiem zawód. A grzebanie przy jego rodzinie to paskudna odmiana pisowskiej dyplomacji.





PYTANIE TYGODNIA | Czy rośnie w Polsce zapotrzebowanie na nowe ugrupowanie lewicowe?

PROF. ANNA PACZEŚNIAK,
politolożka, Uniwersytet Wrocławski

Nie. Popytu na lewicę nie wykreuje się zwiększeniem podaży. Wyborcy o lewicowych poglądach moim zdaniem mają na kogo głosować – są Nowa Lewica, Razem i Polska Partia Socjalistyczna. Założenie nowej partii nie wykreowałoby nowych zwolenników lewicowej polityki, a jedynie rozproszyłoby poparcie dla już istniejących ugrupowań. Potrzebne są raczej działania, które pozwolą odzyskać elektorat socjalny, obecnie głosujący na PiS, co oczywiście nie będzie łatwe, ale nie jest niemożliwe. Nie jest tak, że nigdy nie będzie szansy na zbudowanie na lewicy nowej formacji, ale rok przed wyborami to nie jest dobry moment. Takie ugrupowanie, które do wyborów musiałoby nie tylko zaproponować nowy program, ale także wbić się w świadomość ludzi i od podstaw zbudować struktury, nie miałoby szans na przekroczenie pięcioprocentowego progu wyborczego.

PROF. JACEK WÓDZ,
socjolog polityki, Akademia WSB

Tego na razie nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że społeczeństwo przechodzi bardzo głębokie przemiany, które muszą zostać uwzględnione przez siły polityczne chcące stanowić reprezentację wyborców o poglądach lewicowo-liberalnych. Spójrzmy na wybory we Francji, po których praktycznie przestały istnieć dwa filary tamtejszej lewicy, socjaliści i komuniści, a zaistniał Mélenchon, którego koncepcja, choć mało ciekawa intelektualnie, widocznie odpowiedziała na pewne zapotrzebowanie. Nowych form wyrazu poszukują zwłaszcza ludzie młodzi, którzy nie podzielają optymistycznego przekonania, dominującego w poprzednim pokoleniu, że świat idzie w dobrym kierunku. Oni widzą, że jest wręcz przeciwnie, a jednocześnie odrzucają tradycjonalizm, nie chcą powrotu do „uświęconych wartości”, tylko pragną zbudować sobie życie na własnych zasadach. Na

lewicy przyszłość ma formacja, która będzie potrafiła skupić tak myślących 20-, 30-latków i stworzyć im szanse rozwoju, których obecnie nie mają.

ZENOBIA ŻACZEK,
aktywistka Komitetu Obrony Praw Lokatorów i Związku Syndykalistów Polski

Bardziej niż nowych ugrupowań startujących w wyborach polskie społeczeństwo potrzebuje zaangażowanych organizacji lewicowych wykonujących pracę u podstaw. Jest tyle problemów mieszkaniowych, pracowniczych i socjalnych, których władza nie zamierza rozwiązać. Zmiana społeczna rodzi się z doświadczenia działań bezpośrednich, z własnej walki o poprawę swojej sytuacji materialnej przeciw bezdusznym urzędnikom i szefom wyzyskiwaczom.

Not. Michał Sobczyk

Więcej wypowiedzi na s. 31

Mieszkanie to nie towar

Każda kolejna ekipa rządząca, która obiecuje mieszkania, zawodzi. Coraz większa grupa ludzi, tych bez mieszkań i tych „zrobionych w kredyt”, ma tego dość

Jakub Dymek

Czy wystarczą cztery słowa, by wyprowadzić każdego polskiego liberała z równowagi? Na to wygląda. Gwarantowany efekt dają te: „mieszkanie prawem, nie towarem”. To znane od lat hasło ruchów lokatorskich i protestów przeciw nielegalnym eksmisjom albo bandyckiej reprivatyzacji zyskało w ostatnich miesiącach nowe życie. Dziś wzięły je na sztandary sejmowa Nowa Lewica, część sympatyków Szymona Hołowni oraz ruchy miejskie, ale w polskim internecie, publicystyce i przy rodzinnych stołach spór trwa od dobrych kilku miesięcy. I trzeba dodać: trwa znowu, bo kłótnia o mieszkania staje się już zjawiskiem cyklicznym. Być może dlatego, że każda kolejna ekipa u władzy, która obiecuje mieszkania, zawodzi. I więcej z kieszeni Polaków przekazać bankom i deweloperom zwyczajnie już się nie da. A być może również dlatego, że młodzi ludzie mają coraz bardziej dość retoryki, za pomocą której dyscyplинуje ich pokolenie rodziców.

„Trzeba było oszczędzać”, „Mieszkania od państwa to już za komuny przerabialiśmy”, „Zmień pracę i weź kredyt”, słyszą od swoich starszych o pokolenie kolegów: dziennikarzy, menedżerek, programistów i dyrektorów w międzynarodowych korporacjach, wchodzący na rynek pracy. Na co odpowiadają, że oszczędzanie nie pomoże, gdy w polskich miastach cena metra mieszkania w niekoniecznie nawet najbardziej atrakcyjnej okolicy przekracza 10 tys. zł. Kredyt? Aktualnie zdolność kredytowa rodziny zarabiającej średnią krajową pozwoli być może na 50 m kw. w Szczecinie

lub Opolu i dłużej do końca życia. O ile ktoś ma oczywiście 100 lub 200 tys. zł na wkład własny. I przytaczają całą długą listę faktów na dowód, że rynek mieszkaniowy jest w Polsce po prostu „ustawiony” przeciwko nim jak nieuczciwa rozgrywka w kapitalistycznym kasynie. Ci, którzy odziedziczyli nieruchomości lub uwłaszczyli się na nich lata temu, pouczają tych, którzy muszą wziąć kredyt, a o mieszkania konkurują z wykupującymi je masowo funduszami inwestycyjnymi czy międzynarodowymi korporacjami, które gentryfikują całe dzielnice.

Gdyby spór dotyczył dowolnego innego obszaru polityki publicznej: ochrony zdrowia, wojskowości czy infrastruktury, nie byłby tak ostry

Człowiek ma prawo do dachu nad głową, czyli wolności od bezdomności.

i tak naładowany międzypokoleniowymi pretensjami. Z mieszkaniami jest inaczej. Bo to spór nie o cztery ściany i dach, ale także o ocenę III RP i PRL, o to, że zamożniejsi Polacy okopali się na swoich pozycjach, gdy awans wszystkich pozostałych napotyka bariery, o klasy społeczne. I o to, czy dach nad głową jest prawem człowieka.

Rynek czy kasyno?

Gdy rzecznik lewicowej młodzieży Dawid Dobrogowski napisał w marcu na Twitterze: „Mieszkanie prawem, nie towarem”, na jego wpis odpowiedziały tysiące osób. A kolejne dziesiątki – jeśli nie setki – publicystek i komentatorów dały wyraz swojemu oburzeniu, rozbawieniu lub

szokowi. Hasła: „Komuna”, „Twoi towarzysze już próbowali kiedyś mieszkania rozdawać” i „PRL bis” wyznaczały ton znacznej części komentarzy. Ze lewica chce rozdawać czyjeś mieszkania albo że chce przyznać sobie prawo do cudzych lokali (i w ogóle najróżniejszych dóbr), zaczęli bić na alarm komentujący różnych barw politycznych i przekonań, od postać konfederaty Artura Dziambora po działacza wolnorynkowych think tanków Marka Tatałę. Obaj nie zrozumieli (lub zrozumieć nie chcieli od początku), że nikt nie wzywa do rozdawania własnościowych mieszkań ani samochodów czy iPhone’ów. „Hasło lewicy »mieszkanie prawem, a nie towarem« przypomina słynne »czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy«”, straszyła na stronach Wyborcza. biz Alicja Defratyka, związana wcześniej

z Forum Obywatelskiego Rozwoju. Tweet młodego polityka nie był oczywiście pierwszym, choć bezmyślność reakcji, do jakich doprowadził, z pewnością jest pouczająca.

W hasło „mieszkanie prawem, nie towarem” chodzi o urzeczywistnienie obecnego i w konstytucji RP, i w programie pierwszej Solidarności, i w wiążących Polskę umowach międzynarodowych zobowiązania państwa. Człowiek ma bowiem prawo do dachu nad głową, czyli wolności od bezdomności. Ale także do tego – jak ujmuje to m.in. nasza konstytucja – że w zamian za płacone podatki i daniny władze „prowadzą politykę sprzyjającą zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych obywateli”, a „w szczególności przeciwdziałają bezdomności, wspierają rozwój budownictwa socjalnego



oraz popierają działania obywateli zmierzające do uzyskania własnego mieszkania”.

Tak mówi konstytucja. A skoro władze mają zaspokajać potrzeby mieszkaniowe społeczeństwa, budować i wspierać dochodzenie do własności mieszkań, to znaczy, że nie mogą ot tak zrezygnować z tego zadania. I zostawiać całego mieszkalnictwa rynkowi, czyniąc z podstawowego dobra, jakim jest dach nad głową, przedmiotem hazardu. Raty wzrosną czy nie? Będzie zdolność kredytowa czy nie będzie? Czyś wzrośnie o połowę czy zostanie taki sam? Ludzie mają prawo do rozporządzania własnymi pieniędzmi i do nawet ryzykownych inwestycji. Ale nie można ich – czasami całkiem otwarcie i bezczelnie – zmuszać do zakładania się o własną przyszłość, na 30 lat, bez żadnych rozsądnych alternatyw. To kluczowa różnica.

Zgodzić się, że mieszkanie jest towarem – i tylko towarem właśnie – to zgodzić się, że można zawyżać jego cenę, ograniczając popyt, że można nim grać na giełdach, że można trzymać je latami jako lokatę kapitału. Że globalni inwestorzy mogą kupić hurtem kilkadziesiąt albo kilkaset mieszkań – co w wielu zachodnich stolicach jest ograniczone lub wprost zakazane – tylko po to, żeby włożyć gdzieś unieruchomioną przez pandemię gotówkę. To wszystko dzieje się dziś w Polsce. I coraz częściej mówią o tym nie

lewicowe pisma albo broszury anarchistów, ale branżowe opracowania i prasa biznesowa. A coraz większa grupa ludzi, tych bez mieszkań i tych „zrobionych w kredyt”, ma tego dość. Ot, i cała tajemnica hasła „mieszkanie prawem, nie towarem”.

Źle i gorzej

Dowodów na to, że Polacy mieszkają gorzej od reszty Europejczyków, jest wiele. Mimo że w ostatnich latach w naszym kraju buduje się najwięcej mieszkań w Europie, ponad 200 tys. rocznie, nadal jesteśmy poniżej średniej pod względem liczby mieszkań na 1 tys. obywateli. Według OECD i Eurostatu mamy też

Warszawa w niedawnym raporcie Deloitte została uznana za najdroższą pod względem cen wynajmu stolicę regionu, zostawiając w tyle wiele zachodnioeuropejskich miast. A te dane i tak nie obejmują najnowszych informacji o podwyżkach cen najmu, które regularnie analizuje np. PKO BP. W okresie odbicia po pandemii stawki najpierw urosły do początku 2022 r. o kilkanaście punktów procentowych w ciągu roku, by po 24 lutego dosłownie wyskoczyć o kolejne kilkanaście punktów w ciągu zaledwie dwóch tygodni. Są miasta, gdzie liczba dostępnych ofert jest mniejsza o 60%, a są takie – Bydgoszcz, Kraków, Wrocław i Poznań – gdzie wzrost cen najmu rok

Warszawa w raporcie Deloitte została uznana za najdroższą pod względem cen wynajmu stolicę regionu.

mniejszy metraż, mniej izb na osobę i ponadprzeciętnie dużo mieszkańców wsi, którzy skarżą się na złe warunki mieszkaniowe lub ciasnotę. Przy średniej 392 mieszkania na 1 tys. obywateli nie tylko zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w UE, ale bliżej nam pod tym względem do znanego z legendarnej wręcz drożyzny na rynku mieszkaniowym i braku dostępnych lokali Izraela (290 na 1 tys.) niż do Bułgarii, Norwegii, Niemiec, Belgii, Francji bądź Czech. Jednocześnie

do roku przekracza 30%. Co to oznacza? Że kawalerkę, której wynajęcie w 2021 r. kosztowało 1,9 tys. zł, znajdziemy dziś w internetowych serwisach z ofertami wynajmu po 2,6 tys. zł albo więcej.

Paradoksalnie szybko rosnące płaca minimalna i stawki godzinowe nie rozwiązują problemu, bo istnieje zjawisko tzw. luki czynszowej – chodzi o tych, którzy zarabiają za dużo, by ubiegać się o mieszkanie komunalne, ale wciąż za mało, by dostać ▶

► kredyt i kupić mieszkanie. Zostaje im wynajem, ale wynajmując, nie oszczędzają, więc luka prędko się nie zmniejsza. Dziś na rynku najmu o te same metry kwadratowe konkurują Polacy, setki tysięcy uchodźców i ponad milion obcokrajowców pracujących w naszym kraju. A w związku z inflacją i nowymi (bezpieczniejszymi) regułami wyznaczania zdolności kredytowej, i oczywiście podwyżkami stóp procentowych – jak szacują analitycy PKO BP – zdolność kredytowa

Badacze z GUS znaleźli ich w Polsce w 2018 r. ponad 2 mln! To przeszło jedna trzecia (36%) wszystkich dorosłych między 25. a 34. rokiem życia. Więcej niż w Europie (średnia w Unii wynosi 28,6%, podczas gdy liczony według tej samej metodologii dla Polski wskaźnik to 45%). Dotychczas podobny problem kojarzony był przede wszystkim z krajami południa kontynentu – towarzyszył mu zaś stereotyp zdzienniałego czy leniwego dorosłego Włocha

Kaczyński. Z miażdżącego dla Mieszkania+ raportu NIK z marca 2022 r. wynika, że nie tylko nie zbudowano 100 tys. mieszkań w pięć lat – faktyczna ich liczba była bliższa 15 tys. – ale jeszcze znikoma ich część, ok. 5%, to faktycznie lokale na wynajem z takim czyszem.

PiS poniosło w kwestii budowy dostępnych mieszkań spektakularną porażkę. Nie tylko zawiódł sztandarowy projekt budowy mieszkań, ale także wzrosła liczba i wartość zaciąganych przez Polaków na ten cel kredytów. Mieszkalnictwo jeszcze bardziej się uryknowiło: większą rolę w zapewnieniu mieszkań odgrywają deweloperzy, a większą część nabywców stanowią fundusze inwestycyjne i drobni prywaciarze (tzw. flipperzy), którzy chcą zarobić na wynajmie. Dopóki kredyt był tani, a inflacja bardzo niska, wydawać się mogło, że nawet przy kompletnej bezczynności państwa ten model może trwać i się sprawdza. Ale rynek ma to do siebie, że podlega cyklom. Dziś widzimy, jak wygląda gorsza część tego cyklu. Stworzono sytuację, w której państwo nie zapewniło ludziom mieszkań na wynajem, ale pozwoliło, by masowo brali kredyty, gdy były tanie. Sptać je będą, gdy już nie będą tanie.

A to jeszcze nie wszystko. Mniej znanym faktem jest to, jak bardzo skurczył się zasób mieszkań komunalnych na wynajem – w wyniku samego procesu reprivatyzacji ubyło ich w III RP 30 tys. Słowem, w ręce nowych, bogatych właścicieli, spekulantów lub przestępców trafiło wielokrotnie więcej mieszkań przeznaczonych na wynajem dla niezamożnych ludzi, niż udało się wybudować w ramach największego do tej pory programu mieszkaniowego w Polsce po 1989 r.

Czynników powodujących, że budujemy dziś dużo, a dostępność mieszkań nie zwiększa się proporcjonalnie, jest jeszcze więcej. Pojawienie się uchodźców i konieczność udzielenia im pomocy jest sytuacją nadzwyczajną i można się upierać, że nie dało się przed tym zabezpieczyć. Ale już wykupywanie mieszkań w wielkich miastach przez fundusze inwestycyjne i to, że czasami w ogóle nie trafiają one na rynek najmu, chyba że od razu jako apartamenty

Szacuje się, że w Warszawie nawet 20-40% mieszkań kupowanych jest w celach spekulacyjnych.

np. trzysobowej rodziny jest o pół miliona złotych, kilkadziesiąt procent, niższa niż w 2021 r. Mimo to udział mieszkań kupowanych na kredyt (względem gotówki i najmu) rośnie – 62% w ostatnim kwartale 2021 r., co było rekordem. Dlaczego? Bo nie ma takiej siły, która zaspokoiliby popyt na mieszkania dla przeciętnie zarabiających, który idzie w miliony – od 1,2 mln według konserwatywnych szacunków do 2 mln. To nawet nie luka na rynku, ale przepaść.

Polacy bardziej niż mieszkańcy innych krajów Europy są uzależnieni od kredytów ze zmienną stopą oprocentowania – i dlatego tak bardzo rosną raty – a polityka państwa wręcz zmusza do wzięcia kredytu. Fakt, że tak duży odsetek Polaków bierze kredyt mieszkaniowy, jest korzystny przede wszystkim dla banków – które obsługują hipoteki i kredytują mieszkania, zarabiając na tym niezależnie od koniunktury w realnej gospodarce (pisał o tym zjawisku na łamach PRZEGLĄDU 24/2022 Marek Czarkowski). Każde podniesienie przez Radę Polityki Pieniężnej podstawowej stopy o 1 pkt proc. oznacza w tym układzie kolejne miliardy zysków odsetkowych dla sektora bankowego. Złoty interes, prawda?

Nie powinien zatem dziwić tak wielki udział „gniazdowników” w naszym społeczeństwie. Pojęciem tym określa się osoby w wieku 24-34 lata, które nie założyły rodziny, nie mają dzieci i wciąż mieszkają pod jednym dachem z rodzicami.

albo Greka, starego kawalera, który nadal mieszka z mamusią. Jednak najnowsze badanie GUS nie zostawia wątpliwości: dwie trzecie polskich „gniazdowników” pracuje, lecz średnie zarobki 60% z nich były mniejsze niż płaca minimalna! Nie mając wystarczających dochodów, współmałżonka i zdolności kredytowej, nie wybierają więc mieszkania z rodzicami z własnej woli lub z lenistwa. Bo wyboru nie mają wcale.

Wielka wina

Dlaczego jest tak, jak jest? Państwo de facto wycofało się z obowiązku zapewniania mieszkań w latach 90., a umożliwienie ludziom masowego wykupienia mieszkań komunalnych było ostatnim znaczącym osiągnięciem w tej dziedzinie. Nawet jeśli każdy rząd po kolei (i wiele samorządów w całym kraju niezależnie od władz centralnych) podejmował wysiłki lub hucznie ogłaszał kolejne mieszkaniowe obietnice, to jednocześnie inne decyzje lub trendy niweczyły te starania. Każdy pamięta fiasko programów obu partii rządzących Polską po 2005 r. Choć wyływały z radykalnie odmiennych założeń, i tak się nie powiodły. Mieszkanie dla Młodych PO było tak naprawdę transferem finansowym dla firm deweloperskich, a Mieszkanie+ PiS miało uruchomić państwowe zasoby i grunty, lecz utknęło w impasie urzędniczo-administracyjnym. Przyznał to zresztą w jednym z wywiadów sam prezes

dla turystów – jest wynikiem polityki publicznej.

„Oprócz konsumentów indywidualnych popyt nakręcają inwestorzy szukający alternatywy dla depozytów bankowych nieatrakcyjnych z powodu niskiego oprocentowania”, mówi opublikowany w zeszłym roku branżowy raport międzynarodowej firmy Deloitte. „Szacuje się więc, że w Warszawie nawet 20-40% mieszkań kupowanych jest w celach spekulacyjnych. Liczba dostępnych na rynku mieszkań jest wobec tego najniższa od lat. To prowadzi do podwyżek cen”, podsumowuje dokument. Podobne zjawisko zaobserwowali w trakcie pandemii analitycy PKO BP, gdy rozjechały się krzywe nastrojów konsumenckich i popytu na mieszkania. „Popyt inwestycyjny był nad wyraz aktywny w minionym roku”, zauważyli. Co go napędzało? Tani kredyt i rosnące stawki najmu. Opłacało się – i pomimo rosnących stóp wciąż może się opłacać, szczególnie w dużych miastach – traktować mieszkania jako inwestycje dla wielkich funduszy. A więc jak towar właśnie. Skutki widzimy.

Państwo de facto wycofało się z obowiązku zapewniania mieszkań w latach 90.

Jak to rozwiązać? Sejmowa lewica ma pomysł, by z długu sfinansować budowę przez samorządy mieszkań w kolejnej dekadzie. Lokale te będą wynajmowane po przystępnych cenach. Prawda jest taka, że bez wysiłku wszystkich sektorów: publicznego, prywatnego budownictwa i deweloperów, nie ma co marzyć o poprawie sytuacji. Jednocześnie wszyscy zdają sobie sprawę, że przyzwolenie na budowanie jeszcze więcej i szybciej tylko pogłębi architektoniczny i urbanistyczny chaos w Polsce. A ten sam w sobie jest problemem, który zaniża jakość życia w nawet atrakcyjnych lokalizacjach. Pomysł lewicy ma tyle zalet, ile wad. Na przykład dziś publiczna atmosfera wokół dalszego zadłużania państwa jest fatalna, a czasy, gdy mogliśmy zadłużać się najtaniej w historii, są już niestety za nami. To źle przekłada

się na polityczne szanse powodzenia projektu, nawet jeśli same założenia są bardzo słuszne. Z drugiej strony, jeśli państwo i samorządy nie zaczęły narzucać dobrych standardów, nie zrobi tego nikt.

Spór pokoleń

Poza całą faktyczną warstwą sporu o mieszkania jest coś jeszcze – i być może ważniejsze. Mieszkalnictwo tak bardzo rozpala młodych i starych, zwolenników państwa opiekuńczego i wolnorynkowców, tych dopiero na starcie i tych „uwłaszczonych”, bo to spór o indywidualne biografie i ocenę III RP i PRL. Ci, którzy albo już mają mieszkania, albo są na dobrej drodze do ich spfaceria, uważają to za swój indywidualny sukces i nie życzą sobie, aby ktokolwiek go umniejszał lub tworzył „drogi na skróty” dla innych. Nie chcą, by ktoś z „ich podatków” fundował mieszkania rzekomo leniwej młodzieży albo lewicowym roszczeniowcom. Wreszcie nie wierzą, że z mieszkalnictwem w Polsce naprawdę jest tak źle, skoro przecy temu zarówno ich osobista historia,

jak i to, że „kiedyś było trudniej i ludzi nie narzekali”.

Mechanizm ten wybitna socjolożka Arlie Russell Hoch-

schild opisała w książce „Obcy we własnym kraju” w odniesieniu do napięć klasowych, rasowych i polaryzacji społecznej w Ameryce. Hochschild używa metafory „wielkiej kolejki” po amerykański sen. Gdy ktoś uważa, że albo już swoje wystąpił w kolejce i dostał, co mu się należało, albo przynajmniej stoi w niej wystarczająco długo, każda interwencja państwa na rzecz słabszych jest tak naprawdę wpychaniem ich do przodu kolejki. To bardzo mocna metafora i przepiękny schemat myślowy. No przecież tak dokładnie powinno być, prawda? Należy się tym, którzy czekali. Problem w tym oczywiście, że dokładnie to myślenie uniemożliwia rozwiązanie jakiegokolwiek społecznej bolączki: skoro kiedyś ludzie żyli w gorszych mieszkaniach, leczyli się w gorszych szpitalach i jeździli po dziurawych drogach, to – w zgodzie z tą metaforą

– budowa lepszych mieszkań, szpitali i dróg dla kolejnych pokoleń jest jednym wielkim oszustwem. Młodzi lub biedniejsi mają się męczyć, kombinować lub przepracowywać, bo zawsze ktoś musi. Ci zaś, którzy w danym momencie mają relatywny spokój, najwyraźniej sobie na to zasłużyli.

Młodzi odpowiadają na to rzecz jasna, że obiektywnie lub subiektywnie trudniejsze okoliczności z przeszłości w ogóle nie są argumentem w dyskusji o współczesnych problemach. Przecież gdyby trzymać się tej logiki, nie należałoby niczego poprawiać ani inwestować w cokolwiek. Dlatego kłótnia jest tak gorąca. Jedni musieliby przyznać, że być może coś w ostatnich 30 latach naprawdę poszło nie tak. I że ich indywidualny sukces nie jest żadną miarą jakości polityki mieszkaniowej w Polsce (odkładając na bok kwestię tego, czy np. odziedziczenie wartego milion złotych mieszkania w dużym mieście można uznać za osobisty sukces). A przy tym być może musieliby zauważyć, że ich własny kapitał – mieszkanie albo odziedziczony po dziadkach czy rodzicach dom – ma korzenie w PRL. Że np. mieszkanie zbudowano za Gierka – gdy wielokrotnie biedniejsza Polska Ludowa oddawała ich do użytku więcej niż III RP – i dziś, posiadając taki lokal na własność, można go z zyskiem wynająć. Ci, którzy dziś posiadają to dobro – mieszkanie lub dom – często nie śpieszą się, by je komuś oddać. Też chcą na nim zarobić. Oczywiście dlatego, że mieszkanie to owary.

To powoduje, że właśnie o mieszkania toczy się teraz tak zażarty spór. Niektórzy nazwaliby go pewnie walką nie tylko pokoleń, ale i klas.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Ewa Smolińska-Borecka

Ujęcie pierwsze – klatka schodowa. Dwie kobiety wracają uśmiechnięte z zakupów. Kobieta pierwsza, tu rozpoznajemy Małgorzatę Pieńkowską, serialową mamę bliźniaków Zduńskich z „M jak miłość”, uchyla drzwi i zerka do środka mieszkania. Ujęcie drugie – pokój, na niskim stoliku łaciaty, nieduży pies. Wokół rozrzucone strzępy poduszki. Niemiłosierny rozgardiasz. Ujęcie trzecie – kobieta pierwsza zachowuje spokój, uśmiecha się. Kobieta druga zaciekawiona, trochę zaniepokojona. Kobieta pierwsza mówi, że nie warto się denerwować, a pies może nie jest zbyt grzeczny, ale za to jaki ładny... I widok opakowania positivum.

W tych reklamach Małgorzata Pieńkowska gra już od sześciu lat. I zapewne nadal będzie w nich występować, jeśli właściciele firmy Aflofarm są zadowoleni ze sprzedaży. W każdym razie szczęśliwie dla aktorki positivum jest suplementem diety, a nie wyrobem medycznym, więc z punktu widzenia prawa nie ma i zapewne w najbliższym czasie nie będzie przeciwwskazań, by znani aktorzy pokazywali się w reklamach, opowiadając o cudownych właściwościach specyfików. Gdyby specyfik był zarejestrowany jako wyrób medyczny, ostatni raz tę reklamę można by zobaczyć 30 czerwca przyszłego roku.

Nowa ustawa

– Uważam, że używanie w reklamie autorytetu lekarza i relacji pacjent-lekarz jest niedopuszczalne – twierdzi Łukasz Jankowski, prezes Naczelnej Rady Lekarskiej. – Pacjent musi być przekonany, że wyrób medyczny, który mu poleca lekarz, jest faktycznie w jego przypadku wskazany, i nie zastanawiać się, czy przypadkiem lekarz nie jest związany kontraktem z producentem. Jeśli chodzi o leki, to te wydawane na receptę w ogóle nie mogą być reklamowane. Pozostałe leki można wprawdzie reklamować, ale są pewne obostrzenia: osobą reklamującą nie może być osoba znana, np. aktor czy influencer, nie może być naukowiec czy osoba z wykształceniem

Milionowe kary za przebierańców

Nie tylko leki, ale także wyroby medyczne z ograniczeniami reklamowania

medycznym. Zdarzało się, że w reklamach leków występowali lekarze, ale to były przypadki sporadyczne. Te sytuacje były rozpatrywane przez naczelnego rzecznika odpowiedzialności zawodowej, który funkcjonuje przy Naczelnej Izbie Lekarskiej.

Między innymi w reklamie calominalu, specyfiku do leczenia nadwagi, można było zobaczyć prawdziwego lekarza medycyny estetycznej Macieja Łukasiewicza. Jako że aż do tego roku ustawa o wyrobach medycznych – a calominal jest właśnie wyrobem medycznym – nie wypowiedziała się na temat reklamy.

– Obostrzenia dotyczące leków nie obejmowały wyrobów medycznych, w tych reklamach mogli się pojawiać aktorzy udający lekarza – wyjaśnia Jankowski. – Tymczasem wyroby medyczne to nie tylko sprzęt medyczny czy testy diagnostyczne. Wśród tych wyrobów są też różne tabletki, syropy czy krople. Wyroby medyczne zajmują miejsce między lekami a suplementami diety. Ale pacjenci nie odróżniają, co jest lekiem, co wyrobem medycznym, a co suplementem diety. W reklamach wyrobów medycznych niejednokrotnie wykorzystywano autorytet lekarza. Chociaż relacji lekarz-pacjent nie tworzy się przez założenie fartucha, moim zdaniem reklama z udziałem osoby przebranej za lekarza niweczy zaufanie do medyka. Dlatego dobrze się stało, że nowa ustawa o wyrobach medycznych wprowadza regulacje dotyczące reklamy.

Buszowanie w apteczkach

Z reklam leków aktorzy zniknęli w 2008 r., po nowelizacji ustawy Prawo farmaceutyczne. Zmiany wynikały

z konieczności dostosowania polskiego prawa do prawa unijnego. Środowisko gwiazd oraz producentów reklam i farmaceutów nie było z tego powodu zadowolone – aktorzy tracili dodatkową możliwość zarabkowania, a brak reklamy negatywnie odbijał się na sprzedaży. Barbara Bursztynowicz, farmaceutka w telenoweli „Klan”, mówiła wówczas, że nie widzi nic niestosownego w tym, że reklamowała środki przeciwbólowe. Jej zdaniem dzięki reklamie ludzie mogli usłyszeć o tym leku i w rezultacie wielu z nich ten specyfik mógł pomóc.

Widzowie telewizyjni być może dziwili się, że mimo zakazu aktorzy występowali w reklamach. Zdziwienie wynikało stąd, że zakaz dotyczył jedynie leków, a zwykły konsument właściwie nie zastanawia się, czy dany specyfik jest lekiem, czy nie, i często kupuje wyroby medyczne lub suplementy diety. Akurat ja – jak się okazało – nie jestem dobrym przykładem takiego klienta. Remanent w domowej apteczce ujawnił, że jedynymi wyrobami medycznymi, które tam się znalazły, są termcool – żel chłodzący po oparzeniu firmy Emo-Farm, plastry w różnych rozmiarach pochodzące z różnych firm oraz opaski elastyczne uciskowe. Ale udało mi się namówić kilka znajomych, by sprawdziły swoje apteczki. Miały więcej wyrobów medycznych. Te specyfiki można poznać m.in. po znaku CE (Conformité Européenne) na opakowaniu.

W telewizji jest wiele reklam wyrobów medycznych. Znaczna część tych produktów pochodzi z jednego z największych polskich zakładów farmaceutycznych – pabianickiego Aflofarmu. Poza wspomnianym calominalem Aflofarm produkuje



W reklamie akustone występuje osoba z identyfikatorem „lekarz otolaryngolog”.

40 innych wyrobów medycznych, a większość dość intensywnie reklamuje. Wśród specyfików znanych ze stacji telewizyjnych czy radiowych są m.in. akustone, desnoran, detusan, dezaftan, iladian direct plus, natursept gardło, opokan, regevagia, vocaler bez cukru. W wielu z tych reklam występują osoby w białych kitlach udające lekarza lub wprost mające identyfikator: lekarz otolaryngolog, lekarz medycyny.

Szlaban dla influencerów

Jeśli chodzi o wyroby medyczne, to regulacje dotyczące reklam pojawiły się po raz pierwszy w ustawie, która weszła w życie 26 maja br. Lekarze pierwszego kontaktu, do których trafia wielu ludzi starszych, wskazują, że te osoby są szczególnie podatne na reklamy z udziałem znanych aktorów. Jako anegdoty aktorzy grający od długiego czasu medyków w telenowelach czy serialach telewizyjnych opowiadają, jak widzowie zaczepiają ich na ulicy, by prosić o poradę lekarską. Dobrze więc stało, że zmiana, która – podobnie jak w przypadku Prawa farmaceutycznego – wymuszona została zmianą przepisów Unii Europejskiej w 2017 r., dokonała się. Ale choć te regulacje wchodzą w życie od 1 stycznia 2023 r., to jednak pół roku będzie trwał okres przejściowy

i do końca czerwca 2023 r. będzie można zamieszczać reklamy, które wprawdzie nie spełniają wymogów ustawy, ale ich rozpowszechnianie rozpoczęto przed 1 stycznia 2023 r. Zapewne więc jeszcze paru aktorów wcieli się w reklamach w lekarza.

Nowa ustawa wprowadziła także zapis dotyczący influencerów, którzy niejednokrotnie za spore pieniądze

pewne ograniczenie jej wysokości – jeśli naruszenie, które było powodem jej nałożenia, nie zagrażało życiu pacjenta, kara nie może przekroczyć 10% wymiaru maksymalnego.

Prawdopodobnie problemy pojawią się również przy jakże popularnej sprzedaży na pokazach. Do tej pory, kiedy prawo nie wypowiedało się w kwestii reklamy produktów

Pacjenci nie odróżniają, co jest lekiem, co wyrobem medycznym, a co suplementem diety.

występowali jako użytkownicy konkretnego wyrobu i w mediach społecznościowych dzielili się swoimi opiniami – oczywiście bardzo pozytywnymi, bo do tego zobowiązywała ich umowa z dystrybutorem lub producentem. Teraz taka współpraca z influencerem będzie zabroniona.

Prezes Jankowski patrzy na problem nowych regulacji z punktu widzenia lekarza i widzi, jak chronią one dobro pacjenta. Nieco odmiennie jest spojrzenie producentów, importerów, dystrybutorów wyrobów medycznych czy właścicieli aptek. Oni nie są zachwyceni. Za wprowadzenie w błąd potencjalnych kupujących poprzez rozpowszechnianie nieprawdziwych treści będzie grozić kara nawet do 5 mln zł. Jednak jest

medycznych, na pokazach, na które zwabiano dziesiątki starszych osób, oferowano różnorodne, jakoby posiadające magiczne właściwości, urządzenia, np. lampy naświetlające czy aparaty do leczenia polem magnetycznym. Teraz prawdopodobnie odpowiedzialność za słowo będzie musiała być większa i skończy się „wciskanie ciemnoty” seniorom. Na dodatek ta sama ustawa wprowadza zakaz sprzedaży poza lokalem przedsiębiorstwa. Może to oznaczać koniec złotej ery pokazów. A seniorzy, często bombardowani „fantastycznymi” ofertami urzędów, nierzadko mało wartościowych, za to bardzo kosztownych, wreszcie odetchną z ulgą.

e.borecka@tygodnikprzeklad.pl

Z zawiści, zemsty, bezinteresownej niechęci

Polacy kochają donosy, a państwo donoszenie im życzliwie umożliwia

Anna Stachowiak

Donosy są tak popularne, że gotowe wzory pism do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych czy urzędów skarbowych można znaleźć w sieci. Ot, choćby na stronie donosimy.waw.pl, która chętnie odwiedzana jest zwłaszcza w okresie poprzedzającym czas składania zeznań podatkowych. Donos trzeba podpisać, bo urzędy skarbowe nie zajmują się anonimami. Piszą byli pracownicy, małżonkowie, konkurencja, a informują niemal o wszystkim – o domowym handlu kosmetykami, obrocie paliwami czy nieruchomościami. Na stronach, które donosy propagują, pokazując je nie jako narzędzie walki w rodzinnych czy sąsiedzkich konfliktach, ale przejaw postawy obywatelskiej, można znaleźć informacje, że donosy muszą być „rzetelne”. Czyli zawierać dowody. Wydruki korespondencji, nagrania, fotografie. Polacy wymagania rzetelnego donoszenia chętnie spełniają.

Donos na telefon

Grażyna, emerytka: – Na mnie doniosła koleżanka z osiedla. Pracowałam we Włoszech, dorabiałam sobie do emerytury. Ile wynosiła? Około tysiąca złotych. Dzięki pracy we Włoszech, która polegała na zajmowaniu się starszą osobą i domem, mogłam jakoś w miarę normalnie żyć. To się skończyło, kiedy ZUS zrobił mi kontrolę.

W 2017 r. Państwowa Inspekcja Pracy otrzymała ok. 7 tys. donosów, a tendencja jest wzrostowa. We wszystkich izbach administracji skarbowej w pierwszych trzech miesiącach 2021 r. złożono ponad 11,5 tys. donosów. Skarbowka na donosy jest tak otwarta, że w 2018 r. uruchomiła nawet specjalny numer: Krajowy Telefon Interwencyjny Krajowej Administracji Skarbowej. I mimo że donos to pojęcie niezdefiniowane w ustawie, urzędnicy chętnie korzystają z odpowiedzi. Tego rodzaju zgłoszenia najczęściej dotyczą wynajmu mieszkania, pracy na czarno i wypłat pod stołem czy niewydawania paragonów. Urząd po otrzymaniu donosu musi przeprowadzić kontrolę.

Gotowe wzory donosów do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych czy urzędów skarbowych można znaleźć w sieci.

Paweł: – Przeniósłem się za granicę, swoje mieszkanie wynajęłem. Nie płaciłem podatków, ciągle odkładając sprawy urzędowe na później. Moja była żona doniosła do urzędu skarbowego. Musiałem zapłacić zaległy podatek, odsetki, dodatkowo miałem postępowanie o wykroczenie i musiałem zapłacić mandat. W sumie kilka ładnych tysięcy.

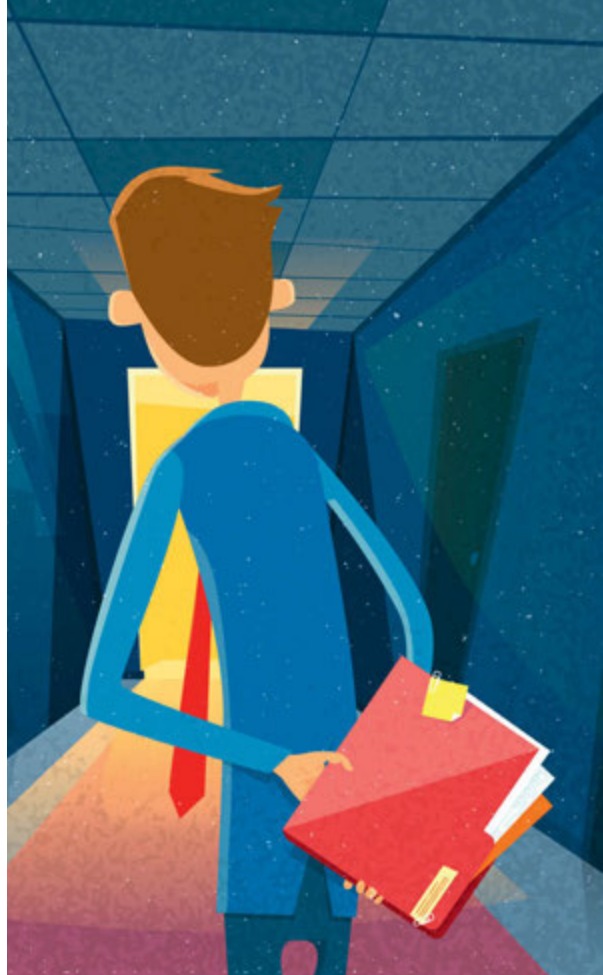
Donosy to ulubiony oręż byłych małżonków i partnerów. Zwłaszcza jeśli walka toczy się nie tylko

o podział majątku, ale także o opiekę nad dziećmi, a postępowanie trwa długo i – co oczywiste – dla jednej ze stron przybiera niekorzystny obrót. Jedną z kobiet działających w ruchu społecznym na rzecz walczących o dzieci matek, które były ofiarami przemocy ze strony nie tylko partnera, ale także instytucjonalnej: – Mój były mąż zainicjował przeciwko mnie

ponad 20 postępowań, wszczętych głównie na podstawie donosów. Trudno mi wymienić instytucję, której nie zaangażował, łącznie z tym, że próbował mnie zamknąć w szpitalu psychiatrycznym. Wszystko dlatego, że chciał przejąć opiekę nad naszym synem.

Kto jest wielbłądem

Prawniczka zajmująca się sprawami rozwodowymi: – Panowie często



wymyślają rozmaite opowieści, wydzwanają na policję i do opieki społecznej. Donosy do Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych zdarzają się rzadko i świadczą o wyjątkowej chęci odwetu i ukierunkowaniu na zniszczenie życia byłej partnerce, matce dziecka, ale mam sprawę, w której pan, wobec którego umorzono sprawę o znęcanie się nad matką ich wspólnego dziecka i nękanie jej, znalazł sobie nowy sposób na niszczenie jej. Złożył donos do takiej właśnie komisji, postępowanie jest tu bardzo specyficzne i teraz ona, Bogu ducha winna, musi udowodniać, że nie jest wielbłądem.

Komisje działają w gminach i wszczynają procedurę, która może się zakończyć skierowaniem na leczenie odwykowe w przypadku nadużywania alkoholu. Z ustawy o wychowaniu w trzeźwości wynika, że dotyczy to osób, które w związku z uzależnieniem lub nadużyciem alkoholu powodują „rozkład życia rodzinnego, demoralizację nieletnich, systematycznie zakłócają spójność lub porządek publiczny”, ale tak naprawdę to po prostu skuteczne narzędzie zatrzymywania komuś życia. Komisja donos sprawdzić musi, bo w rodzinie faktycznie może dochodzić do przemocy – takie sprawy też się zdarzają. W większości jednak to po prostu donosy mające oszczerczy charakter, a wszczęte w ich wyniku postępowanie ma być sposobem nie tylko na nękanie zgłoszonej osoby, ale również na uzyskanie przewagi w sądzie. Jak wygląda procedura? Komisja wzywa osobę, której dotyczy doniesienie. Na wezwanie trzeba koniecznie się stawić, przy czym wezwany nie wie, kto złożył donos (choć, jak anonimowo mówi jeden z pracowników komisji w mieście wojewódzkim, rodzina zwykle się domyśla). Wezwana osoba składa wyjaśnienia, a potem musi dokonać wyboru: albo przyznać, że ma problem alkoholowy i chce się leczyć (nawet gdy problemu nie ma), albo powiedzieć, że problemu nie ma, i zdecydować, czy godzi się na badanie przez biegłych, czy nie. Jeśli się nie zgodzi, sprawa trafia do

sądu, który i tak na badania skieruje, a jeśli osoba, której postępowanie dotyczy, będzie się uchylać od tego obowiązku, może nakazać doprowadzenie jej na badania.

Wyjścia nie ma – trzeba przejść całą procedurę. I tłumaczyć się ze swojego życia, będąc traktowanym gorzej od oskarżonego o przestępstwo, bo osoba wezwana nie ma nawet prawa wglądu do materiału dowodowego. Nie ma jak obronić się przed pomówieniem, a ewentualne konsekwencje wobec donosiela można wyciągać później, po zakończeniu postępowania. Całkiem jak u Kafki.

Matka musi być święta

Paulina: – To absurd. Jestem samotną mamą, od czterech lat toczą się sprawy o opiekę nad córką. Z byłym partnerem był konflikt, ale jakoś to działało. Nagle złożył donos, dostałam wezwanie i muszę udowodniać, że to kalumnie. Zabiera mi to czas i siłę, wpływa na jakość opieki

Donosy to oręż byłych małżonków. Zwłaszcza jeśli walka toczy się nie tylko o podział majątku, ale także o opiekę nad dziećmi.

nad córką, bo cała sytuacja jest bardzo stresująca, znalazłam się pod opieką psychologa, a wszystko dlatego, że były nie może się pogodzić z tym, że sprawa nie toczy się po jego myśli.

Prawniczka: – Ten pan nie tylko nagle, nie wiedząc czemu po czterech latach, złożył takie doniesienie, choć żadnych powodów do niepokoju nie miał, ale także poszedł dalej i zadzwonił do miejskiego ośrodka pomocy rodzinie, mówiąc, że pijana matka zajmuje się dzieckiem. Nawiasem mówiąc, klientka funkcjonuje wzorowo, alkohol spożywa sporadycznie, ale w Polsce wygląda to tak, że matka musi być święta, bo to matkę przeświecła się z każdej strony. Druga strona medalu jest taka, że sprawy o przemoc wobec kobiet są masowo umarzane mimo mocnych dowodów. Potem panowie, zwykle z zemsty, inicjują tego typu postępowania.

Do domu Pauliny przyszedli z zaskoczenia pracownicy MOPR. Oglądali dom, zaglądali do lodówki i kosza na śmieci, rozmawiali z przerażoną wizytą obcych ludzi córką. Nie miała prawa wglądu do donosu, musiała się tłumaczyć, że jest dobrą matką, a alkohol pije okazjonalnie. Wizyta odbyła się również w szkole córki, gdzie pytano nauczycieli, czy od matki czuć było kiedykolwiek alkohol. Ani w domu, ani w szkole żadnych nieprawidłowości nie wykryto. Został tylko odór pomówienia.

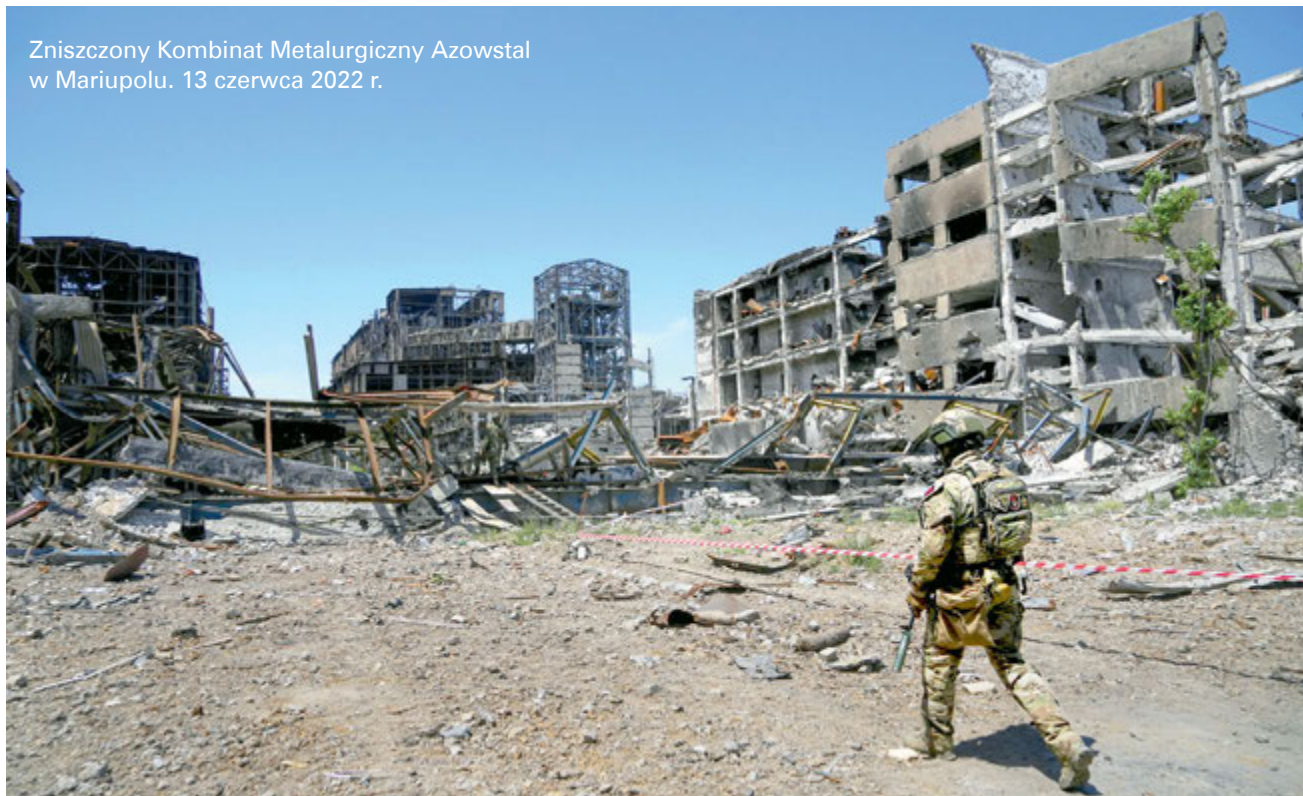
Wszystko dlatego, że sfrustrowany był partner, który stosował wobec niej przemoc – sprawa została umorzona – złożył fałszywy donos. Teraz w szkole nauczyciele na córkę Pauliny patrzą bardzo uważnie. W końcu to ta, której mama może pić. Paulina: – Szczerze? Zastanawiam się, czy nie zmienić szkoły. Zmiana w stosunku do nas jest naprawdę odczuwalna. Chce mi się wyć, bo w niczym nie zawiniłam, pracuję, spokojnie żyję, a muszę się borykać z czymś takim. To niegodziwe.

Co ciekawe, Najwyższa Izba Kontroli nie ocenia działań komisji pozytywnie. Przykładem jest kontrola przeprowadzona w 2014 r. w Gnieźnie, która wykazała, że „tryb prowadzenia postępowania w stosunku do osób nadużywających alkoholu nie zapewnił sprawnego i efektywnego wykonywania czynności zmierzających do orzeczenia o zastosowaniu obowiązku poddania się leczeniu odwykowemu”. Czas prowadzenia spraw przekroczył 100 dni (wynosił od 242 do 736 dni). Efekt? Żaden, bo jeśli osoba faktycznie nadużywała alkoholu, ani nie przyśpieszono leczenia, ani nie zapobieżono negatywnym zjawiskom w rodzinie. Za to w przypadku osób, które zostały pomówione, a donos był elementem strategii procesowej, procedura działa świetnie. Powoduje stres, rujnuje zdrowie, faktycznie wpływa na „rozkład pożycia rodzinnego” i psuje opinię. A obronić się nie można. ■

Polskie mrzonki o odbudowie Ukrainy

Powojenna odbudowa pochłonie biliony dolarów i potrwa dekady. Ale nasze firmy na tym nie zarobią

Zniszczony Kombinat Metalurgiczny Azowstal w Mariupolu. 13 czerwca 2022 r.



Marek Czarkowski

Gdy 24 lutego br. wojska Federacji Rosyjskiej zaatakowały Ukrainę, było jasne, że po zakończeniu działań wojennych kraj zostanie odbudowany. Komisja Europejska, rządy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii niemal natychmiast rozpoczęły prace nad programami pomocowymi, które miałyby ułatwić Kijowowi realizację tego zadania.

Polska także zadeklarowała chęć wzięcia udziału w tym dziele. Mówili o tym nie tylko premier Mateusz Morawiecki i ministrowie jego rządu,

ale też prominentni politycy opozycji z Donaldem Tuskiem na czele. Pod koniec maja prezydent Andrzej Duda, występując przed ukraińską Radą Najwyższą, na Forum Ekonomicznym w Davos i w wywiadzie dla CNN, dowodził, że powinien powstać specjalny fundusz, który sfinansuje odbudowę kraju. „Są dzisiaj zamrożone gigantyczne rosyjskie pieniądze na świecie, szacuje się, że jest to ponad 300 mld dol. To przede wszystkim z tych pieniędzy powinna być odbudowywana Ukraina”, mówił.

Wizję naszych firm podnoszących z gruzów ukraińskie miasta, wsie i zakłady przemysłowe oraz

odbudowujących zniszczone drogi, mosty, lotniska i budynki użyteczności publicznej mąci fakt, że osobą odpowiedzialną za powstanie rządowego kompleksowego planu powojennej pomocy dla Kijowa jest wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin. Polityk wstawiony nie tylko przygotowaniem tzw. wyborów kopertowych, ale też ubiegłorocznym projektem budowy „rozlewni szczepionek” przez Polfę Tarchomin.

Dziś Polska pod względem wielkości pomocy militarnej udzielanej Ukrainie jest trzecim krajem, po Stanach Zjednoczonych i Wielkiej

Brytanii. Ale kiedy przyjdzie do podziału kontraktów na odbudowę, sojusznicy nie dadzą nam zarobić. Tak, jak zrobili to niegdyś w Iraku.

Jak to się robi w Bagdadzie

Przed atakiem wojsk koalicji pod wodzą Stanów Zjednoczonych na Irak w 2003 r. Pentagon twierdził, że koszt wojny nie powinien przekroczyć 95 mld dol. Amerykanie szacowali, że na likwidację zniszczeń wojennych, pomoc humanitarną i tworzenie demokratycznych struktur nowego państwa trzeba będzie przeznaczyć dodatkowe 200 mld. Potem te kwoty błyskawicznie rosły. Tylko na operacje wojskowe USA wydały ponad 800 mld dol. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii prof. Joseph Stiglitz szacował, że wszystkie koszty, jakie Stany Zjednoczone poniosły w Iraku, to kwota 2-4 bln dol.

Kraj, z wyjątkiem kontrolowanych przez Kurdów regionów północnych, został zniszczony, a jego odbudowa w latach 2003-2008 okazała się farsą i wielkim festiwalem korupcji. Irak, który pod względem wielkości zasobów ropy naftowej ustępuje tylko Arabii Saudyjskiej, w 2020 r. miał – według Banku Światowego – PKB na głowę mieszkańca w wysokości 4145,9 dol. Dla porównania – w roku 1990 było to 10 356,9 dol.

W 2004 r. dziennik „Washington Post” pisał o powiązaniach koncernu Halliburton, na czele którego w przeszłości stał ówczesny wiceprezydent Dick Cheney, z administracją prezydenta Busha. Rok po ataku sił koalicji na Bagdad Halliburton był największym prywatnym podwykonawcą dla oddziałów amerykańskich w Iraku. Wartość zawartych kontraktów przekraczała 11 mld dol. Nic dziwnego, że w amerykańskich mediach i internecie zaroilo się od teorii, że wiceprezydent Cheney robił wszystko, żeby koncern, którym przedtem kierował, zarabiał jak najwięcej. Halliburtonowi to nie zaszkodziło. W kolejnych latach wartość umów zawartych z amerykańską armią wzrosła do 17 mld dol.

Z kolei koncern budowlany Bechtel otrzymał wart 2,5 mld dol. kontrakt na budowę szkół i szpitali w Iraku. Jednak żadna taka placówka nie

została wybudowana w terminie i za cenę zapisaną w kosztorysie. Pech dopadł również firmę Custer Battles, której udowodniono zawyżanie rachunków na 10 mld dol.

W roku 2003 rząd premiera Leszka Millera zdecydował o udziale niewielkiego kontyngentu wojsk polskich w ataku na Irak. Amerykanie zaproponowali nam region między Basrą a Bagdadem, który miało kontrolować 2,5 tys. polskich żołnierzy. Nasz rząd zgodził się, pod warunkiem że Stany Zjednoczone pokryją wszelkie koszty.

W ślad za wojskiem mieli pociągnąć polscy przedsiębiorcy. Plany były ambitne. Budimex, który w latach 80. budował drogi i autostrady w Iraku, liczył, że wróci nad Eufrat. Podobnie Energobudowa, Bumar, Stalexport czy radomski Łucznicz, gotowy wyposażyć nową iracką armię w kałasznikowy.

Osobą odpowiedzialną za plan powojennej pomocy dla Kijowa jest wicepremier Jacek Sasin, wsławiony projektem budowy „rozlewni szczepionek” przez Polkę Tarchomin.

Rząd zbierał oferty i starał się przekonać Amerykanów, by cokolwiek „odpalili” naszym firmom. Efekty były skromniutkie. Minister spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz wspominał kiedyś, że rząd liczył na uzyskanie przez polskie koncerny – Orlen i Rafinerię Gdańską – bezpośredniego dostępu do irackich złóż naftowych. Okazało się to mrzonką. W tym czasie nasze rafinerie były przystosowane do przerobu wyłącznie rosyjskiej ropy.

Udało się jedno przedsięwzięcie. W grudniu 2004 r. Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego Bumar podpisało w Warszawie wartę 240 mln dol. dwie umowy na dostawę sprzętu i uzbrojenia dla irackiej armii. Ze strony Bagdadu podpisał ją dr Ziad Cattan – postać barwna i dobrze znana nad Wisłą. Ojciec dr. Cattana był generałem w armii Saddama Husajna, w latach 80. wysłał syna na studia do Polski. Po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej w 1991 r. Ziad Cattan zdecydował się zostać w Polsce i zająć

biznesem. Tuż przed wybuchem drugiej wojny w roku 2003 znalazł się w Bagdadzie, oficjalnie po to, by wywieźć ojca z kraju. Gdy Amerykanie zajęli miasto, Cattan został burmistrzem jednej z dzielnic. A później wiceministrem obrony narodowej w rządzie Ijda Alawiego, odpowiedzialnym m.in. za zakupy uzbrojenia dla nowej armii irackiej. W 2005 r., po przegranych przez Alawiego wyborach i objęciu władzy przez ekipę premiera Ibrahima al-Dżafariego okazało się, że, delikatnie mówiąc, są niejasności w kontraktach na dostawę uzbrojenia na kwotę 1,5 mld dol. Odpowiadał za nie wiceminister Ziad Cattan.

O defraudację oskarżono poza nim 23 osoby. Posiadający polskie obywatelstwo dr Cattan odnalazł się w Warszawie i tłumaczył, że zarzuty są bezpodstawne, a wszystko to intrygi przeciwników politycznych. Później w zaocznym procesie iracki

sąd skazał go na 180 lat więzienia i zwrot 800 mln dol. Mijały lata, ale w Bagdadzie o nim nie zapomniano. W styczniu 2017 r. Ziad Cattan został zatrzymany w stolicy Jordanii Ammanie i przekazany Irakijczykom. Rok później wyszedł z aresztu, wrócił do Polski i od tego czasu o nim cicho.

W listopadzie 2003 r. dyrektorem polityki gospodarczej w tymczasowych władzach koalicyjnych Iraku został prof. Marek Belka. Czasy były trudne. Z USA do Bagdadu dolary wożono w materacach, bo tak łatwiej można było je pakować do samolotów. Korupcja w kraju osiągnęła gigantyczne rozmiary. W tych warunkach o polityce gospodarczej trudno było mówić.

W sierpniu 2005 r. agencja AP cytowała wypowiedź prof. Belki, który w trakcie międzynarodowej konferencji „Jak żyć razem na Ziemi” zorganizowanej w szwedzkiej miejscowości Tällberg miał powiedzieć, że próby powojennej odbudowy Iraku „całkowicie się nie powiodły”, a Stany

► Zjednoczone i ich sojusznicy popełnili błąd, opierając plany odbudowy Iraku na doświadczeniach z odbudowy Niemiec po II wojnie światowej.

Za to nieźle radzili sobie nasi wojskowi. W lutym 2005 r. podczas rewizji bagaży oficerów wracających z III zmiany naszego kontyngentu w Iraku żandarmeria wojskowa znalazła ok. 90 tys. dol. w gotówce. Było jasne, że to nie zaoszczędzony żółd. Ruszyło śledztwo, które ujawniło, że płk Mariusz S. oraz jego współpracownicy pobierali od przedstawicieli lokalnego biznesu zwyczajowe 10% tzw. bakszyszu. W sumie miało tego być ok. 250 tys. zielonych. Pierwszy proces rozpoczął się w roku 2005. Jeszcze w 2017 r. „afarą bakszyszową” zajmował się Sąd Najwyższy. Mariuszowi S., byłemu już pułkownikowi, groziło 12 lat więzienia. W mediach spekulowano, że „skoro zwykły pułkownik wziął 250 tys. dol., to ile mogli wziąć generałowie”, lecz wojskowi prokuratorzy nie poszli tym tropem.

Jeśli Ukraina wygra z Rosją

Wszelkie rozważania na temat odbudowy Ukrainy nie mają sensu, jeśli Rosjanie wygrają tę wojnę. Z wypowiedzi rosyjskich dziennikarzy, ekspertów i polityków wynika, że Moskwa nie będzie się paliła do podnoszenia jej z gruzów.

Polska pod względem wielkości pomocy militarnej udzielanej Ukrainie jest trzecim krajem, po Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

Rosja to wielki kraj, w którym brakuje wykwalifikowanej siły roboczej. Ukraińcy mogą znaleźć pracę na Syberii, a nawet na Dalekim Wschodzie. Od kilku lat w Federacji Rosyjskiej obowiązuje uproszczona procedura przyznawania obywatelstwa mieszkańcom obwodów ługańskiego i donieckiego, którą teraz objęto także ludność obwodów chersońskiego i zaporoskiego.

A co się stanie, jeśli Ukraina wygra wojnę albo przynajmniej utrzyma

obecny stan posiadania? Wiceminister gospodarki Ukrainy Denys Kudin szacował, że po 20 dniach działań wojennych zniszczenia były tak wielkie, że odbudowa kraju kosztowałaby 121 mld dol. Po przeszło 100 dniach koszty te muszą być znacznie większe. To nawet 1 bln dol. – i stale rosną, gdyż każdego dnia armia rosyjska niszczy kolejne zakłady



przemysłowe, obiekty infrastruktury wojskowej, drogowej, kolejowej i cywilnej.

Nie wydaje się, by Unia Europejska, Stany Zjednoczone i ich sojusznicy byli w stanie zmobilizować tak wielkie środki. I tak szybko, jak życzyłyby sobie władze w Kijowie. Ukraińcy np. zakładają, że do 2024 r. kraj stanie się pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej. Że uda się

wznówić pracę portów i odbudować oraz rozwinąć połączenia drogowe, kolejowe i lotnicze z Europą.

Kijów przewiduje też budowę potężnego kompleksu wojskowo-przemysłowego oraz transfer zaawansowanych zachodnich technologii. Chce niemal nieograniczonego dostępu do rynków Unii Europejskiej.

W maju Komisja Europejska ogłosiła, że na cele społeczne, gospodarcze i finansowe Ukrainy od początku inwazji uruchomiła 4,1 mld euro.

Dodatkowo w ramach Europejskiego Instrumentu na rzecz Pokoju przekazała Polsce, Słowacji, Łotwie, Litwie i Estonii 1,5 mld euro, a kolejne 500 mln jest w toku. Środki unijne stanowią rekompensatę za wystawione do Ukrainy uzbrojenie.

Na razie niewiele wiadomo o planach odbudowy, nad którymi trwają obecnie prace w Brukseli. Prezydent Andrzej Duda i premier Morawiecki starają się stworzyć wrażenie, że Polska ma solidną przewagę w walce o zamówienia na odbudowę Ukrainy. Lecz tak się nie stanie.

Amerykanie i zachodni Europejczycy dobrze wiedzą, jak duża jest korupcja u naszych sąsiadów, i z pewnością będą chcieli mieć decydujący głos w wyborze kontrahentów. Polskie firmy w najlepszym wypadku mogą liczyć na podwykonawstwo. Amery-

kańskie, hiszpańskie czy tureckie koncerny budowlane będą miały przewagę, oferując niższe ceny albo mając lepsze doświadczenia do decydowania. Jeśli chodzi o transfer zaawansowanych technologii, to nie ma o czym mówić. Polska od dziesięcioleci – wraz z Rumunią i Bułgarią – znajduje się na końcu wszelkich rankingów dotyczących badań i rozwoju oraz współpracy nauki z przemysłem. Nie będziemy mieli wiele do zaoferowania.

Co gorsza, pieniądze, które Unia Europejska i Stany Zjednoczone wpompują w ukraińską gospodarkę, sprawią, że wyrośnie nam poważny konkurent. Dysponujący czterema elektrowniami atomowymi, a więc dostępem do taniej energii elektrycznej.

Dla niemieckich koncernów tania ukraińska siła robocza będzie bardziej atrakcyjna niż polska. A to oznacza, że więcej zamówień trafi nad Dniepr niż nad Wisłę. Odczujemy to o wiele silniej niż poniżenie związane z odbudową Iraku. Cóż, my liczymy na przyszłość, Amerykanie, Niemcy i Brytyjczycy robią interesy.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Do ostatniego Ukraińca?

Zadna opinia nie irytuje mnie tak jak ta, powtarzana w kręgach lewicowych: „USA walczą w Ukrainie do ostatniego Ukraińca”. Irytuje mnie nie dlatego, że jest fałszywa. Ameryka rzeczywiście ma interes w osłabianiu Rosji, choć można się spierać, czy interes ten – w obliczu rosnącej potęgi Chin – jest zdefiniowany prawidłowo. A przecież ten interes jest nie tyle amerykański, ile przede wszystkim europejski, a że działania Amerykanów usunęły go w cień, to dlatego, że – z powodu geograficznej bliskości i ekonomicznych powiązań – postępowanie Europejczyków z Rosją jest trudniejsze. Choć i tak komentarze premiera Wielkiej Brytanii nie ustępują w sile podobnym komentarzom prezydenta USA. I nie przypadkiem Finlandia i Szwecja chcą dziś nagle znaleźć się w NATO.

Co bowiem jest pierwotne, a co wtórne? Pierwotny jest fakt, że przed wiekami Korona Królestwa Polskiego, Rzeczpospolita, była tym bytem politycznym, z którego wyłoniła się (bynajmniej nie bezkonfliktowo) Ukraina. Ale istotny jest też fakt, że Polska i Rosja przez wieki odmawiały Ukrainie prawa do odrębności. A nawet więcej: Polska i Rosja godziły się ze sobą na trupie Ukrainy. Tak było w „pokoju wieczystym” roku 1686, tak było w pokoju ryskim roku 1921.

Pierwotny jest również fakt, że Ukraina, dążąc do niepodległości, dopuściła się – rękami Ukraińskiej Powstańczej Armii – potwornych zbrodni. Ale istotny jest też fakt, że UPA była reakcją na antyukraińską (niechby z konieczności) politykę II RP oraz na ludobójczą (już bez konieczności) politykę Józefa Stalina. A zgnicenie UPA, dokonane zwłaszcza przez ZSRR, także nastąpiło wśród straszliwych okrucieństw. Jest wreszcie istotny (choć mało znany) fakt, że po roku 1945 niektóre oddziały podziemia postakowskiego porozumiały się z niektórymi oddziałami UPA. Czy dziś mamy być bardziej pamiętliwi od ludzi sprzed 77 lat? Odżywająca w Ukrainie symbolika UPA słusznie nas oburza, ale dziwić nie powinna, skoro dla Ukraińców jest apoteozą ich walki o wolność. Bohaterów o tym stopniu (zbrodniczej) determinacji, co nacjonalistyczna UPA, Ukraińcy nie mają, lecz dziś, walcząc o niepodległość, na pewno na nazwę banderowców nie zasługują. Zwłaszcza w Ukrainie wschodniej.

Aksjomatem Europy po Jesieni Ludów roku 1989 było poszanowanie granic. Te granice nie zawsze były

sprawiedliwe – czy jednak istnieją granice dla wszystkich sprawiedliwe? Państwo niemieckie mogło upomnieć się o Szczecin i Wrocław – czy miało być argumentem, że Niemców tam nie ma, bo zostali wysiedleni? Państwo rosyjskie upomniało się o Krym i Donbas – czy miało być argumentem, że Rosjanie tam są, bo nie zostali wysiedleni? Dzisiejsza Ukraina wyłoniła się z Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, lecz ta republika nie była (jak twierdzi Władimir Putin) wymysłem, lecz przeciwnie, reakcją Lenina na wcześniejsze próby odrębnej ukraińskiej państwowości. W roku 1991 państwo o nazwie Ukraina wyodrębniło się z państwa o nazwie ZSRR, tak jak uczyniły to inne radzieckie republiki związkowe, w tym Rosja. Dziś jednak pretensje terytorialne zgłaszane są tylko wobec Ukrainy. I głównie od niej, napadniętej, oczekuje się pokoju.

Rosja (wraz z Białorusią) podpisała z Ukrainą 8 grudnia 1991 r. układ o rozwiązaniu ZSRR, a więc de facto o odrębnych państwach. Rosja, w memorandum budapeszteńskim z 5 grudnia 1994 r., zagwarantowała Ukrainie (w zamian za jej rezygnację z arsenału jądrowego) niepodległość i terytorialną integralność. I podpisała

Ameryka, uzbrajając Ukrainę, niewątpliwie przedłuży wojnę, lecz zarazem broni ładu międzynarodowego, nienaruszalności granic.

to razem z USA i Wielką Brytanią. Dziś Ameryka, uzbrajając Ukrainę, niewątpliwie przedłuży wojnę, lecz zarazem broni zasady *pacta sunt servanda* (umowy zawarte obowiązują).

Ładu międzynarodowego, nienaruszalności granic. Czyli broni świata przed niebezpieczeństwem precedensu, przed polityką z pozycji siły, przed powrotem czasów, gdy realizacją politycznych celów były wojna i podbój. Tak, Ameryka angażuje się w wojnę powodowana wielkomocarstwowym egoizmem, lecz przy tym angażuje się powodowana, też przecież znanym z dziejów, swym idealizmem. Tak czy inaczej, zaangażowanie USA nie jest pierwotne, lecz wtórne. I jakkolwiek patrzeć, to one ratują dziś honor świata.

Nie jestem człowiekiem lewicy, lecz zawsze mi się wydawało, że akurat ona ma wypisane na sztandarach hasło samostanowienia narodów. Napadu jednego państwa na drugie kto jak kto, lecz lewica nie powinna relatywizować, deklamować o wspólnej winie, odwracać kolejności faktów. Nieważne, czy fraza „Ameryka walczy do ostatniego Ukraińca” jest prawdziwa, czy fałszywa. Ważne, że jest nie na temat.

a.romanowski@tygodnikprzeklad.pl

Mateusz Mazzini

Choć nie przeszedł nawet do drugiej tury, bez wątpienia to on był największym zwycięzcą kwietniowych wyborów prezydenckich. Jeszcze w lutym, kiedy notowania Jeana-Luca Mélenchona spadły poniżej 10%, komentatorzy wieszczili kolejną wielką klęskę lewicy.

Entuzjazm i bunt

Minęły cztery miesiące i liczby pokazują, że będzie inaczej. W pierwszej turze czerwcowych wyborów parlamentarnych Nowa Ludowa Unia Ekologiczna i Społeczna (NUPES) Mélenchona szła ręką w rękę z formacją Macrona. W chwili oddania do druku tego tekstu NUPES przygotowywało się do roli drugiej siły politycznej w Zgromadzeniu Narodowym i głównej partii opozycyjnej.

Wstępne analizy elektoratów wskazują, że Mélenchona niosą dwie siły. Pierwszą jest entuzjazm młodych lewicowych wyborców. Wielu z nich przyznawało, że nie spodziewało się aż tak dobrego wyniku. Mélenchon, używając nieco wyświechtanej, lecz akurat w tym miejscu pasującej formułki, udowodnił młodym Francuzom, że inna polityka jest jeszcze możliwa.

Drugim napędzającym go żywiołem jest wzbierający nad Sekwaną bunt społeczny, wywołany rosnącym dystansem między mieszcząską klasą średnią i wyższą a pozostałymi grupami, głównie młodzieżą, migrantami i mieszkańcami małych miast. W ostatnim przedpandemicznym roku 2019 bezrobocie w grupie wiekowej 18-26 lat wynosiło aż 29%, o 3 pkt proc. więcej niż na początku pierwszej kadencji Macrona. Setki tysięcy Francuzów muszą szukać pracy w innych krajach europejskich (głównie Wielkiej Brytanii i Hiszpanii), a nawet w byłych francuskich koloniach. Już pierwszy rzut oka na postulaty programowe NUPES pokazuje, że właśnie próbą rozwiązania tych problemów Mélenchon przekonał do siebie rozczarowaną macronizmem część elektoratu.

Ryk Iwa

Jean-Luc Mélenchon tchnął nowego ducha we francuską lewicę. Czy na stałe?



Jean-Luc Mélenchon ma za sobą pół wieku działalności politycznej, ale przez większość tego okresu był szeregowym działaczem.

Obniżenie wieku emerytalnego z 62 do 60 lat, powrót do maksymalnie wysokich stawek podatków dochodowych dla najbogatszych, podniesienie płacy minimalnej o 15%, do 1,5 tys. euro miesięcznie, wreszcie stworzenie miliona nowych miejsc pracy. Ten zestaw idei (łącznie 650 projektów legislacyjnych przygotowanych przez NUPES) to nie tylko hołd dla tradycyjnych postulatów lewicowych, ale też sposób na zbudowanie realnej alternatywy dla gospodarczego liberalizmu Macrona. Nawet jeśli ekonomiści podchodzą do nich z umiarkowanym optymizmem. Program Mélenchona chwali Thomas Piketty, chociaż głównie za nowe obciążenia fiskalne. Inni podkreślają, że milion nowych miejsc pracy w krótkim czasie naręci i tak rosnącą we Francji inflację.

Za ciasno u socjalistów

Choć w tym roku Mélenchon kończy 71 lat, pod wieloma względami jest dla lewicy twarzą nową. Ma wprawdzie za sobą równo pół wieku działalności politycznej, ale przez zdecydowaną większość tego okresu był szeregowym działaczem, bliskim ludziom, niespecjalnie znanym na szczeblu ogólnokrajowym.

Pełne turbulencji były też od zawsze jego relacje z lewicowymi partiami politycznymi. Do Partii Socjalistycznej wstąpił w 1976 r., z jej ramienia startował z powodzeniem w kilku kampaniach samorządowych, po dekadzie wszedł nawet do Senatu jako najmłodszy polityk w historii Francji, zaledwie 35-letni. Nigdy jednak z głównym nurtem partii się nie identyfikował. Należał do

jej radykalnego skrzydła, aktywnie dążąc do fuzji PS z komunistami. Nie ukrywał swoich poglądów, spójnych z dogmatami starej, marksistowskiej lewicy. Sam był trockistą, wierzył w ponadnarodową rewolucję proletariatu, klócił się z mieszczańskimi eurokomunistami z Paryża.

Starych mistrzów raczej wielbił, niż dokonywał rewizji ich doktryn. Nigdy zresztą tych sympatii się nie wyzbył. Jeszcze w trakcie poprzedniej kampanii przed wyborami prezydenckimi regularnie powoływał się na latynoamerykańskie legendy, z Fidelem Castro i Che Guevarą na czele. Jedną z najczęściej przywoływanych anegdot o nim jest wspomnienie wizyty w Wenezueli w 2012 r., kiedy na przejażdżkę po Caracas wziął go sam Hugo Chávez. Mélenchon powiedział wtedy, że nigdy wcześniej nie spotkał się z tak silnym politycznym duchem – do tego stopnia, że podobno w samochodzie to Chávez mówił, a Mélenchon płakał, jednocześnie z podziwu i wzruszenia.

Z czasem w partii zaczęło się mu robić zbyt ciasno. Im bardziej socjaliści dryfowali w kierunku centrum, tym bardziej Mélenchon odbijał w kierunku socjalistycznego tradycjonalizmu. Na swoje poszedł wreszcie w 2008 r., uskrzydłony jedną z wiodących ról w zwycięskiej kampanii przeciwko unijnemu referendum konstytucyjnemu trzy lata wcześniej.

Odciał się od starej lewicy, ale nie od jej ideałów. Formację budował od nowa, z młodymi.

To kolejny stały element jego programu – niechęć do wszystkiego, co w polityce zagranicznej można wrzucić do worka z napisem „liberalny Zachód”. Od zawsze krytykował Stany Zjednoczone, szedł w antyimperialistycznym pochodzie z różnej maści alterglobalistami i coraz skromniejszym ruchem komunistycznym. Za Unią Europejską nigdy nie przepadał, nazywał ją „gangiem neoliberalistów” i postrzegał głównie jako strefę wolnego handlu, a nie wspólnotę celów politycznych. Niepozbowiony był natomiast sympatii do Rosji Putina. Nie do końca wiadomo, czy zrobił to

z przekory, czy z autentycznego podziwu dla jednoosobowych rządów silnej ręki, ale w 2016 r., przy okazji rozpoczęcia rosyjskiej interwencji w Syrii, wyraził swój optymizm, mówiąc, że „Putin ogarnie ten bałagan”. Przez lata w międzynarodowej świadomości funkcjonował przez to jako jeden z rosyjskich agentów wpływu w Europie Zachodniej, stojąc pod tym względem w jednym szeregu z przeciwną mu niemal we wszystkich kwestiach Marine Le Pen.

Mélenchon to nie tylko ideowiec, ale przede wszystkim polityk waleczny.

Mélenchon to jednak nie tylko ideowiec, ale przede wszystkim polityk waleczny. Cytowani przez portal Politico jego byli współpracownicy opisują go nawet jako „w 90% wybitnego i charyzmatycznego mówcę, w 10% szalonego i pełnego paranoi lidera”.

Wiele o nim można powiedzieć, ale nie to, że jest człowiekiem kompromisu. Tak też było w 2008 r. – po odejściu od socjalistów założył Partię Lewicową, która jednak nigdy nie wyniosła go nawet na takie poziomy wpływu politycznego jak w poprzednim ugrupowaniu. Do pierwszej ligi wrócił dopiero w 2016 r., wraz z jeszcze inną formacją, La France Insoumise, czyli Francją Niepokorną. Po

drodze były wybory prezydenckie w 2012 r. i czwarte miejsce, choć bez iluzji, że można było osiągnąć więcej.

Człowiek spoza systemu

Niepokorna partia wreszcie była tym, czego potrzebował. Mélenchon odciał się od starej lewicy, ale nie od jej ideałów. Formację budował od nowa, z młodymi. Był dla nich wiarygodny, bo od socjalistów i komunistów odciał się na tyle wcześniej, żeby nie skalać się skrętem w kierunku ekonomicznego liberalizmu. Mógł zatem swobodnie krytykować

wszystko i wszystkich. Sprzyjały mu także okoliczności. Trafił na nową falę rozczarowania kapitalizmem, niosącą przede wszystkim młodych, niemogących przebić szklanego sufitu coraz większych nierówności społecznych. Nawiązał z nimi porozumienie, oparte właśnie na bezpośredniości, efektywnej retoryce i obietnicy ignorowania politycznych konwenansów. Przekonał miliony wyborców, że jest człowiekiem spoza systemu, nieskazanym udziałem w polityce najwyższego szczebla. Mimo że był senatorem, samorządowcem, a nawet sekretarzem stanu w kohabitacyjnym rządzie Lionela Jospina.

Trzecie miejsce w tegorocznych wyborach prezydenckich było jego życiowym sukcesem. Do wejścia do wyborczej dogrywki zabrakło niewiele. Ostatecznie Jean-Luc Mélenchon zdobył 21,95% głosów, w liczbach bezwzględnych to 7,7 mln. Do drugiej Marine Le Pen zabrakło mu 400 tys. głosujących, co przy niemal 40 mln ważnych kart do głosowania jest liczbą naprawdę niewielką. Imponujący był zwłaszcza wynik wśród młodych – tu Mélenchon pokonał i Macrona, i Le Pen, zgarniając praktycznie co trzeci głos Francuzów pomiędzy 18. a 34. rokiem życia (dane za Ipsos France i francuskim MSW).

Podczas gdy Macron koncentrował się na dyplomacji, a Le Pen i Zemmour straszili naciągającymi migrantami i rosnącą przestępczością, Mélenchon jako jedyny odnosił się do frustracji najmłodszego pokolenia wyborców. Mówił przede wszystkim o zablokowanej mobilności społecznej i rosnących nierównościach, zwłaszcza materialnych. Grał tutaj na słabości Macrona, który sam pięć lat wcześniej szedł pod sztandarami spłaszczenia struktury społecznej Francji, ale jego liberalna doktryna ekonomiczna przyniosła skutek dokładnie odwrotny. Dużo paliwa dał mu również dyskurs klimatyczny, we Francji mający szczególną wartość mobilizującą dla młodych. W grupie wiekowej 18-24 lata był to nawet najważniejszy czynnik decydujący o wyborze kandydata, jako kluczowy wskazał go prawie ▶

► co drugi (49%) wyborca. Mélenchon zbudował więc sprawną machinę wyborczą, w której połączył własne korzenie ideologiczne – lewicowy materializm, walkę z wykluczeniem klasowym – z zeitgeistem. Do drugiej tury nie wszedł. Do elity francuskiej polityki już tak.

Jak długo na fali

Jeszcze w kwietniu jasne było, że ten wynik będzie miał reperkusje. O prezydenturze lider lewicy marzył już raczej przestał, wszystko wskazuje, że za pięć lat nie będzie startował. Rozgrywkę o Pałac Elizejski potraktował jednak jako uverture do walki o realny wpływ na politykę, czyli większość w parlamencie. Obie elekcje dzieliły zaledwie dwa miesiące, Francja zatem z trybu kampanijnego praktycznie nie wyszła ani na chwilę. Zaraz po wynikach drugiej tury, kiedy Macron świętował reelekcję, Mélenchon na nowo zaczął mobilizować swoją ekipę. Na jednym z pierwszych wieców przed wyborami parlamentarnymi powiedział do zwolenników: „Musicie spisać

się lepiej”. Po czym dodał: „Wybierzcie mnie na premiera Francji!”. Znając go, nie żartował ani trochę.

Pierwsza tura wyborów parlamentarnych pokazała, że cel ten nie musi być wcale niemożliwy do zrealizowania. W procentach jest prawie remis. Skupiona wokół Macrona koalicja Ensemble! zdobyła 25,75% głosów,

głosów. Tam, gdzie żaden kandydat nie przekroczył wymaganego progu, odbędzie się druga tura.

Już teraz widać jednak, że nawet kataklizm nie zabierze NUPES przyzwoitego wyniku. W najgorszym razie będzie trzecią siłą, choć na porażkę ze Zjednoczeniem Narodowym Marine Le Pen raczej już się nie zanoszą. Pewne

Jako jedyny w kampanii Mélenchon odnosił się do frustracji najmłodszego pokolenia wyborców.

NUPES – 25,66%. Nie musi to jednak wcale oznaczać zwycięstwa ekipy prezydenckiej, bo we francuskim systemie nawet głosowanie do Zgromadzenia Narodowego jest dwuetapowe. Żeby uzyskać mandat, trzeba zdobyć co najmniej jedną czwartą głosów wszystkich wyborców zarejestrowanych w danym okręgu. Decydują zatem liczby bezwzględne, a nie procenty. Dlatego m.in. pewna miejsca w parlamencie nie jest nawet Marine Le Pen, pomimo 55-procentowego poparcia – przy niskiej frekwencji to wciąż za mało

jest natomiast to, że Mélenchon na lewicy nie ma sobie równych. Ostatnie dwie kampanie wyborcze to spacer po trupach dawnych gigantów, socjalistów i komunistów. Pod nowym szyldem ma wprowadzić wiele różnych zespołów, od trockistów po ekologów i działaczy ruchów miejskich, ale sprawnie nimi zarządza. Jest też ewidentnie na fali, każde kolejne wybory idą mu lepiej od poprzednich. Tylko sam Jean-Luc Mélenchon wie, dokąd tak naprawdę może zajść.

m.mazzini@tygodnikprzeklad.pl

WYDAWNICTWO
vis-à-vis
etiuda
POLECA
GEORGE ORWELL
DZIEŁA ZEBRANE

ZAMÓW NA:
www.etiuda.net

GEORGE ORWELL 1984

GEORGE ORWELL
Futurk zwycięzcy

GEORGE ORWELL
Na dnie w Paryżu i Londynie

GEORGE ORWELL
Brak tchu

GEORGE ORWELL
W hotelu Katalonii

GEORGE ORWELL
Miech żyje Angielski!

GEORGE ORWELL
Birmańskie dni

Książki do kupienia w dobrych księgarniach, na empik.com, bonito.pl, www.etiuda.net
Wydawnictwo Vis-à-vis Etiuda tel: 600442702



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Niech rozkwita milion bomb

Militaryzm. Słowo dziwne. Jakby dawne. Z innego elementarza politycznego. Zakurzone? Niekoniecznie, nie ma takiej śmiercionośnej broni, której nie można odkurzyć, naoliwić, użyć, wystrzelić. Militaryzm ma się doskonale, choć ze słowników debat zniknął, skrył się pod siatką maskującą słów zasłon, słów kłamstw, słów propagandy naszej codziennej: bezpieczeństwo, ład światowy, Putler, sojusze obronne. Nasze rakiety są zawsze obronne, ich – ofensywne, nasze helikoptery bronią, ich – atakują, nasze samoloty chronią, służą, obserwują, ich – śledzą, naruszają, prowokują. Wojna nie przychodzi nigdy znieacka, oczekujemy jej tak bardzo, że nie potrafimy dojrzeć symptomów, znaków, zapowiedzi mordu zinstytucjonalizowanego. Szczególnie jeśli to także nasze „instytucje”, te dobre, cywilizowane, europejskie, amerykańskie. Martwy język wojennych metafor, konstatacji, przewidywań, mobilizacji i tego stadnego „murem za naszym mundurem” odżywa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: „Wojna! Cieszcie się narody! Będziecie ginąć! Będziecie cierpieć! Będziecie gwałcone! Wasze domy obrócą się w perzynę! Wasze fabryki spłoną! Nie będzie wody! Nie będzie co jeść! Nie będzie dokąd i jak uciekać!”.

Ale hola, hola. Nie wszyscy lamenują. Nieliczni zacierają ręczki, rozsyłają raporty giełdowe, widzą wzrost swój ogromny. Wojna ma wiele wymiarów.

My oglądamy pejzaż zniszczenia i pożogi, witamy uciekinierów, patrzymy pustym wzrokiem na rowy wypełnione ciałami. Inni nie odrywają wzroku od arkuszy kalkulacyjnych. Nie było miliardów na żywność, dostęp do wody, szkoły, szczyptenia, szpitala, drogi, miejsca pracy. Nie było? Są natychmiast na czotgi, rakiety, samoloty, okręty. Śnimy jakieś sny dawne o wojnach narodów, państw, ideologii, przekonań, roimy o fatamorganie „Zła” i o waleczności „Dobra”. Tymczasem wojna ma swoją dynamikę produkcyjną, zarobkową, ktoś powie gospodarczą, tak, owszem, musi się kręcić. Z 40 mld dol. przeznaczonych na dozbieranie Ukrainy większość trafi w ręce producentów broni, takich jak Raytheon Technologies, General Dynamics, Northrop Grumman, BAE Systems, Lockheed Martin i Boeing. Amerykański budżet wojskowy (wojenny?) w ostatnim roku to ponad 800 mld dol. – przypomina, wyluskuje Chris Hedges (chrishedges.substack.com/p/no-way-out-but-war?s=).

W naszej debacie wokół wojny w Ukrainie USA nie istnieje. Zło ma jedno imię, jedno nazwisko, jedną twarz. Nie ma wątpliwości, że to wojska rosyjskie najechały Ukrainę, że od ośmiu lat tlił się tam niezrozumiały i słabo opisany konflikt militarny. Ale wojna nigdy się nie zaczyna jednego dnia co do minuty, każdy 24 lutego 2022 r. i jego godz. 5.00, 1 września

1939 r. z godz. 4.48, 7 grudnia 1941 r. z godz. 7.53, 22 czerwca 1941 r. z godz. 3.15 – ma swoją historię, kontekst, etapy, przygotowania, akty dezinformacji, manewry dyplomatyczne, formowanie koalicji.

Jest czymś niewyobrażalnie niezwykłym, że ten spektakl wojenny odżywa w starych dekoracjach, z pożółkłym libretto, z niezmaconym, zrezygnowanym „tak już jest”, „tak było i będzie”. Gina przestrogi tych, którzy mają czelność wojnie się przeciwstawiać. „Nie wiem, jaka broń będzie użyta w trzeciej wojnie światowej, ale czwarta będzie się toczyć na kije i kamienie”, miał stwierdzić Albert Einstein.

A w Polsce słodka militarystyczna wołtyżerka z prowójenną żonglerką. Cały świat polityczny mówi jednym głosem. Mateusz Morawiecki z za parawanu własnych milionów wystawia nas na śmiertelną szychotę: „Jeśli Rosji kiedykolwiek przyszłoby do głowy zaatakować Polskę, to Rosja musi wiedzieć, że w Polsce jest 40 mln Polaków gotowych z bronią w rękę bronić swojej ojczyzny”. Nagle, trzymając strzelającą rurę na strzelnicy w Myszkowie, nasz premier kłamczuszek zapomina,

Wojna ma wiele wymiarów. My oglądamy pejzaż zniszczenia i pożogi, inni nie odrywają wzroku od arkuszy kalkulacyjnych.

ilu obywateli i obywaterek żyje w kraju, którym z ich wyboru pozał się boże „rządzi”. Ze wśród nich są dzieci, staruszki, ludzie, którzy nigdy nie mieli broni w rękę. Albo tacy, którzy jej do ręki nie wezmą i nie wycelują. Metafora, powieście, to była. No cóż, ten rodzaj patriotycznego zadęcia, śmiechu wartego napuszenia jest czystą polityczną grafomanią. Ale w Polsce uchodzi. Podobnie jak głos byłego ministra spraw zagranicznych Radostawa „Robimy łaskę Amerykanom” Sikorskiego, który publicznie namawia do dozbrojenia nuklearnego Ukrainy. Trudno uznać to za głupotę. To coś gorszego i niewybaczalnego.

To prawda, że Polska nie jest bezpiecznym krajem. Marna edukacja, rozchybotana służba zdrowia, marne płace i nagminne naruszenia praw pracowniczych, brak perspektyw mieszkaniowych, zbliżająca się katastrofa energetyczna, kłęska neurodzaju z powodu suszy, zmiany klimatyczne. Wojna sprawia, że można o tym wszystkim już nawet nie myśleć, a tym bardziej się z tym zmierzyć.

Kiedy bomby lecą na głowy i domy, trudno mówić o prymacie pokoju. A kiedy nie leciały – mówiliście? Zabiegaliście? I jak wam poszło, rycerze przegranych batalii, mocarze peryferyjnych posterunków, posłuszni kupcy wojskowego złomu?

r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

WOJENNA GORĄCZKA

Świat się zbroi, kolejne miliardy trafiają na stół. Kto zarobi najwięcej?

Wojciech Łuczak

Nic tak nie pobudza popytu na rynkach uzbrojenia jak – wykreowany sztucznie lub stworzony przez nastrój chwili – stan zagrożenia. Żadne pokazy lotnicze, żadne targi ani latami prowadzona promocja nie zastąpią sukcesów konkretnych typów uzbrojenia na polu walki. W obu przypadkach wspólnym mianownikiem jest rosyjska agresja na Ukrainę i niewątpliwe sukcesy sił zbrojnych Kijowa w pierwszej fazie tej wojny – zapowiadającej się na coraz dłuższą.

Trzecia dekada XXI w. może przynieść kolejny rekord globalnych wydatków obronnych – 3 bln dol.

Zatem kupujemy na potęgę! Co raz doskonalsze systemy broni, najchętniej te, które sprawdziły się na ukraińskich polach bitew albo zostały medialnie wykreowane na bohaterów tych zmagania – tak jak tureckie bojowe bezzałogowce Bayraktar TB2.

Zapowiada się kosmiczny popyt

Wygląda na to, że atak Rosji na Ukrainę, hipotetyczna na razie inwazja chińska na Tajwan i zapowiedana przez analityków możliwość totalnego rozpadu rozchwianego układu stabilności międzynarodowej spowodują kosmiczny popyt na rynku uzbrojenia. Ale zostanie to wychwycone przez bilans zamówień złożonych w 2022.

Trzecia dekada XXI w. może więc przynieść kolejny rekord globalnych wydatków obronnych, z możliwym podniesieniem poprzeczki w okolicę szokujących 3 bln dol. Już rok 2021 – z czającym się dopiero kryzysem

wokół granic Ukrainy, mnożącymi się osiągnięciami techniczno-wojskowymi Chin i ciągle wysysającą miliardy interwencją koalicji saudyjskiej w Jemenie – przyniósł rekordowe wydatki. Świat, jak podał to pod koniec kwietnia zespół badaczy SIPRI, Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań Pokojowych, wyłożył na swoją obronność – po raz pierwszy w historii – 2,113 bln dol. O 0,7% więcej niż w 2020 r. i o 12% więcej niż w 2012 r.

A przecież krzywa obrazująca potworne roczne kwoty wydawane przez świat na zbrojenia

systematycznie spadała do połowy lat 90. ubiegłego wieku! Aż znalazła się na poziomie trochę powyżej 1 bln dol. Nie ma wątpliwości, że był to efekt upadku ZSRR i pokojowej dywidendy kresu rywalizacji ówczesnych supermocarstw. Potem jednak ruszyła w górę. Bardzo złośliwi dziś mogą powiedzieć, że było to związane z objęciem przez Władimira Putina prezydentury w 2000 r. Ale realnie rzecz ujmując, ogromne wydatki napędziły amerykańskie interwencje w Iraku i w Afganistanie. Były to czasy, kiedy US Central Command (CENTCOM), dowództwo odpowiedzialne za interesy USA na Bliskim Wschodzie i w Azji Centralnej, liczyło dzienne rachunki w grubych miliardach dolarów. W 2007 r. globalne wydatki zbrojeniowe przekroczyły pułap 1,5 bln dol. W latach 2013-2014 z kolei nieco opadły. Alpinizm krzywej, ponownie z pewnym opóźnieniem – w 2015 r. – uruchomiła coraz mniej kamuflowana neoimperialna

polityka Rosji, okupacja obszaru donieckiego i ługańskiego oraz inkorporacja Krymu. I tak my, obywatele planety Ziemia, doszliśmy do dwubilionowego rekordu 2021 r.

Klasa pierwsza i dalsze

Istotne jest to, że najwięksi światowi gracze zawsze będą zajmować czołowe miejsca na liście przeznaczających najwięcej na swoją obronę, ponieważ mają największe armie, a statystyka obejmuje całość, czyli także ogromne wydatki personalne. Dlatego USA, Chiny, Indie, Wielka Brytania i Rosja – w takiej właśnie kolejności – są na czele. Gigantyczna kwota ponad 800 mld dol., za którą Waszyngton prezydenta Bidena utrzymał w 2021 r. w sprawności swoją globalną maszynę wojkową, robi wrażenie (ten bilans nie obejmuje należności za broń nuklearną finansowanych z budżetu Departamentu Energii). Kraj Środka ze swoimi szacowanymi (a nie precyzyjnie udokumentowanymi) prawie 300 mld dol., to – jak widać – nadal zupełnie inna liga. Rosja mieści się dopiero w trzeciej klasie państw ze swoimi 65,9 mld dol., za Indiami – 76,6 mld dol. i Wielką Brytanią – 68,4 mld dol.

W bardzo wielu krajach tzw. majątkowa część wydatków obronnych – czyli na zakupy nowych systemów uzbrojenia, utrzymanie starych i remonty sprzętu – zbliżona jest do idealnych nieosiągalnych 50%. I tu docieramy do podniecającego dla wszystkich tematu – ile i kto zarabia na handlu bronią, czyli do tego, co się kupuje i za co.

Zacznijmy od potentata. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że dopiero pod koniec 2021 r. średnia wieku przeciętnego amerykańskiego



Takie wozy przeciwlotnicze Gepard z zapasów Bundeswehry otrzymała niegdyś Rumunia. Pojazdy uzbrojone w działa 35 mm mają w końcu trafić z niemieckich magazynów do rąk Ukraińców.



Amerykane są głównymi graczami na rumuńskim rynku. W Bukareszcie głównego partnera wystawy – Lockheed Martin – reprezentował Hercules C-130, a koncern General Dynamics – czołgi Abrams.

samolotu bojowego spadła z ponad 30 lat do... 29,1 roku. Dzięki zakupowi nowych myśliwców F-35, nowych samolotów tankujących KC-46 oraz nowych wersji transportowych C-130. Ale trzonem floty maszyn do uzupełniania paliwa w locie są nadal przeszło 60-letnie KC-135. Słynne bombowce strategiczne B-52, pamiętające czasy kryzysu karaibskiego i wojny wietnamskiej, w najnowszych wariantach, po nie wiedzieć ilu modernizacjach i remontach, pozostaną w służbie przez ponad 100 lat! Czemu warto to wiedzieć? Bo wielka, bazująca niemal na

wszystkich kontynentach armia pochłania krocie z funduszu osobowego i operacyjnego. A o pieniądze na tak chętnie pokazywane w mediach nowości w uzbrojeniu: nanoroboty czy inteligentne roje bezzałogowców – trzeba ostro się ścierać na waszyngtońskim Kapitolu. Warto także sobie uzmysłowić, że tylko na utrzymanie i uzbrojenie armii afgańskiej USA wydały w latach 2001-2021 prawie 85 mld dol. Finał widzieliśmy na lotnisku w Kabulu. W tym należy szukać przyczyn tego, że w okresie od 2012 do 2021 r. roczne fundusze Pentagonu na zakupy najnowszego

uzbrojenia spadły o 6,4%, a w skali dwuletniej, 2020-2021, o 5,4%. Teraz pewnie to się zmieni.

Chiny wychodzą na czoło

Kraj Środka jest absolutnym unikatem w skali świata, ponieważ jako jedyny ciągle i systematycznie podnosi skalę wydatków wojskowych od 27 lat, odkąd prowadzone były obserwacje i analizy SIPRI. W latach 2020-2021 Chiny powiększyły wydatki obronne o 4,7%, a licząc od roku 2012, aż o 72%. W 2021 r. Pekin zanotował wzrost PKB o 8,4% i przeznacza na obronę 1,7% PKB, czyli w przybliżeniu tę samą część swojego rosnącego produktu co w 2012 r. Koniecznym jednak trzeba sobie uświadomić, że coraz doskonalsze chińskie systemy uzbrojenia krok po kroku zdobywają rynki zagraniczne i nie jest wykluczone, że Chińczycy również będą w jakiś sposób beneficjentami spodziewanej gorączki zakupów uzbrojenia w latach 2022-2023. Jeśli ktoś przypuszcza, że klientami Chin są jedynie Pakistan, Bangladesz, Mjanma lub Algieria, a w Ameryce Łacińskiej Wenezuela, Boliwia, Peru czy Urugwaj – bardzo się myli. Chińskie bezzałogowce bojowe są już nieopodal nas – w rękach Serbów. Podstawą obrony przeciwlotniczej Belgradu będą zaś baterie tzw. chińskich Patriotów, czyli system rakietowy HQ-22 (oznaczenie eksportowe FK-3). Co bardziej pobudzające – w kwietniu 2022 r. zostały one dostarczone do Kraju Środka do Belgradu na pokładach wielkich, nowoczesnych, czterosilnikowych chińskich transportowców – Xi'an Y-20, w spektakularnym grupowym przelocie nad przestrzenią powietrzną państw NATO (po uzyskaniu ich zgody). Chiny dowiodły tym, że są w stanie dorównać logistyce wojskowej Sojuszu Atlantyckiego. A logistyka, tak kulejąca w Rosji – jest dziś decydująca. Najistotniejsze jest jednak to, że Chiny z wielkiego klienta rosyjskiej zbrojeniówki zmieniają się w poważnego dostawcę bardzo zaawansowanych technicznie systemów uzbrojenia dla Rosji (takich jak układy śledzenia pocisków balistycznych).

► Ile Rosja wydała na wojnę?

Rosja w 2021 r. wydała na obronę o 2,9% więcej niż w roku poprzednim i było to 4,1% jej PKB. Nie ma wątpliwości, że pieniądze te pochodzą z eksportu węgłowodorów oraz uzbrojenia. Co fascynujące, dotarły już pierwsze wiarygodne dane o finansowaniu jej wojny z Ukrainą. Z 65,9 mld dol., które Rosja wydała na obronność do końca 2021 r., aż 48,4 mld poszło na koszty operacyjne sił zbrojnych czy zakup nowych systemów uzbrojenia. Ta pozycja resortu obrony zwiększyła się aż o 14% w ciągu roku (42,3 mld dol. w 2020 r.). Tu są pieniądze, które utopiono w potężną mobilizację nadgraniczną przed atakiem na Ukrainę.

Wojna kosztuje. Mając te dane w pamięci, skonfrontujmy je z najnowszymi rewelacjami moskiewskiego Ministerstwa Finansów. Podało ono, że w pierwszym kwartale 2021 r. wydatki na obronność wzrosły o 40%. W tym okresie Moskwa wydała na obronę ok. 26,4 mld dol.,

ukraińskie pola nie są najlepszym chwytem reklamowym.

Przemysł zbrojeniowy Rosji musi też się borykać ze skutkami embarga przemysłowo-technologicznego. Borys Titow, pełnomocnik prezydenta Rosji ds. ochrony przemysłu przed skutkami embarga, ujawnił niedawno ze zgrozą, że w wielu przedsiębiorstwach dopuszczono do 40-procentowej zależności od importu z Zachodu. Nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, że czołg T-90 bez najnowszego systemu kierowania ogniem, zawierającego francuską matrycę optoelektroniczną, wart jest tylko tyle, co ostanająca go stal multiwarstwowa. Pytanie, jak bez niemieckich systemów precyzyjnej nawigacji Rosja poradzi sobie z budową pięciu gigantycznych lodołamaczy atomowych, które miały jej zapewnić panowanie nad Północną Drogą Wodną, pozostaje otwarte. Złośliwi jednak odpowiadają, że co najmniej pięciokrotnie może wzrosnąć import wysoko zaawansowanych technologii np. Kazachstanu...

bardzo bolesne, bo w zagranicznych kontraktach importowych zawartych przez Indie w latach 2018-2021 o wartości 12,4 mld dol. Rosja miała aż 44% z kwotą 5,51 mld dol.

Wielcy wygrani

Kto na tym wszystkim zyska najbardziej? Ci, których broń jest najbardziej skuteczna w Ukrainie. I ci, którzy grają pierwsze skrzypce w pomocy militarnej dla Kijowa. Nadchodzące drugie półrocze 2022 r. przyniesie dokładne dane. Rzut oka na listę największych krezusów przemysłu zbrojeniowego roku 2021 da już wstępną odpowiedź. Pierwsze pięć miejsc zajmują koncerny amerykańskie. To Lockheed Martin (62,562 mld dol. przychodu w 2021 r.). Producent myśliwców F-35, dostawca rakiet systemu Patriot oraz rakietowych zestawów przeciwpancernych Javelin i artyleryjskich HIMARS. To potentat rakietowy Raytheon (42 mld dol.), a na dalszych miejscach – Boeing (32,4 mld dol.), Northrop Grumman (31,4 mld dol.) – dostawca zintegrowanego systemu dowodzenia IBCS dla naszego programu Wista, i General Dynamics (29,8 mld dol.) – wytwórca naszych przyszłych czołgów Abrams. Ale na szóstej pozycji są już Chińczycy z Aviation Industry Corporation of China (25,468 mld dol.). Pierwsza europejska spółka o zasięgu globalnym, BAE Systems, zajmuje dopiero siódmą pozycję z przychodem na poziomie 23,5 mld dol.

O co toczy się gra w nowych, ważnych w dobie ukraińskiego kryzysu, krajach frontowych NATO, takich jak Polska czy Rumunia? O wykoszenie konkurencji i totalną dominację na lata. Kryzys ukraiński ma to przypieczętować. Na zakończonym niedawno, ważnym dla gry o Morze Czarne salonie przemysłu obronnego i lotniczego Black Sea Defence and Aerospace 2022 w Bukareszcie (18-20 maja) było to aż nadto widoczne. Zabrakło na nim państwowej Polskiej Grupy Zbrojeniowej, były zaś świetnie sobie radzące polskie spółki prywatne.

A kto był głównym sponsorem, pardon – partnerem, tej wielce pouczającej i ciekawej imprezy? Lockheed Martin. Co jest celem?

Najwięcej na swoją obronę przeznaczają USA, Chiny, Indie, Wielka Brytania i Rosja.

czyli prawie połowę z rocznej puli w rublach przewidzianej w budżecie na ten cel w 2022 r. Wniosek jest prosty – projektanci preliminarza budżetowego nie spodziewali się pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Oczekiwali blitzkriegu i przeliczyli się.

Rosja musi się liczyć także ze znacznym spadkiem zainteresowania jej bronią, która wcale nie dowiodła, że jest tak doskonała na polu walki. Zadbane np., aby bombowce taktyczne Su-34 wyszły z wojny w Syrii w aureoli zwycięzców. Promowano je do niedawna jako najlepsze na świecie w swojej klasie za umiarkowaną cenę 50 mln dol. (zainteresowała się nimi Algieria). Tymczasem nad Ukrainą okazały się nadzwyczaj podatne na trafienia rakietami z przenośnych ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych – MANPADS (polskie gromy i pioruny). Obrazy wraków dwuwirnikowych śmigłowców szturmowych Ka-52 zaścielających

Już nadeszły pierwsze ciosy. Rosjanie zawsze mieli problemy z terminowością dostaw uzbrojenia i jego serwisem dla jednego ze swoich największych klientów – Indii. Teraz to już makabra. Zagrożony jest podobno kontrakt na dostawę systemów rakietowych obrony przeciwlotniczej S-400. A także budowa fabryki karabinków szturmowych AK-203, która miała wytwarzać do 600 tys. egzemplarzy tej broni. Indie chcą też się wycofać z kontraktu (podpisanego w lutym br.) na 10 wyposażonych w radary śmigłowców wczesnego ostrzegania Ka-31 dla okrętów – za 550 mln dol. Delhi podaje w wątpliwość sens kontynuowania umowy na dostawę aż 80 maszyn Mi-17, bo po dostarczeniu 32 śmigłowców Moskwa nie realizuje jej terminowo. Nie jest wykluczone, że Rosja w ogóle straci Indie po zakulisowych zabiegach amerykańskich polityków. A to będzie już



Na salonie Black Sea Defence and Aerospace 2022 polski sprzęt reprezentowały rosomaki 17. Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej z naszego kontyngentu wojskowego z Krajowej w Rumunii.



Polskie systemy państwowych spółek prezentowali niestety tylko gospodarze. Nż. jeden z naszych czołowych produktów eksportowych – robot saperski Gryf w rękach żołnierzy rumuńskich.

Myśliwce F-35 dla Bukaresztu. Odbywa się to metodą subtelnej wyciskania politycznego i przemysłowego, oczywiście z udziałem gry ambicjonalnej (jesteście najważniejszym strażnikiem Morza Czarnego!). Po angielsku zwie się *squeezing*.

Przypomnijmy, że Rumuni już teraz są posiadaczami floty 17 F-16,

które w 2016 r. kupiono od Portugalii za 758 mln euro. A parlament w Bukareszcie zaaprobował właśnie zakup dalszych 32 byłych norweskich zmodernizowanych F-16 za skromną kwotę ponad 450 mln euro. Rumunia zobowiązała się niedawno do zwiększenia w 2023 r. swoich wydatków obronnych z 2% do 2,5% PKB.

Zostanie za to sfinansowany program budowy czterech wielozadaniowych korwet w Konstancy (partnerem jest francuskie konsorcjum Naval Group) za 1,2 mld euro. A obecnie mówi się o pozyskaniu aż kilku nowych okrętów podwodnych w związku z szeroko pojętą skomplikowaną sytuacją na Morzu Czarnym. Krążą pogłoski o programie wyboru nowych bojowych wozów piechoty i czołgów dla rumuńskich wojsk lądowych, który ruszyć ma do końca roku. Wysoki rangą dowódca rumuński powiedział mi na pożegnanie w Bukareszcie: – Starannie obserwujemy wasze polskie przedsięwzięcia modernizacyjne i wyciągamy wnioski.

No cóż, rzucającymi się w oczy eksponatami rumuńskiego salonu były amerykańskie czołgi Abrams...

Następni do wyciskania

Bez pudła następnym krajem, którego nowy rząd zostanie poddany obróbce metodą *squeezing*, będzie Republika Czeska. Praga i Budapeszt to jedyni w naszym rejonie świata użytkownicy myśliwców wielozadaniowych spoza stajni Lockheeda Martina. Nieba Czech i Węgier strzegą bowiem wyleasingowane szwedzkie maszyny JAS 39 Gripen. Słowacja zdecydowała się już na 14 F-16 w jednej z najnowszych konfiguracji C/D Block 70. Bułgaria postawiła, skromniej, na osiem nowych F-16V za 512 mln dol. Z uścisku ostatnio wymknęła się tylko Chorwacja, która pierwotnie chciała nabyć 12 używanych izraelskich F-16 C/D Barak za 500 mln dol. Tu nie ma taryfy ulgowej dla sojuszników. Transakcję zablokowali... Amerykanie (czyje silniki, czyje?), po to by zaoferować rządowi w Zagrzebiu swoje nowe F-16V. Na próżno. Chorwaci w końcu podpisali umowę z Francuzami na 12 używanych myśliwców Rafale F3R za okragły miliard euro.

Leasing 14 szwedzkich gripenów kończy się Czechom w 2027 r. Maszynka do wyciskania już pracuje. Czy Praga zdecyduje się na porzucenie Szwedów i przejście na F-16? Także o tym zdecydować może przebieg wojny w Ukrainie.

Wojciech Łuczak

ZHP w cieniu Boga i lustracji

Alternatywna rota przyrzeczenia harcerskiego wywołała wściekłe ataki prawicy

Małgorzata Żuber-Zielicz

Od miesiąca harcerstwo i Związek Harcerstwa Polskiego pojawiają się znacznie częściej w mediach. Wszystko za sprawą 42. Zjazdu ZHP zakończonego pod koniec maja. Tę erupcję zainteresowania wywołały nie jakieś nowe, rewelacyjne inicjatywy programowe lub pomysły na radzenie sobie ze zmianami obyczajowymi, problemami ekonomicznymi, społecznymi czy ekologicznymi.

Nic z tych rzeczy! Medialną wrzawę wywołała próba dostosowania ZHP do rosnącej lawinowo laicyzacji młodzieży oraz jej niechęci do fasadowych i werbalnych form religijności.

Niewierzący też harcerz

Po ponad 30 latach religii w szkołach i narastającej symbolicznej i obrzędowej obecności religii w życiu organizacji oraz instytucji publicznych, wymuszonej naciskami kościelnej hierarchii, okazało się, że Kościół w III RP odniósł pyrusowe zwycięstwo czy raczej zwycięstwa. Między innymi skutecznie zniechęcił do siebie i promowanych powierzchownych form religijności (jeśli nie do religii jako takiej!) szerokie rzesze młodzieży. 30 lat temu ostrzegali przed tym co świątlejsi ludzie związani z katolicyzmem, tacy jak ks. prof. Józef Tischner ze słynną sentencją: „Jeszcze nie widziałem nikogo, kto stracił wiarę, czytając Marksa, za to widziałem wielu, którzy stracili ją przez kontakt z księżmi” czy Anna Radziwiłł. Dziś na religię w wielkich miastach chodzi mniej niż połowa uczniów liceów, a w Warszawie – mniej niż jedna trzecia. Zjazd ZHP zareagował na to zjawisko w sumie ze sporym opóźnieniem,

wprowadzając dwie rotę przyrzeczenia – jedną z Bogiem, dla wierzących, i drugą – bez tego słowa, dla niewierzących (patrz ramka).

W zasadzie tekst przyrzeczenia, z punktu widzenia efektów harcerskiego wychowania, ma znaczenie niewielkie, nieco większe sama forma tego aktu. Decydujące jest

Pierwszy patron ZHP w II RP – marszałek Piłsudski – dość obcesowo poczynił sobie z kapelanami, szczególnie wojskowymi.

funkcjonowanie drużyny, atmosfera, formy aktywności, jakość kadry. Słowo Bóg w przyrzeczeniu ma jednak znaczenie symboliczne, i to bardziej dla relacji władzy czy podporządkowania (czyje będzie na wierzchu) niż religijne. No i ma znaczenie dla tolerancji w stosunku do harcerzy niewierzących, a tak naprawdę również innych wyznań niż katolickie. Tygodnik „Sieci” (22/2022), który przypuścił wściekły atak na te zmiany, cytuje, z aprobatą (!), takie oto widzenie tolerancji religijnej w ZHP przez przeciwniczkę zmian, drużynową z Dziwnowa, Beatę Jabłonowską-Naumuk: „Praktyka wygląda tak,

że mamy w swoich szeregach harcerzy niewierzących i to szanujemy. Z drugiej strony oni chodzą z nami do kościoła, ale nie biorą udziału w liturgii. Czy naprawdę potrzebna jest decyzja zjazdu, by zmieniać coś, co nie jest problemem? Gdy wejdziemy za bardzo w szczegóły, to może nas zgubić”.

Samopoczucie harcerzy, którzy są w kościele razem z drużyną, ale jako grupa odmieńców nie uczestniczą w liturgii, jakoś druhnie drużynowej umknęło. Obok „Sieci” atak na zmiany przypuścili w swoim liście kapelani harcerscy ZHP.

Chybione argumenty

Jako argumentów przeciw zmianom używa się tego, co zwykle. Wypomina się odchodzenie od tradycji harcerskiej i skautowej, bardzo wyidealizowanej, oraz cytuje wypowiedzi twórcy skautingu, gen. Roberta Baden-Powella. Co do tradycji skautowej, to dziś mamy na świecie wielką mnogość organizacji skautowych w różnych krajach i na pewno niesłychanie różnią się one od pierwowzoru, czemu trudno się dziwić. Z tradycją harcerską jest nieco inaczej. W PRL była ona, a właściwie wyidealizowane wspomnienie o niej, przechowywana jako coś w rodzaju Świętego Graala, z wielkim nabożeństwem. Wiadomo tymczasem, że w okresie międzywojennym toczyły się homeryckie boje o ZHP pomiędzy piłsudczykami a endekami, w których prawie wszystkie chwytły były dozwolone. Podobnie w latach

Dwie rotę przyrzeczenia

Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym/postulującą Prawu Harcerskiemu.

Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Polsce, stać na straży harcerskich zasad, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym/postulującą Prawu Harcerskiemu.

okupacji. Pamięta się Szare Szeregi, mało kto wie, że endecy stworzyli swoje podziemne harcerstwo – Hufce Polskie. Mało kto również pamięta, że pierwszy patron ZHP w II RP – marszałek Piłsudski – dość obcesowo poczynił sobie z kapelanami, szczególnie wojskowymi, no i, jako substytut zakazanych wtedy rozwodów, dość swobodnie zmienił wyznanie.

Robert Baden-Powell miał naprawdę genialny pomysł na wychowanie, w którym trochę starsza (czy bardziej popularna) młodzież wychowuje nieco młodszą, a przy okazji sama się wychowuje i rozwija. Obudował to odpowiednimi formami organizacyjnymi (system zastępowy) oraz aktywnościami. Pierwotnie, w związku z wojskową karierą generała, miało to służyć wychowaniu imperium brytyjskiemu przyszłych żołnierzy, ale i obywateli. Później atrakcyjna forma i aktywność samego Baden-Powella upowszechniła jego wynalazek na cały świat. Przy czym czerpał on z różnych źródeł – wojskowych, szpiegowskich, m.in. sporo elementów skautingu zostało zapożyczonych od masonerii – nie do końca wiadomo, czy masonem był sam gen. Baden-Powell, czy jego współpracownicy i przyjaciele, np. znany pisarz Rudyard Kipling. Jest takim zapożyczeniem charakterystyczny harcerski/skautowy sposób pożegnania w kręgu. Nie wiem, czy akurat ta tradycja spodobałaby

ścinać poprzednich małżonek. Gdy gen. Baden-Powell tworzył skauting, w Europie trwały przygotowania do wielkiej jatki milionów (I wojny światowej), do której wszystkie armie poszły z Bogiem na ustach, sztandarach, pasach i innych elementach wojskowego ekwipunku. Wtedy ta wszechobecność Boga była oczywista – po wielkiej jatce już mniej.

Świat idzie do przodu i z tradycją trzeba uważać. Dość boleśnie przekonali się o tym nieco ponad 30 lat

Sporo elementów skautingu zostało zapożyczonych od masonerii – nie do końca wiadomo, czy masonem był sam gen. Baden-Powell.

temu druhowie z Krakowa. Wydali oni (gruby!) informator harcerski. Ponieważ był rok 1989, w ramach powrotu do tradycji wykorzystali różne przedwojenne materiały jako cenną spuściznę, do której trzeba wrócić, bo nic lepszego nie wymyślono. W poradniku pojawiła się zatem pożądana zawartość obozowej apteczki, a w niej klasyczny medyczny środek przeciwbólowy w II RP, a mianowicie morfina. Tyle że, jako się rzekło, był rok 1989 i morfina była już tylko mocnym narkotykiem, niedostępnym w wolnym obrocie. Niektórzy miłośnicy prawdziwego, tradycyjnego harcerstwa uważają też, że sprawdzanie internetowych prognoz pogody,

Częściej są tym zainteresowane osoby z zewnątrz.

Przeciwnicy dwóch wariantów roty do walki z nimi wyciągnęli również inny wątek historyczny. Przy okazji pokazali, ile naprawdę dla nich znaczą te „chrześcijańskie wartości”, na które tak chętnie się powołują. Najpierw na zjeździe próbowali w kularach i pytaniami na sali zdewaluować kandydata reformatorów na przewodniczącego ZHP domniemaną współpracą z SB. Ponieważ

większość delegatów urodziła się w latach 80. i później, ten argument nie zadziałał – zmiany uchwalono, przewodniczącym wybrano.

Rewanż na przewodniczącym

Niejako za karę zrewanżowali się w zaprzyjaźnionym tygodniku „Sieci” (22/2022) paszkwilem „Druh mimo Boga”. Składa się on z trzech części, których praktycznie nic nie łączy poza chęcią oplucia zmiany. Część pierwsza to atak na same zmiany z pozycji, o jakich pisałam wyżej, za pomocą głosów „anonimowych harcerzy”, z jednym cytowanym już wyjątkiem oraz wypowiedzią występującego pod nazwiskiem księdza kapelana. W części drugiej, po jednozdaniowym nawiązaniu do pierwszej, dokonano lustracji nowego przewodniczącego ZHP Krzysztofa Patera, skądinąd byłego wiceministra oraz ministra pracy i polityki socjalnej w rządach Leszka Millera i Marka Belki, eksperta od tych zagadnień. Otóż oskarżono go o to, że w drugiej połowie roku 1989 (!) został zwerbowany przez SB jako tajny współpracownik na pół roku – do stycznia 1990 r. Zwróćmy uwagę na daty – to już po czerwcowych wyborach i w trakcie rządów premiera Mazowieckiego. I tu lustratorzy „Sieci” popełnili błąd, myśląc, że sama nazwa SB, niezależnie od kontekstu, może zohydzić człowieka. W rzeczywistości wystawili Paterowi... laurkę. ▶

Zarówno II RP, jak i PRL wspierały ZHP jako organizację, która rozwija obywatelskie cnoty i umiejętności społeczne młodzieży. III RP tego zaniechała.

się wielu bojownikom o „prawdziwe, katolickie harcerstwo”.

Baden-Powell miał też powiedzieć, że nie wyobraża sobie skautingu bez Boga. Tyle że mówił to grubo ponad sto lat temu, w imperium kolonialnym, nad którym słońce nigdy nie zachodziło, a różnych wyznań była masa. I w kraju, w którym istotny element religii (anglikańskiej), czyli zwierzchnictwo króla, powstał, by monarcha, Henryk VIII, chcąc ponownie się ożenić, nie musiał

których przed wojną nie było, przez kadre (bo z uczestnikami to co innego) obozów wędrownych i pod namiotami jest sprzeczne z tradycją. No i parę ofiar „nieoczekiwanych” nawałnic już było...

Na temat przemian rot przyrzeczenia i sformułowań prawa harcerskiego oraz prawa zucha powstał niejeden doktorat z pedagogiki i historii. Często jednak w realnym życiu drużyny na dole nie pamiętają, jaka kolejna, aktualna wersja obowiązuje.

► Jeśli nawet wersja o pozyskaniu jest prawdziwa (dowodów poza kartą rejestracyjną brak!), to w czym miał Krzysztof Pater współpracować (w takiej czy innej formie) ze służbami MSW? W zwalczaniu opozycjonistów, którzy w międzyczasie stali się władzą? Ależ skąd – w zwalczaniu korupcji przy wydawaniu koncesji w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, gdzie pracował. Czy gen. Baden-Powell, brytyjski państwowiec, potępiłby skauta lub

Część trzecia tekstu, znowu de facto bez związku z poprzednimi, poświęcona jest samej aferze korupcyjnej, w której sięgnięto do takiej czy innej współpracy Krzysztofa Patera. Oczywiście mamy obraz tej afery z meldunków czy donosów w kartotekach SB. Pojawiają się tu nazwiska domniemyanych łapówkarzy, panów Popiołka i Targosa. Niektóre donosy mają sugerować, że sam Krzysztof Pater święty nie był.

nawet nie są osobami publicznymi, a tu po przeszło 30 latach pełni chrześcijańskich wartości druhowie i ich przyjaciele z „Sieci” wygrzebali z akt IPN i upublicznili niepiękne kawałki ich życiorysów tylko dlatego, że ich losy splotły się z nielubianym przez tych drułów nowym przewodniczącym ZHP. A pewnie, niezależnie od ostatecznych wyników tamtej sprawy i tamtego śledztwa, obaj panowie chcieliby o nich zapomnieć. Mają też pewnie rodziny i znajomych...

Mamy rok 2022. Harcerstwo, poza dostosowaniem się do błyskawicznie zmieniającej się rzeczywistości bez straty jego atrakcyjności i walorów, ma dwa podstawowe problemy. Pierwszym są skutki prawne i mentalne narastającej w Polsce nadopiekuńczości, które mogą uczynić z metody harcerskiej (w której starsi wychowują młodszymi) wraz z systemem zastępowym relikty muzealne. Od instytucji zajmującej się dziećmi i młodzieżą (nawet 18-letnią!) wymaga się przy każdej aktywności bezpośredniego nadzoru dorosłego opiekuna. Harcerze na razie to jeszcze przewalczyli, ale tylko na razie... Drugi to brak wsparcia państwa. Zarówno II RP, jak i PRL (poza okresem stalinowskim) uznawały za słuszne, celowe i wartościowe dla państwa polskiego wspieranie dość masowej organizacji, która z młodzieżą, czy chociaż jej częścią, robi to, czego nie może dobrze zrobić system szkolny, choćby najbardziej się starał – rozwija w niej różne obywatelskie cnoty, umiejętności społeczne i organizacyjne. III RP tego zaniechała, jak wielu innych rzeczy, zgodnie z samobójczą a popularną w niej zasadą „Najlepsza polityka to brak polityki!”.

Hm. Małgorzata Żuber-Zielicz jest od dziecka harcerką – już jako uczennica liceum była w ZHP komendantką szczeplu, pracowała w Szkole Harcerstwa Starszego ZHP „Perkoz”, była zastępczynią ds. programowych komendanta Centralnej Szkoły Instruktorów Harcerskich „Nadwarciański Gród” w Ząteczu Wielkim, w 1991 r. otrzymała Harcerską Nagrodę Myśli Twórczej, była też dyrektorem II LO im. Stefana Batorego w Warszawie oraz przewodniczącą Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy

Gdy gen. Baden-Powell tworzył skauting, w Europie trwały przygotowania do I wojny światowej, do której wszystkie armie poszły z Bogiem na ustach i sztandarach.

skautmistrza za współpracę ze Scotland Yardem w wykryciu łapówkarzy w brytyjskiej administracji (a byli!)? Czy w okresie międzywojennym ktoś mógłby potępić instruktora lub harcerza za współpracę z policją czy innymi służbami przy zwalczaniu urzędniczej korupcji (skądinąd zagrożonej wtedy karą śmierci!)? Druh Krzysztof Pater, współpracując z SB w walce z korupcją w swoim ministerstwie, czynił więc dobrze, zwłaszcza że innych służb działających w tym zakresie na poziomie rządowym wtedy nie było.

Mamy rok 2022, w roku 1989 Krzysztof Pater miał lat 27. Od tego czasu minęło ponad 30 lat! Gdyby nawet wtedy zarznął tęym nożem i poćwiartował parę osób, dziś mógłby korzystać z dobrodziejstw przedawnienia. Nawet gdyby go złapano i odsiedział swoje, objęłaby go zasada zatarcia skazania. Nasza chrześcijańska cywilizacja przyjmuje, że ludzie się zmieniają, szczególnie w okresach tak długich jak prawie całe zawodowe życie. A co mają powiedzieć panowie Popiołek i Targos? Oni



Czy rośnie w Polsce zapotrzebowanie na nowe ugrupowanie lewicowe?

Tak, istnieje potrzeba nowej, silnej i odważnej lewicy, która będzie pamiętała o zasadach i dbała o ludzi pracy, przypomni też sobie, co to znaczy polityka społeczna nie w sensie rozdawnictwa socjału. Przed taką lewicą dużo pracy, bo to, co osiągnęliśmy do 1989 r., zostało już zniszczone.

Barbara Uhl

Rośnie zapotrzebowanie na lewicę czynów, a nie kanap, brylowania w Sejmie i TVN. To najcichsza i najbardziej sklakierowana przez liberałów lewica w historii RP (teraz i tak jest lepiej niż za Millera, z właściwie liberalnym SLD). Nawet sposoby promocji przejmuję z think tanków prawicy, tak jakby historia ruchów robotniczych i postępowych jasno nie wskazywała metod działań. Więcej odwagi i więcej błota na butach niż paragonów z kawiarni w centrum.

Grzegorz Soboń

Myślę, że lewica niepodległa względem Kościoła i USA jest potrzebna. W Polsce przede wszystkim potrzebna jest normalność, ponieważ zgodnie z tezą prof. Kotarbińskiego anormalność przewlekła stała się normą już od wielu lat.

Józef Brzozowski

Tak, potrzeba kogoś, kto zajmie się prawdziwymi problemami ludzi pracujących, wyzyskiwanych jak nie przez banki, to przez nienasyconych pracodawców. Także ludzie z małego biznesu są pozbawieni obrony i nie mają nikogo, kto zajmie się ich problemami.

Obecna lewica zajmuje się sobą, potem sobą oraz problemami, które u zwykłych ludzi są na przedostatnich miejscach do rozwiązania.

Grzegorz P. Chotopiak

Najpierw zadajmy sobie pytanie, co to znaczy nowe ugrupowanie. Nowe, czyli jakie? Bo jeśli chodzi o liberałów poprzebieranych za lewicę, to nie jestem zainteresowany.

Piotr Krajewski

Na taką lewicę jak teraz – nie ma zapotrzebowania. Na bardziej racjonalną i mniej rusofobiczną – tak. Niemówiącą w przypadku relacji z Rosją i Ukrainą językiem PiS lub mediów głównego ścieku.

Rafał Gonicki



Bez względu na to, czy jest zapotrzebowanie, czy go nie ma, podstawą powinno być hasło z kampanii z 1993 r.: „Nie ma wroga na lewicę”. A że jest to bardzo aktualne hasło, świadczy ostatni sukces Jeana-Luca Mélenchona w wyborach parlamentarnych we Francji.

Bogumił Woźniakowski

Biorąc pod uwagę fakt, że partia zwana Lewicą nie ma z nią nic wspólnego, to pewnie jest potrzeba prawdziwej lewicy.

Mariusz Żinek

Na razie nie ma polskiej lewicy. Jest podróbka liberalno-obyczajowa. W gazecie Adama Michnika wiele lat temu padły słynne słowa skierowane do byłych działaczy PZPR: „Wam wolno mniej”. Ówczesna lewica zamiast bronić swoich pozycji i przypominać postkorowcom o zagospodarowaniu Ziemi Zachodnich, walce z bandziorami spod znaku UPA, likwidacji analfabetyzmu, spuściła głowę. Nie miała odwagi mówić o odbudowie kraju, awansie społecznym całego pokolenia, powszechnie dostępnej edukacji i służbie zdrowia. Nie miała odwagi przypomnieć, że to m.in. w wyniku sprzeciwu Polaków w PPR i PZPR nie był rozważany poważnie pomysł 17. republiki i w Polsce nie stanęły pomniki Stalina jak w ościennych państwach. Kościół katolicki nie był nigdy prześladowany tak jak Kościoły chrześcijańskie w byłym ZSRR.

Wyćwiczona latami lewica miała w nowej Polsce odegrać rolę motorka nowinek obyczajowych. Z pewnym opóźnieniem zaczęła bredzić o ważności tematu LGBT. Erzac przygotowany przez przeciwnika okazał się niestrawny dla lewicowo-konserwatywnego wyborcy w Polsce. Bo u nas nawet trzon PZPR uważał partię przede wszystkim za formację władzy, a nie rewolucji. Zwłaszcza światopoglądowej. Dlatego elektorat lewicy zanikł, a wytworzył się nowy – europejski, liberalny i akceptujący kapitalizm.

Kandydat „lewicy” na prezydenta naszej ojczyzny, Robert Biedroń, wyl w Parlamencie Europejskim: „Jestem dumny z kraju, który obalał komunizm”, po kilku tygodniach dodał, że wyznaje te same wartości, co liberalna Platforma Obywatelska. I tu trzeba przyznać mu rację, on je naprawdę podziela. „Lewicowcy” lider SLD Włodzimierz Czarzasty na swoim profilu na FB oświadczył, że ma poglądy liberalne. (...)

Oni niczego nie chcą zmieniać. Potrzebni są do tego, by właśnie nic się nie zmieniło. Przeciwnik potrzebuje „lewicy” nieudolnej i mówiącej jego językiem. Takiej, która poprze wojny w imię demokracji. Będzie potrzebna, by bez umiaru podlizywać się międzynarodowym wyłudaczom i lichwiarzom, a w razie konieczności będzie się kajać za cudze grzechy. I jeśli to też konieczne, będzie bredzić wszędzie o niepotrzebnym obciążeniu środowiska naturalnego, zużyciu zasobów naturalnych i przeludnieniu. Oni takiej lewicy potrzebują, ale naród wręcz odwrotnie.

Co najzabawniejsze, ludzie ci autentycznie się dziwią, że w wyborach prezydenckich dostają poniżej 3%. Ja również jestem zdziwiony. Skąd te procenty?

Łukasz Marcin Jastrzębski

Przecież w tej lewicy już połąpać się nie można, więc po co kolejna? Czy wokół każdego hasła lewicowego ma powstawać kolejna partia? A może istniejąca lewica zaczęłaby ludziom tłumaczyć, co znaczą poglądy lewicowe? Bo na razie to ja sama nie wiem, o co im chodzi, jak posłucham Zandberga, Biedronia, a potem Czarzastego. Co znaczy współczesna, XXI-wieczna lewica? Jak sobie sięgam do podstaw liberalizmu (nie mylić z neoliberalizmem) i porównuję to z naszą dzisiejszą lewicą, to zaczynam wątpić w swoją lewicowość. Postulaty głoszone przez lewicę niczym się nie różnią od liberalnych. Zwłaszcza postulaty tzw. światopoglądowe. Lewica w Polsce nie ma lewicowej tożsamości.

Alicja Szulc

Mamy lewicę laicką. Przydałaby się trochę bardziej konserwatywna lewica. PiS coś tam lewicowego czasem wprowadzi, ale z motywacji populistycznych, a nie ideologicznych.

Damian Mazurek

Piotr Kimla

Wojna rosyjsko-ukraińska jest tragedią dla Ukraińców i Rosjan. Jest tragedią dla całej Europy, która z enklawy bezpieczeństwa przekształciła się w obszar zaminowany i zagrożony detonacją. Rozkaz inwazji wydany przez Władimira Putina 24 lutego 2022 r. petryfikuje nienawiść Ukraińców do Rosjan, i vice versa, jak się zdaje, na dziesiątki lat. Pokój rosyjsko-ukraiński, którego kiedyś (oby jak najszybciej) doczekamy, bardzo długo będzie jedynie zawieszeniem broni. Rosja nie odda terytoriów zabranych Ukrainie. Ukraina, ciągle wspierana militarnie i gospodarczo przez Zachód, nie zrezygnuje z utraconych ziem. Będzie jednocześnie posiadała bardzo potężną liczebnie, najlepiej wyszkoloną i może najnowocześniejszą armię w Europie. Armię czekającą na stosowną chwilę. Dodam jeszcze, że ów pokój/zawieszenie broni pomiędzy Rosją a Ukrainą nie będzie oznaczał pokoju między Waszyngtonem a Moskwą. Tak oto Rosjanie, Ukraińcy, mieszkańcy

Rosja nie odda terytoriów zabranych Ukrainie. Ukraina nie zrezygnuje z utraconych ziem. Zwycięsko z tragicznej sytuacji wychodzą tylko Pekin i Waszyngton.

państw bałtyckich, państw Grupy Wyszehradzkiej i wszyscy obywatele Europy od końca lutego siedzą na beczce prochu. Zwycięsko z tragicznej sytuacji wychodzą tylko dwie stolice i zarazem główni światowi antagoniści: Pekin i Waszyngton. Po stu dniach wojny można postawić pytanie, czy tak musiało się stać. Czy istniały inne, realistyczne scenariusze, pozwalające na zapobieżenie śmierci, zniszczeniu, nienawiści i perwersji, które niesie konflikt zbrojny?

W analizie odwołam się do bardzo podejrzanej w oczach opinii publicznej, obciążonej balastem imperializmu kategorii stref wpływów. Faktycznie po raz pierwszy termin ten pojawia się podczas konferencji berlińskiej 1884-1885, kiedy to europejskie mocarstwa dokonały między sobą podziału Afryki. Termin ten

Rozważania w kontekście wojny w Ukrainie

Dwie pomyłki i jedna racja amerykańskich realistów politycznych

wszakże w świecie dyplomacji odgrywa wciąż ważną rolę, chociaż, rzecz jasna, wypowiedany jest półgębkiem. Kłóci się przecież z ideą samostanowienia narodów. Co więcej, nie ogranicza się już dzisiaj do wymiaru polityczno-militarno-ekonomicznego, lecz wkracza także w obszar technologii. Na przykład amerykańscy decydenci polityczni zadbali, aby posiadanie przez nas telefonu komórkowego chińskiego giganta Huawei nie miało sensu. Naturalnie oficjalny język dyplomacji amerykańskiej wyklucza zgodę na istnienie stref wpływów. Sekretarz stanu Antony Blinken podczas wizyty w Kijowie w maju 2021 r. powiedział, że „Stany Zjednoczone

nie uznają stref wpływów”, że koncepcja ta „powinna odejść do lamusa po II wojnie światowej”, a przywiązanie do niej jest receptą nie „na współpracę, lecz na konflikt”. Wybitny amerykański dyplomata Chas W. Freeman Jr. stwierdził, że w świetle obowiązującej doktryny Monroe* oraz rozciągnięcia de facto amerykańskiej strefy wpływów na cały świat (z kilkoma wyjątkami, takimi chociażby jak Rosja, Chiny, Korea Północna, Iran) brzmi to „więcej niż ironicznie”. Odwołuję się do kategorii strefy wpływów, bo jest to narzędzie analityczne, które wydaje się poręczne, jeśli chodzi o wyjaśnianie sytuacji, w której znalazły się Ukraina, Rosja i Europa.

Wstrząsy polityczne w Ukrainie w XXI w. nie pozostawiają wątpliwości, że nastawienie tego

społeczeństwa ewoluowało w kierunku integracji z Zachodem. Ukraińcy chcieli zostać włączeni do amerykańskiej, zachodniej strefy wpływów. Włączyć się w strefę wpływów, gdy graniczy się z mocarstwem niebędącym częścią strefy, do której się aspiruje, i patrzącym na to niechętnym okiem, można na dwa sposoby. Prosząc o protekcję najpotężniejsze państwo danej strefy albo ogłaszając neutralność, upewniając w ten sposób potężnego i wrogo nastawionego do pomysłu sąsiada, że w przyszłości nie będzie się dla niego zagrożeniem. Ukraińcy poszli pierwszą drogą. Szczyt NATO w Bukareszcie w 2008 r., zarysowujący perspektywę przyjęcia do organizacji Ukrainy i Gruzji, był niczym innym jak oświadczeniem Amerykanów, że włączają Gruzję i Ukrainę do swojej strefy wpływów. Wszyscy wiemy, jaką wywołało to reakcję Rosji (inwazja na Gruzję, oderwanie Krymu od Ukrainy, wojna w Donbasie). Powstaje pytanie, czy druga droga – neutralności, „finlandyzacji” Ukrainy (wobec starych Finlandii o członkostwo w NATO termin ten staje się nieadekwatny), nie była drogą bezpieczniejszą, a więc politycznie roztropniejszą. Drogę tę zalecali wybitni amerykańscy realisci polityczni, tacy jak Henry Kissinger, John Mearsheimer, Stephen M. Walt czy wspomniany Chas Freeman. „Nasz” Zbigniew Brzeziński mówił o konieczności „finlandyzacji” naszego wschodniego sąsiada. Przywołuje się w tym kontekście kazu Austrii po II wojnie światowej i uchwałę parlamentu austriackiego z 1955 r. o jej wieczystej neutralności. Zapewniła ona Austrii prosperity trwającą do dziś (wedle niektórych badań Wiedeń jest najlepszym miejscem do zamieszkania na całej

planecie). Szanuję rozum polityczny realistów, ale uważam, że ta analogia nie jest trafna. Nie jest, bo Austria dla ZSRR nie była tym, czym Ukraina dla współczesnej Rosji. Innymi słowy, ZSRR mógł się zgodzić na neutralizację Austrii, ale Rosja nie mogła się zgodzić na neutralizację Ukrainy i pozostawienie jej poza swoją strefą wpływów. Nie mogła się na to zgodzić, ponieważ bez Ukrainy Rosja musi porzucić marzenia o statusie regionalnego hegemonu. Notabene inaczej rzecz się ma z Białorusią. Sądzę, że Moskwa mogła w przeszłości zgodzić się na przynależność Białorusi do zachodniej strefy ekonomicznej (oczywiście nie na przynależność do NATO). Dlatego jednak, że strategicznie Białoruś nie jest tak ważna jak Ukraina. Szansa ta na razie została zaprzepaszczone, na co zwracał uwagę Bronisław Łagowski w wywiadzie udzielonym Elizie Olczyk (przedruk w PRZEGLĄDZIE nr 22/2022).

Wracając do zagadnień ukraińskich, jeśli Rosja nie może funkcjonować jako regionalny hegemon bez Ukrainy, co na gruncie teorii realizmu ofensywnego musi pozostawać jej celem, wówczas jasna staje się nieścistość w rozumowaniu takich realistów jak Mearsheimer. Jak wiadomo, deklarację z 2008 r. o przyjęciu do NATO Ukrainy i Gruzji postrzega on jako zapalnik konfliktu za naszą wschodnią granicą i winą za to obarcza USA. Wydaje się jednak, że deklaracja ta mogła co najwyżej przyspieszyć konfrontację, która była nieunikniona. Wiele faktów przemawia za tym, że Rosja bez żadnych amerykańskich deklaracji dążyłaby, z czasem coraz natarczywiej, do włączenia Ukrainy do swojej strefy wpływów. Naturalnie władca Kremla (dziś uchodzący za „rzeźnika”, wcześniej jednak w zachodniej opinii za pragmatycznego polityka z wieloma sukcesami, łącznie z ustanowieniem wpływów Rosji w Syrii) chciał włączenia Ukrainy w rosyjską strefę wpływów bez wojny. Zgromadzenie rosyjskiego wojska na granicy z Ukrainą na początku tego roku miało nade wszystko wymusić ustępstwa Zachodu. Dotyczące zresztą nie tylko Ukrainy, ale także państw wschodniej flanki NATO, w tym Polski. Moskwa

spotkała się ze zdecydowaną odmową. Putin skarżył się na to swojemu otoczeniu i ludziom biznesu już po wybuchu wojny, gdy sprawy obrwały dla niego i dla Rosji fatalny obrót. W każdym razie nie kto inny jak prezydent Rosji popełnił ten kolosalny błąd, najeżdżając Ukrainę. Błąd, który Freeman porównał do błędu Mikołaja II i jego decyzji o wdaniu się w wojnę z Japonią w 1904 r. Pamiętamy, że doprowadziło to do rewolucji 1905 r. w Rosji, a następnie do upadku Romanowów. Najistotniejszy jest jednak wniosek, że Putin chciał grać w lidze znacznie przewyższającej jego status i możliwości. Widać to wszakże z taką jaskrawością dopiero teraz,

Szczyt NATO w Bukareszcie w 2008 r. był niczym innym jak oświadczeniem Amerykanów, że włączają Gruzję i Ukrainę do swojej strefy wpływów.

gdy armia rosyjska, za sprawą świetnej postawy Ukraińców i zachodniego uzbrojenia, obnażyła swoje braki. To żadne usprawiedliwienie, ale musiało to być zaskoczeniem także dla samego rosyjskiego prezydenta. Wydaje się jednak, że dopiero w wyniku wojny i poniesionych ciężkich strat w konfrontacji z bitnym ukraińskim żołnierzem Rosja bardzo powoli dojrzewa do pogodzenia się z obecnością Ukrainy w strefie ekonomicznej Zachodu, naturalnie bez jej członkostwa w NATO. Myślę, że Rosjanie nigdy by na to nie przystali, gdyby nie zostali do tego zmuszeni. W tym sensie rozgrywająca się wojna była czymś arcytrudnym do uniknięcia, o ile Ukraińcy nie zmieniliby swojego stanowiska i obstawali, jak obstają, przy związkach z Zachodem.

Wskazałem dwie nieścistości w rozumowaniu realistów amerykańskich – błędną analogię Ukraina-Austria oraz szczyt NATO w Bukareszcie w 2008 r. jako źródło konfliktu amerykańsko-ukraińsko-rosyjskiego. Jest jednak punkt, w którym mają rację. Rosja nie może zostać pominięta w trakcie mozolnych prac nad przekształcaniem przyszłego zawieszenia broni w pokojowe rozwiązania w Europie. Wbrew przeważającym nastrojom europejskiej opinii publicznej nie

może być pariasem, musi pozostać jednym z filarów europejskiej stabilności. Jak stwierdził w słynnym już i wzbudzającym wiele polemik wystąpieniu w Davos Henry Kissinger: „Rosja od 400 lat pozostaje istotną częścią Europy. (...) Czasami występowała w roli obserwatora, lecz w wielu przypadkach jako gwarant lub instrument przywracania europejskiej równowagi. W obecnej polityce należy pamiętać, że przywrócenie tej roli jest ważne dla rozwoju, a także dlatego, aby Rosja nie została wepchnięta w trwałe sojusze z Chinami”. Wiadomo, że ludzie uczą się na błędach, by błędzić dalej. Gdybyśmy jednak choć raz chcieli nauczyć się

czegoś z historii, to warto byłoby pamiętać, że prawie za każdym razem, gdy próbowano zaprowadzić pokój z pominięciem ważnych dla jego architektury graczy, kończyło się to katastrofą. Najbardziej znany przykład z ubiegłowiecznej historii to pokój wersalski i wyłaniający się z niego status Niemiec. Czy trzeba przypominać, jak długo przetrwał pokój zmierzający do ubezwłasnowolnienia kraju, który wygrał I wojnę światową na froncie wschodnim, a na zachodnim został pokonany w zasadzie tylko dzięki zaangażowaniu w wojnę Stanów Zjednoczonych? Szkoda, że nic nie daje powtarzanie sentencji w stylu George’a Santayany: „Ci, którzy nie znają historii, skazani są na jej powtarzanie”.

Prof. UJ dr hab. Piotr Kimla jest pracownikiem Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego

* Doktryna Monroe – doktryna w polityce amerykańskiej, autorstwa sekretarza stanu Johna Quincy’ego Adamsa, którą 2 grudnia 1823 r. przedstawił w orędziu do Kongresu prezydent James Monroe. Głosiła ona, że kontynent amerykański nie może podlegać dalszej kolonizacji ani ekspansji politycznej ze strony Europy, w zamian zaś zapowiadała, że Stany Zjednoczone nie będą ingerowały w sprawy państw europejskich i ich kolonii.

Zerwane łańcuchy

Niełatwy powrót Polski na Górny Śląsk w 1922 r.

Bohdan Piętko

Oddziały polskiego wojska wkraczające 20 czerwca 1922 r. do Katowic rozpoczęły formalny proces przejmowania tej części Górnego Śląska, która została przyznana Polsce decyzją aliantów zachodnich. Sprawa przynależności państwowej Górnego Śląska rozstrzygnięta się w latach 1919-1921. Przedmiotem polsko-niemieckiego sporu była większość obszaru rejencji opolskiej pruskiej prowincji śląskiej, obejmująca część Opolszczyzny i teren przemysłowy z Katowicami na czele. Do przyłączenia tych ziem – mieszanych narodowościowo, a historycznie do XIV w. polskich – dążyło odrodzone w 1918 r. państwo polskie. Dążenia te wspierał polski ruch narodowy na Górnym Śląsku, zwalczany przez

Rządząca i Plebiscytowa, powołana na mocy art. 88 traktatu wersalskiego i umowy francusko-niemieckiej z 9 stycznia 1920 r. w celu przeprowadzenia plebiscytu na Górnym Śląsku. 21 stycznia 1920 r. Rada Najwyższa Konferencji Pokojowej w Paryżu skierowała na obszar plebiscytowy wojska okupacyjne – początkowo francuskie, później także włoskie i brytyjskie – podporządkowane Naczelnemu Dowództwu Wojsk Sprzymierzonych na Górnym Śląsku.

Zwycięskie powstania

Walka polsko-niemiecka o Górny Śląsk skutkowałą drugim powstaniem śląskim (19-25 sierpnia 1920 r.), które w przeciwieństwie do pierwszego nie było już ze strony polskiej tylko manifestacją zbrojną, ale objęło cały obszar przemysłowy Górnego

Pierwsze próby wypracowania kompromisu granicznego, podejmowane przez Radę Najwyższą Konferencji Pokojowej i specjalną komisję ekspertów, zakończyły się niepowodzeniem w sierpniu 1921 r. W tej sytuacji kwestie te przeniesiono do procedowania na forum Ligi Narodów. Porozumienie osiągnięto dopiero po dwóch miesiącach rokowań. Opierało się ono na omawianej już w sierpniu 1921 r. propozycji eksperta francuskiego Louisa Loucheura. Proponował on podział tzw. górnośląskiego trójkąta przemysłowego zgodnie z wynikami plebiscytu poza obszarem zindustrializowanym. Podział taki eliminował groźbę powstania enklaw niemieckich na obszarze powiatów wiejskich zdominowanych przez ludność polską. Rada Ligi Narodów podjęła właśnie na tej podstawie 12 października 1921 r. uchwałę o podziale Górnego Śląska.

W czasie polsko-niemieckich rokowań w Genewie władzę na przyznanej Polsce części Górnego Śląska sprawowała Naczelna Rada Ludowa, złożona z przedstawicieli polskich stronnictw politycznych. To ten organ stworzył zręby administracji polskiej późniejszego województwa śląskiego, w tym główne instytucje publiczne i system władzy terytorialnej. W czerwcu 1922 r. Naczelna Rada Ludowa przekształciła się w Tymczasową Radę Wojewódzką.

17 czerwca 1922 r. rozwiązano w Katowicach tamtejszą policję; jej miejsce zajęła przybyła z Polski policja piesza, a kilka dni później również konna. 19 czerwca na katowickim rynku odbyła się parada wchodzących w skład wojsk alianckich oddziałów francuskich, które następnie rozpoczęły wymarsz z Katowic. Tego samego dnia podpisany został w Katowicach akt oddania władzy przez Komisję Międzysojuszniczą w ręce przedstawicieli rządu polskiego, którymi byli Wojciech Korfanty (polski

To głównie trzecie powstanie śląskie zdecydowało o korzystniejszym dla Polski, niż pierwotnie zakładano, podziale obszaru plebiscytowego Górnego Śląska.

Niemcy. Dla obu państw kwestią strategiczną była przynależność nie tyle samego obszaru rejencji opolskiej, ile górnośląskiego przemysłu ciężkiego i wydobywczego. Było to niezwykle ważne zwłaszcza dla odbudowującego się po 123 latach zaborów państwa polskiego.

O znaczeniu dla Niemiec spornych terenów najlepiej świadczy fakt podniesienia rejencji opolskiej mocą ustawy z 14 października 1919 r. do rangi prowincji Górny Śląsk ze stolicą w Opolu. Stało się to już po pierwszym powstaniu śląskim (16-24 sierpnia 1919 r.), które uświadomiło Niemcom, że walka o utrzymanie Górnego Śląska nie będzie łatwa. Formalną władzę na spornym obszarze sprawowała od 11 lutego 1920 r. do 10 lipca 1922 r. Międzysojusznicza Komisja

Śląska i część Opolszczyzny. Co najważniejsze – było powstaniem zwycięskim, które zmusiło stronę niemiecką do ustępstw, w tym przede wszystkim utworzenia mieszanej policji plebiscytowej. Przegranie przez Polskę plebiscytu z 20 marca 1921 r. doprowadziło do wybuchu największego i także zwycięskiego trzeciego powstania śląskiego (2 maja-5 lipca 1921 r.), będącego faktycznie nieformalną wojną polsko-niemiecką o Górny Śląsk. To głównie trzecie powstanie zdecydowało o korzystniejszym dla Polski, niż pierwotnie zakładano, podziale obszaru plebiscytowego Górnego Śląska.

Nie stało się to jednak od razu. Po zakończeniu trzeciego powstania śląskiego losy Górnego Śląska oddano w ręce aliantów zachodnich.



Gen. Stanisław Szeptycki i witający go Wawrzyniec Hajda w Piekarach Śląskich 26 czerwca 1922 r.

komisarz plebiscytowy na Górnym Śląsku i dyktator trzeciego powstania śląskiego) i Józef Rymer (członek Naczelnej Władzy Cywilnej w trzecim powstaniu śląskim i pierwszy wojewoda śląski). Obaj wchodzili w skład Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej, która sprawowała władzę na przynajmniej części obszaru plebiscytowego od października 1921 r. do czerwca 1922 r.

Po podpisaniu aktu przejęcia władzy straż na śląsko-polskich posterunkach granicznych zamiast żołnierzy alianckich objęli powstańcy śląscy. Następnego dnia – 20 czerwca 1922 r. – wojsko polskie pod dowództwem gen. Stanisława Szeptyckiego wkroczyło na Górny Śląsk. Centralne uroczystości powitania oddziałów polskich odbyły się tego dnia w Katowicach, przy okazji zajmowania pierwszej wyznaczonej przez aliantów strefy – powiatu ziemskiego katowickiego i miasta

Katowice. Triumfalny przemarsz rozpoczął się w Szopienicach, gdzie przebiegała wówczas granica między Polską a obszarem plebiscytowym. Tam ustawiono bramę triumfalną, pod którą o godz. 8 podeszli pierwsi żołnierze polscy z gen. Szeptyckim na czele. Do słupów bramy przywiązano symboliczny łańcuch pomalowany w pruskie czarno-białe pasy. Józef Rymer z ustawionej obok trybuny honorowej wygłosił mowę do stojącego jeszcze za łańcuchem gen. Szeptyckiego. Powiązał w niej powstania śląskie z polskimi powstaniami narodowymi z 1830 i 1863 r.

Po kolejnych przemówieniach na rozkaz gen. Szeptyckiego odegrany został „Mazurek Dąbrowskiego”, następnie marsz żałobny na cześć poległych powstańców śląskich i „Rota”. Momentem kulminacyjnym powitania stało się rozkucie młotem symbolicznego łańcucha przez powstańca inwalidę Juliusza Chowańca.

Przy powtórnie zagranym „Mazurku Dąbrowskiego” gen. Szeptycki przekroczył granicę. Już na śląskiej ziemi sześćioletnia dziewczynka wręczyła mu bukiet biało-czerwonych kwiatów. Idących za generałem żołnierzy polskich powitały na moście w Szopienicach wiwatujące tłumy. Szpaler rozentuzjazmowanych ludzi towarzyszył też przemarszowi polskiego wojska na drodze z Szopienic do Zawodzia, na której ustawiono ok. 30 odświętnie udekorowanych bram triumfalnych. Nie było ani jednego domu, a nawet okna nieprzyozdobionego białymi orłami i biało-czerwonymi chorągiewkami. Inaczej sytuacja wyglądała w centrum Katowic, gdzie zdarzały się domy i ulice bez polskich barw i symboli. W centrum miasta mieszkało bowiem wielu Niemców, którzy zachowywali rezerwę lub wrogość wobec tej uroczystości.

Śląski miecz

Dziękując za powitanie na katowickim rynku, gen. Szeptycki wzniósł okrzyk na cześć ludu śląskiego. Wtedy również otrzymał z rąk powstańców śląskich miecz symbolizujący przekazanie państwu polskiemu władzy nad Górnym Śląskiem. Następnie generał, siedząc na koniu, przyjął defiladę wojsk polskich i powstańców śląskich.

Uroczystości związane z wkroczeniem polskiego wojska do poszczególnych powiatów wszędzie przebiegały według podobnego scenariusza: powitanie żołnierzy, defilada oddziałów polskich i powstańców, dekorowanie odznaczeniami zasłużonych w walkach z Niemcami powstańców i polskich działaczy narodowych oraz msza, mająca podkreślić duchową wagę wydarzenia.

23 czerwca 1922 r. triumfalnie witano wojsko polskie w Królewskiej Hucie (obecnie Chorzów) i powiecie bytomskim, 26 czerwca w Piekarach Śląskich, 29 czerwca w Pszczyźnie, a 4 lipca w powiecie rybnickim. W całym regionie zbudowano ponad 200 bram triumfalnych. W Piekarach Śląskich witał gen. Szeptyckiego i żołnierzy polskich bardzo wzruszony 78-letni Wawrzyniec Hajda – górnik, poeta samouk, nazywany Śląskim

► Wernyhorą, który całe dorosłe życie poświęcił walce z germanizacją i sławieniu przyszłej Polski. Zmarł dziewięć miesięcy później – 27 marca 1923 r. – już pod rządami polskimi, których doczekania pragnął, przepowiadając w swoich wierszach powrót Polski na Górny Śląsk.

Formalne zakończenie zjednoczenia z Polską przyznanej jej części Górnego Śląska nastąpiło 16 lipca 1922 r. Podpisano wówczas w Katowicach uroczysty Akt objęcia Górnego Śląska przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Na uroczystość tę

Ponadto przypadły jej wszystkie kopalnie rud żelaza, dwie trzecie kopalń rud cynku i ołowiu oraz większość przemysłu hutniczego. Potencjał ten stanowił aż 90% produkcji przemysłowej II RP po 1922 r.

Polski Zachód

Także pod względem cywilizacyjnym przyłączona część Górnego Śląska znacznie przewyższała pozostałe ziemie II RP. Z rolnictwa utrzymywał się tu co dziesiąty mieszkaniec (12,2%), podczas gdy w całej

analfabetyzmu, podczas gdy w skali całej Polski problem ten dotyczył jednej czwartej ludności (w poszczególnych województwach poza śląskim było 30-50% analfabetów).

Polska otrzymała zatem w 1922 r. na Górnym Śląsku obszar terytorialnie nieduży, ale gospodarczo i cywilizacyjnie wysoko rozwinięty, przypominający Europę Zachodnią i przewyższający pod tym względem pozostałe dzielnice II RP. Nie ulega wątpliwości, że Polska międzywojenna bez Górnego Śląska byłaby gospodarczo dużo słabsza, a jej możliwości rozwojowe byłyby znacznie skromniejsze. To samo zresztą można powiedzieć o Polsce po 1945 r.

Tylko Polska zwrócona na zachód, w kierunku ziem dobrze rozwiniętych gospodarczo, w tym znacząco już uprzemysłowionych, miała szansę na modernizację. Rozumiał to darzony wielkim szacunkiem przez Ślązaków Wojciech Korfanty, który powiedział, że jeden powiat na Górnym Śląsku, w Wielkopolsce czy na Pomorzu jest więcej wart niż całe województwo za Bugiem.

Tak Polska i Górny Śląsk wchodziły w niełatwy okres 20-lecia międzywojennego. Przewidział to Korfanty, który, przemawiając w czerwcu 1922 r. na katowickim rynku, mówił z obawą, że zakończenie walk o polski Górny Śląsk jest dopiero początkiem trudnego procesu integracji tej ziemi z Rzeczpospolitą. Mimo wszystkich późniejszych zawirowań dziejowych i tragicznego losu samego Korfanta, który zmarł 17 sierpnia 1939 r., niecały miesiąc po zwolnieniu go w ciężkim stanie z więzienia na Pawiaku – integracja z Polską była korzystna także dla Górnego Śląska. Wbrew bowiem opiniom krzewionym obecnie przez środowiska separatystyczne Polska – zarówno ta z lat międzywojennych, jak i ta z lat 1945-1989 – mając świadomość wartości Górnego Śląska, starała się ten region rozwijać. Również kulturowo, o czym świadczy powstanie na tym terenie po 1945 r. silnego ośrodka akademickiego i naukowo-badawczego. Częściowa dewastacja gospodarcza tego regionu nastąpiła dopiero w wyniku transformacji ustrojowej po 1989 r.

Bohdan Piętka

W województwie śląskim prawie nie było analfabetyzmu, podczas gdy w skali całej Polski problem ten dotyczył jednej czwartej ludności.

przybyła ok. 150-osobowa delegacja rządowa i parlamentarna, z marszałkiem Sejmu Ustawodawczego Wojciechem Trąpczyńskim i ministrem spraw wewnętrznych Antonim Kamieńskim na czele.

Polska otrzymała w 1922 r. tylko 39% (3214 km kw.) obszaru plebiscytowego, z 996,5 tys. mieszkańców (46% populacji obszaru plebiscytowego). Był to jednak obszar, na którym znajdowało się 75% górnośląskiego przemysłu. Jego przyłączenie do II RP stanowiło zatem ogromny sukces polityczny i gospodarczy. Spośród 67 kopalń węgla kamiennego II RP otrzymała aż 53.

Polsce wskaźnik ten wynosił ok. 60% (na Kresach Wschodnich 80%). W 1938 r. w województwie śląskim było najmniej osób (27%) zarabiających poniżej niezbędnego minimum, które wynosiło 20 zł. Większość budynków w miastach górnośląskich, w przeciwieństwie do pozostałych regionów Polski, miała dostęp do sieci kanalizacyjnej, wodociągów, elektryczności i gazu. W Katowicach i Chorzowie udogodnienia takie miało 67% mieszkań, podczas gdy w Poznaniu – 64%, w Krakowie – 48%, w Warszawie – 44%, we Lwowie – 36%, a w Lublinie – 8%. W województwie śląskim prawie nie było też

Kłamstwa historycznych szarlatanów

35 zł ~~45 zł~~



Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeklad.pl
 lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
 Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

Okno w oko



Tomasz Jastrun

Zaćma starcza

L. nie żyje, kolega ze studiów, krytyk literacki. Mam mieszane uczucia. Wobec czyjejś śmierci też można mieć mieszane uczucia. L. był kiedyś agentem, donosił na mnie, najwięcej w stanie wojennym. Mógł mi zaszkodzić, ale chyba za bardzo nie zaszkodził. Donosił na całe środowisko, więc komuś pewnie zaszkodził. Powiedziałem mu przed laty, że mu wybaczę, jeśli nie będzie się udzielać publicznie. Bardzo się udzielał, ale i tak mu wybaczam, gdy odszedł. A miałem dwóch przyjaciół, już nie żyją, którzy nie byli agentami, wprost przeciwnie, za to stali się pisowcami. I tu ciekawe, śmierć nie zniwelowała mojego żalu i gniewu na nich. To znak, jak silne są emocje naszej wojny domowej.

Ta książka Keira Gilesa ukazała się w 2019 r., więc jeszcze sporo przed ukraińską wojną. Giles stwierdza, że Rosja ma i miała zawsze obsesyjne przekonanie, że powinna być traktowana nie jako „normalne” państwo, ale jako jedno z dwóch-trzech najważniejszych na świecie. Daje jej to prawo, po pierwsze, do posiadania strefy buforowej, państw wasalnych, po drugie, do stawiania weta w każdej sprawie, która w jej przekonaniu dotyczy jej bezpieczeństwa, oraz, po trzecie, do niestosowania się do reguł międzynarodowych. Rosja ma głębokie przekonanie, że świat ma wobec niej dług, gdyż w swojej historii cierpiała na rzecz świata, ma zatem specjalny status i nie obowiązują jej prawa międzynarodowe. Takie przekonania są częścią tożsamości większości Rosjan. Autor przypomina, co przed wiekami pisał de Custine: „Jak wjeżdżasz do Rosji, to musisz zostawić na granicy swoją wolną wolę, razem ze swoim paszportem”. I na koniec uwaga Gilesa, że nic lepiej nie obrazuje głębokiej różnicy w mentalności rosyjskiej i europejskiej niż oznakowania po rosyjsku, na granicy między Finlandią a Rosją, wyjaśniające, jak należy korzystać z toalet. Mogę tu dodać, że obsługa sumienia także jest inna.

Spotkanie autorskie w Marysinie Wawerskim. Mówiłem też przez chwilę o moim „Domu pisarzy w czasach zarazy” i o stalinizmie, o fenomenie zarażenia się pisarzy czarną wiarą. Jak to było możliwe? Podeszła po spotkaniu jakaś pani i z pasją mówiła: „Przecież wiara w PiS i w smoleński zamach to taki sam obłąd jak wtedy. To pomaga wyjaśnić tamtą zagadkę”. Zgadza się, mechanizm utraty rozumu jest ten sam.

Nazajutrz pociągami do Łodzi. Nowa, piękna i obszerna stacja Łódź Fabryczna. Imponująca architektura. Nie czuć

tu tego, co zawsze dolega na dworcach; ciasnota, stres, brud, pośpiech, rozpędzony czas – tego tu nie ma. Nie widziałem jeszcze takiego dworca. W restauracji Angelo spotkanie z Joanną Wiszniewską-Domańską, świetną graficzką, i z pisarzem i malarzem Henrykiem Wańkiem. Henryk to postać wybitna. Jemy obiad, a potem samochodem do Piotrkowa Trybunalskiego. W galerii wystawa grafik Joanny, niektóre mam w domu, więc czuję się na tej wystawie jak u siebie. Są też instalacje Joanny, walizeczki z obiektami artystycznymi w nich. Potem w domu kultury amatorski występ artystyczny do wierszy Ireneusza Kaczmarczyka, także gościa imprezy, psychoterapeuty i poety z Warszawy. W końcu my rozmawiamy przed publicznością o związkach literatury i malarstwa. Jakoś to chyba nieźle poszło, chociaż temat raczej uniwersytecki. Nie było czasu, by zwiedzać Piotrków Trybunalski. Miejscowi mówią, że miasto się wyludnia, młodzi uciekają i jest coraz bardziej senne. Nocą powrót z poetą-psychoterapeutą jego samochodem

Rosja ma głębokie przekonanie, że świat ma wobec niej dług, gdyż w swojej historii cierpiała na rzecz świata.

do Warszawy. Zawsze marzyłem o tym, by pisać i być psychoterapeutą lub by pisać i jednocześnie malować, więc jestem w samochodzie z ludźmi, którym bardzo zazdroszczę, ale to nie jest jadowne uczucie. Dużo rozmawiam z Henrykiem. Ma 80 lat, w świetnej formie, energicznie się rusza, głowa jasna, świetnie mówi, świetnie pisze i maluje. Mam jego trzy obrazy w domu, bardzo piękne. Wysiadam przed hotelem Marriott, by zamówić taksówkę, północ blisko. Stada młodych pańienek pachnących wiosenną młodością. Warszawa nocą, za mojej młodości miasto wymarłe, teraz aż kipi od gwaru i tłumów. Smutne uczucie, że ten nowy świat już nie dla mnie.

U okulistki, publiczna służba zdrowia, więc udręczająca i zasupłana kolejka. Okulistka, starsza pani, jakby wyjęta z „Klubu Pickwicka” Dickensa, pisze wiersze i jest głęboko wierząca. Podobnie jak ja znana ks. Twardowskiego, oczy, poezja i ks. Jan nas zbliżają. Daje mi skierowanie na operację zaćmy. Czytam na skierowaniu: „zaćma starcza”. Bardzo mnie ta „starczość” przygnębiła. Nie mogłoby to się nazywać „zaćma seniorska”? Tu jednak nie ma politycznej poprawności.

t.jastrun@tygodnikprzeklad.pl

W kufajkach i gumiakach

Nie wszyscy wytrzymywali trudy budowy. Wielu ludzi się wykruszyło, pozostali najtwardsi

Leszek Konarski

23 czerwca 1949 r. rozpoczęto budowę pierwszego bloku mieszkalnego w Nowej Hucie na osiedlu A-1 Południe. Na tym pierwszym budynku, znajdującym się dzisiaj przy ulicy Stanisława Mierzwę 14 (upamiętnia ona działacza ludowego, bliskiego współpracownika Wincentego Witos), tuż przy placu Przy Poczcie, wmurowano tablicę przypominającą, że w tym miejscu rozpoczęto wielkie dzieło wznoszenia Nowej Huty, symbolu socjalistycznych przeobrażeń Polski Ludowej. W 2006 r. patronem placu został Piotr Ożański, legendarny przewodnik pracy, pierwowzór Birkuta z filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”. W tym samym roku radni dzielnicy, po kilkumiesięcznych sporach, czy pozostawić sformułowanie o socjalistycznych przeobrażeniach, postanowili odrestaurować pamiątkową tablicę, która pękła w czasie wyjmowania ze ściany. Trzy lata później, w roku 2009, prawicowi miejscy radni uznali, że Ożański nie jest jednak godzien posiadania placu, bo pił wódkę, źle się prowadził, rzucił żonę i zamieszkał z kochanką. Plac Piotra Ożańskiego znowu nazywa się placem Przy Poczcie.

Poniżej fragment mówiący o początkach budowy Nowej Huty z wydanej przez PRZEGLĄD książki Leszka Konarskiego „Nowa Huta – wyjście z raju”.

O tym, ile trzeba było mieć sił i zdrowia, aby zbudować nowe miasto i wielką hutę, wiedzą tylko ci, którzy tu byli od początku. Każdy chciał mieć raj na ziemi, własne mieszkanie i dobrą pracę, ale na początku wytrzymywali tylko najwytrwalsi, warunki pracy były bardzo ciężkie. Jednym z pierwszych był przybyły wczesną wiosną 1950 r. elektryk Szczepan Brzeziński.

Pierwsze skierowanie na nocleg Brzeziński otrzymał do hotelu junaków w Czyżynach. W dużych halach fabrycznych były sale mieszczące 100, 120 i nawet 400 łóżek. Zamieszkał w tej ze 120 towarzyszami. – W salach bardzo dokuczaly nam głośniki – wspominał. – Człowiek chciał się po pracy zdrzemnąć, a tu jakiś prelegent urządzał sobie pogadankę. Brało się wtedy gumiaka i przywalało w głośnik, aż spadł.

Łaźnia była na zewnątrz budynku, ogrodzona plandekami, aby nikt nie podglądał. Pracujący cały czas

motor tłoczył wodę do natrysków. Na zewnątrz budynku były też ustępy. Wykopano wielki, długi rów i ustawiono zbudowane z drewna latryny, jak w wojsku.

Mieszkając w Czyżynach, Brzeziński jadł w tamtejszej stołówce. W okienku podawał bloczek, brał dwie aluminiowe michy i do jednej dostawał półtorej chochli zupy, do drugiej chochlę ziemniaków, trochę sosu, mięsa, sałaty. Prowiant na kolacje i śniadania kupował w sklepie, gdzie na sąsiednim stoisku leżały zegarki, tkaniny, radioodbiorniki. Ponieważ Huta była wtedy lepiej zaopatrzona niż Kraków, kilka razy dla znajomych z miasta kupował tu flanelę, a innym razem dla pewnego inżyniera przywiózł radio. W Krakowie takie radio było szczytym marzeń, w Nowej Hucie wystarczyło pokazać kartę meldunkową, aby je kupić. Ale byli i tacy, którzy w ogóle nie stołowali się na terenie budowy, tylko raz w tygodniu przywozili z domu spory zapas kiełbasy, boczku i chleba.

Obowiązującym strojem na każdą okazję były kufajka i gumiaki. Tylko kobiety, operatorzy koparek i kierowcy otrzymywali buty filcowe. Kto wstydził się jechać w gumiakach do Krakowa, w pociągu zmieniał cholewy na półbuty, a w drodze powrotnej znowu zakładał gumiaki. W kufajce chodziło się nie tylko do pracy, ale też na zakupy, na występy. Do Teatru Nurt gumiaki trzeba było koniecznie wypastować czarną pastą. Dopiero gdy zrobiono dojścia do budynków i powstały pierwsze ulice, można było pochodzić w trochę porządniejszych butach. – Włós obowiązywał nieco dłuższy i koniecznie nasmarowany brylantyną, aby się dobrze błyszczał. Na włosy zakładaliśmy też aluminiowe zygzakowate spirale albo siatki z cienkich nitok – tłumaczył Brzeziński.



Książka Leszka Konarskiego znalazła się wśród 15 finalistek GRAND PRESS – Książka Reporterska Roku 2020!

~~49 zł~~ 39 zł

Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

20% TANIEJ!

Latem 1952 i 1953 r. strojem wyjściowym były duże, czarny kapelusz sombrero i do tego koszulka w poprzeczne paski. Dopiero na nią nakładano się normalną koszulę. Obowiązywały wąskie spodnie, buty na wysokich obcasach i kolorowe skarpetki, dziewczyny chodziły w bluzkach w poprzeczne paski i wąskich spódniczkach. Najwięksi nowohucy eleganci ubierali się w prywatnych krakowskich sklepach i zawsze przywozili stamtąd coś nowego. Dopiero w latach 1954 i 1955 zostały otwarte w Nowej Hucie pierwsze duże sklepy odzieżowe i waciaki zaczęły pomatu znikać z ulic.

W listopadzie 1950 r. Szczepana Brzezińskiego przeniesiono do trochę mniejszej sali w Czyżynach, a dopiero po roku pracy skierowano go do hotelu na osiedlu Na Skarpie, gdzie zamieszkał w kuchence razem z kolegą Piotrkim. – Nie było budynków wznoszonych specjalnie na hotele, spaliśmy w normalnych mieszkaniach. W pokojach mieszkało po 10-12 osób, w kuchenkach dwie lub trzy. Z tego też powodu zawsze polowałem na kuchenkę. Również wszystkie nowohuckie urzędy mieściły się w mieszkaniach. Pamiętam, jak przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej przyjmował w pokoju, a sekretarka urzędowała w kuchni. Nawet rozprawy sądowe odbywały się w maleńkich pokojach, gdzie oprócz oskarżonego, milicjantów i zespołu sędziowskiego nikt już nie mógł się zmieścić.

Po pewnym czasie Brzeziński zostaje przeniesiony do innej kuchni, tym razem na osiedlu Teatralnym. Dzięki znajomości z hotelową dostaje prawo korzystania z małej elektrycznej kuchenki. Szczęście nie trwa długo, bo z powodu przejęcia hotelu przez inne przedsiębiorstwo musi przeprowadzić się na osiedle Wandy.



Brygada tynkarek z instruktorami na budowie osiedla B-2, 1952 r.

którą wyrzucano spod fundamentów, a następnie kładką przez rzekę Dłubnię – opowiada Brzeziński. – Czasem udało się na drodze zatrzymać jakąś ciężarówkę. Gdy kierowca nie chciał stanąć, to zarzucało się kufajkę na przednią szybę i musiał się zatrzymać. Czasem wracałem z pracy pociągiem towarowym. Kilkuset robotników robiło „hurra!” i wyskakiwaliśmy w biegu. Do Krakowa dojeżdżało się pociągiem lub autobusem, a kto się spóźnił, musiał maszerować na piechotę. Dopiero w roku 1955 ruszył pierwszy tramwaj pod kombinat.

Po pięciu latach pracy, w 1955 r., Brzeziński przenosi się do hotelu na osiedlu Młodości. Tam, pierwszy raz od czasu przyjazdu do Nowej Huty, śpi na parterowym łóżku i zamiast koca ma prawdziwą kołdrę. Do tego na każdym piętrze są natryski i kuchenki gazowe.

Po sprowadzeniu do Nowej Huty żony i syna Brzeziński na krótko zamieszkuje z rodziną w jednym pokoju na osiedlu Na Skarpie, a w 1956 r. otrzymują własne mieszkanie – pokój z kuchnią. W 1970 r., gdy mają już trzech synów, Tadeusza, Mirosława i Waldemara, przeprowadzają się do trzypokojowego mieszkania na osiedlu Willowym. Mają okno nie tylko w kuchni, ale nawet w łazience. Po prawie 20 latach pracy Szczepan Brzeziński jest szczęśliwy, ma piękne mieszkanie i pracę w Hucie.

Nie wszyscy wytrzymywali trudy budowy i doczekali raju. Wielu ludzi się wykruszyło. Na placu budowy pozostali ci najbardziej twardzi, jak Brzeziński.

Na osiedlu Wandy nie było Brzezińskiemu najgorzej, mieszka z dwoma budowniczymi kombinatu i wszyscy trzej otrzymują kuchenkę elektryczną, na której mogą przyrządzać posiłki. On buduje miasto, oni Hutę. Za namową kolegów z hotelu w roku 1954 przechodzi do pracy w kombinacie.

Gdy zaczynał pracę w Hucie, właśnie utworzono centralną stółkę, do której miał ok. 4 km, (...) dlatego często kupował żywność w kioskach, a potem pitrasił sam w hotelu. Wtedy w Hucie w każdym kiosku można było kupić tyle piwa, ile się chciało. Gdy jednak przy kioskach z piwem zaczęło się zbierać zbyt wielu pracowników, pewnego dnia dyrekcja zakazała sprzedaży tego napoju.

Najbliżej do kombinatu mieli mieszkańcy „Meksyku” czy „Tajwanu”, jak nazywano baraki dla budowlanych w Pleszowie. Codziennie rano tysiące osób ruszało wydeptanymi pośród pól ścieżkami. – Do pracy szedłem przez zwałkę ziemi,

Od autora: Szczepan Brzeziński zmarł 3 kwietnia 1991 r. w wieku 66 lat.

Rozmawia Artur Zaborski

Bez dwóch zdań przyszedł czas na zmiany

Człowiek tkwiący w toksycznej relacji ma prawo uwolnić się z niej

Czy rola w filmie „Po miłość...” została napisana specjalnie dla ciebie, czy musiałaś o nią zabiegać?

– Andrzej Mańkowski, który napisał scenariusz, zadzwonił i zapytał, czy nie chciałabym go przeczytać, ponieważ chce mi powierzyć główną rolę. Od razu powiedział też: „Chciałbym dodać, że mamy bardzo mało pieniędzy, więc nie mam pojęcia, czy pani się zgodzi!”. Odpowiedziałam, że poproszę o przesłanie scenariusza, a jeśli będzie ciekawy, to z pewnością się dogadamy. Później, na spotkaniach z widzami po pokazach przedpremierowych, pytało Andrzeja, czy pisał tę rolę z myślą o mnie, ale nie, inspirację czerpał z różnych historii. Dopiero później zaczął myśleć nad obsadą i po rozmowie z żoną i producentką, Beatą Hrycyk-Mańkowską, zwrócił się do mnie.

Co takiego było w tym scenariuszu, że zgodziłaś się zagrać, choć produkcja jest mikrobudżetem?

– Sporo rzeczy uznałam za ciekawe, wyróżniające się, inne. Przede wszystkim charakter mojej bohaterki, Marleny. Opowiadamy historię

– Marlena daje się ponieść, ale jednocześnie twardo stąpa po ziemi. Za te cechy lubię ją najbardziej. Nie daje się oszukać czy omamić, aż tak, żeby zorientować się po 10 latach. Spodobał mi się również pomysł na opowieść o wirtualnej rzeczywistości. W gruncie rzeczy ekrany naszych smartfonów i laptopów nie są czymś stricte filmowym. Kiedy rozgrywa się tam większość akcji, trudno ukazać ją w atrakcyjny sposób. Fakt, że nowy mężczyzna pojawia się w życiu Marleny wirtualnie, poprzez aplikację, uważam za coś innego i bardzo ciekawego. Poza tym nigdy nie grałam 50-latką, której życie nagle w taki sposób się zmienia. Pomyślałam, że to może być fajna przygoda.

i kazać ludziom się ogarnąć, zostawić skrzywdzoną dziewczynę w spokoju. Lubi ludzi, jest na nich otwarta. Chciałaby coś przeżyć mimo niełatwej sytuacji, w której się znalazła. Weźmy jej dzieci. Musiała dobrze je wychować, bo nie poszły w ślady ojca alkoholika. Syn wyjechał za granicę, do pracy, córka na studia. Marlena potrafiła zatem przygotować dzieci do dorosłego życia.

Sam pochodzę z małej miejscowości na Podhalu, mającej 1,8 tys. mieszkańców. Wiadomo, jakie budzi to skojarzenia: zagłębie PiS, konserwatyzmu, katolicyzmu. Spora część kobiet z mojej wsi, będąc w takiej sytuacji jak Marlena, mogłaby się zachować podobnie.

– Oczywiście, że tak. Stereotypy, o których wspomniałaś, stworzyła pewna klisza społeczno-kulturowa. Mała miejscowość kojarzona jest z chodzeniem do kościoła, określonymi poglądami i zamknięciem na pewne osoby czy sytuacje, co według mnie nie jest prawdą. Człowiek pozostaje człowiekiem. Kiedy świat się przed nim otwiera, ukazując coś nowego i egzotycznego, sprawdza to. Marlena ma swoje zdanie i chociaż żyje w takiej, a nie innej rzeczywistości, po prostu próbuje sobie radzić. I potrafi odpyskować. To na pewno nie jest opowieść o zupełnie bezradnej kobiecie.

Masz zrozumienie dla wyborów Marleny? Do życia u boku męża alkoholika, do ciągnięcia tego?

– Najprościej byłoby powiedzieć, że bohaterka utkwiała w nieudanym małżeństwie np. z powodu przymusu ze strony rodziny. Ale uznaliśmy, że o wiele ciekawsze będzie ukazanie tej pary jako ludzi, którzy kiedyś szczerze się kochali. Bywało między

Kobiety w kinie często pełnią funkcję dookreślającą. Są czyjąś matką, czyjąś żoną.

kobiety, która może nie tyle jest nieszczęśliwa, ile ma po prostu zwyczajne, nudne życie i nie czuje, aby cokolwiek wyjątkowego mogło ją w nim jeszcze spotkać. Jest dojrzała, ciężko pracuje. Dzieci ma odchowane, a mąż, jeśli już jest obecny, to sprawia problemy, a na pewno nie ma z niego pożytku. Spodobała mi się w niej jednak pewna otwartość, widoczna tęsknota za tym, aby w życiu coś jeszcze jej się przydarzyło, aby jeszcze było dobrze, miło. Aby przejrzeć się w oczach człowieka, który ją kocha. A najbardziej poruszyła mnie jej prostota, połączona z brakiem naiwności.

Marlena jest otwarta na zmianę, nie boi się jej, choć o kobietach w jej wieku zwykło się myśleć, że są zastate w tym, co zbudowały.

50-latka na Tinderze to też nieoczywista sprawa.

– Aplikacja randkowa jest czymś, co wymaga od ciebie inicjatywy, nawet jeżeli nie szukasz romansu. W filmie nie podajemy co prawda żadnych nazw, ale przestrzeń, w której porusza się Marlena, można porównać raczej do Facebooka niż do typowego portalu randkowego. Nic nie wskazuje na to, że będzie tam szukała znajomości. To ktoś inny nagle odzywa się do niej, a ona chwytła chwilę. To zwykła kobieta o dobrym sercu. Idealnie pokazują to sceny z inną bohaterką, Kingą. Filmik, na którym jej koleżanka uprawia seks, wycieka do sieci. Wszyscy ją potępiają, a Marlenie jest jej po prostu żal. Ale nie ma takiej pozycji, by mogła wyjść przed szereg



JOWITA BUDNIK

– aktorka, w kinach możemy oglądać film „Po miłość / Pour l’amour”, w którym zagrała główną rolę. Film zdobył Grand Prix na Brooklyn Film Festival – Grand Chameleon Award, pokonując 144 obrazy z całego świata.

nimi dobrze. Potem Zbigniew się pogubił, na pewno nie pomogły mu problemy z alkoholem. Ale to nie byli obcy sobie ludzie, a przynajmniej próbowaliśmy pokazać, że tak nie jest. Kiedyś byli sobie bliscy, a potem jedno zaczęło pić i nie umie sobie z tym poradzić, a drugie nie chce i nie potrafi go zostawić. Marlena mogłaby pojechać do syna lub córki, ale nie robi tego.

Wydaje się, że jest z tym wszystkim zupełnie sama. Jedyną osobą, która ma jej do zaoferowania radę, jest ksiądz. Mówi jej, że mąż musi osiągnąć dna. Można powiedzieć, że nikąd nie ma dla niej ratunku.

– To właściwie typowy rodzaj rady, który jest żadną radą. Człowiek tkwiący w toksycznej relacji ma prawo wreszcie z niej się uwolnić i iść tam, gdzie potrzebuje. Mówienie takiej osobie, żeby poczekała kilka lat, a w tym czasie jej mąż sięgnie dna i albo się zapije, albo wytrzeźwieje, jest absurdalne, ale niestety typowe. **Oglądając „Po miłość...”, odniosłem wrażenie, że Marlena tylko czeka, aż jej mąż wróci do Norwegii. Matężństwo jako tako działa, kiedy nie ma go w domu.**

– Naszym zamysłem było raczej pokazanie, że kolejne próby Zbycha

wytrzymania w trzeźwości były po prostu nieudane, a każdy, kto jest związany z taką osobą, przez długi czas się łudzi, że coś jednak się zmieni. Że może tym razem to już naprawdę się uda. Nasza opowieść zadaje jednak pytanie, co ma zrobić 50-letnia kobieta, wykonująca bardzo ciężką pracę fizyczną, która jednocześnie nie pozwala jej ani wynająć mieszkania, ani kupić domu. Dokąd właściwie ma pójść? To jest jej miejsce i trochę jest na nie skazana.

Czy z twoich obserwacji wynika, że przed kobietami po pięćdziesiątce mieszkającymi w Polsce faktycznie zamykają się drzwi?

– Niestety, ale myślę, że jest tak nie tylko w Polsce. Widać to zresztą w kinie. Kobiety często pełnią funkcję może nie tyle służebną, ile dookreślającą. Są czyjąś matką, czyjąś żoną. Mogą być oczywiście nawet osobami zarządzającymi, prezeskami, ale wciąż definiowane są przez działalność i obszary, w których się poruszają. Gdy dzieci są odchowane, jeden z tych obszarów odpada. Jeśli mąż umrze lub odejdzie, znika kolejny. A kiedy do tego wszystkiego zakończysz lub stracisz pracę, okazuje się, że nie masz już żadnej podmiotowości. Wspomniałam o tym,

że widać to w kinie, bo spójrz, jakie ja często dostaję role: mama Janka, czyjaś żona...

Nie masz swojej tożsamości.

– Właśnie. Film jest o kimś, o przeżyciach i uczuciach danej osoby, o ważnych dla niej sprawach, a ja jestem dodatkiem. Dlatego napisaliśmy z Agnieszką Zwiefką scenariusz do filmu „Ona”, gdzie przez cały seans będzie trzeba patrzeć na bohaterkę graną przeze mnie i śledzić jej poczynania. Nie jest tylko matką, żoną czy pracownicą.

„Po miłość...” również jest skonstruowany w taki sposób, że patrzyśmy głównie na ciebie.

– To prawda. Tu też mało kto ma sceny bez mojego udziału.

Miałaś do odegrania bardzo wymagające sceny, takie jak ta, w której twój niedoszły kochanek ma możliwość zrobienia ci nagich zdjęć.

– Miałam dwie obiekcje związane z udziałem w tym filmie. Podstawową obawą była gimnastyka artystyczna, którą moja bohaterka ćwiczyła w dzieciństwie, a której odpryski pojawiają się na ekranie. W dzieciństwie grałam w piłkę nożną; nigdy nie tańczyłam w balecie, to kompletnie nie moja bajka.

Byłaś chłopczyczą?

– Może trochę. Tylko zabawy z chłopakami, żadnych księżniczek ani baletów.

Czyli już w dzieciństwie wymykałaś się narzuconym rolom społecznym.

– Tak było! W filmie ostatecznie opowiadamy o czymś, co miało miejsce 40 lat temu. Osoba, która robiła coś tylko w dzieciństwie, nie stanie nagle i nie zatańczy perfekcyjnie. Chociaż coś zostaje w ruchach. Zastanawiałam się, czy nie dałoby się jakoś tego wyciąć...

Zamienić na piłkę nożną?

– Na przykład, ale reżyser, ze względów symbolicznych, nie chciał się zgodzić. Przydzielono mi świetną, ale też niezwykle wymagającą trenerkę. I musiałam trenować.

Złapałaś bakcyła?

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto mógłby złapać bakcyła gimnastyki artystycznej?! Scena drugiego tańca w filmie została przeze mnie zaimprowizowana, mimo że mieliśmy inne ustalenia.

► Wyszło przepięknie!

– Pierwszy taniec oparłam na przygotowanej choreografii. Ale przy drugim zaproponowałam, że wyko- nam tylko jej fragment, a potem po- płynę sama, bo czuję, że to się nie obroni. Druga wątpliwość dotyczyła obnażenia się przed kamerą. Chodzi- ło nawet nie o sam fakt rozebrania się, ale o to, że skoro nie robiłam te- go w kinie jako 20- czy 30-latka, to czy teraz powinnam? Czy mój debiut topless ma mieć miejsce teraz? No i co będzie, jeśli zobaczą to koledzy dzieci? Potem powiedziałam sobie, że to głupie i nie mogę tak myśleć. Są aktorki, dla których nagość na ekranie nie jest niczym nowym. To stała część ich pracy, są pięknymi kobietami, grają amantki i uwodzic-ielki, mają mnóstwo doświadczeń, których ja nie miałam. A później po- myślałam, że bardzo dobrze, w takim razie po prostu trzeba zacząć.

Człowiek pozostaje człowiekiem. Kiedy świat się przed nim otwiera, ukazując coś nowego, sprawdza to.

To taki element wyzwolenia?

– Uznałam, że rola jest zbyt fajna, żeby z niej zrezygnować i kręcić no- sem z takiego powodu.

Jak wyglądała współpraca z inter- netowym adoratorem Marleny?

– Mieliśmy próby w Warszawie, które pozwoliły nam się poznać. Natomiast na planie filmowym krę- ciliśmy wszystko tak, jak to zostało rozpisane. W początkowych scenach ja szłam ze swoim telefonem, a Ma- madou ze swoim i rozmawialiśmy wirtualnie. Ujęcia były raz na mnie, raz na niego. Kiedy zażyłość bohate- rów się zwiększa i on zaczyna towa- rzyszyć Marlenie w życiu, nagrywa- liśmy sceny razem, będąc fizycznie w tych samych miejscach.

Znasz historię Mamadou? Jak czar- ny aktor trafił do Polski?

– Pochodzi z Senegalu, jest arty- stą – śpiewa, tańczy, gra. Przyjechał do Europy i uczestniczył w przeróż- nych performansach. Początkowo działał z grupą w Berlinie, a potem trafił do Polski. Znalazł tu miłość, jego żona jest Polką. A teraz moż- na zobaczyć go na deskach Teatru

Powszechnego w Warszawie. Miesz- ka w Polsce już od kilkunastu lat.

Pokazaliście, że w polskich pro- dukcjach można wykorzystywać potencjał nie tylko osób o białym kolorze skóry, odchodzić od utar- tych schematów.

– Bez dwóch zdań przyszedł czas na zmiany. Czekam na film, w któ- rym jeden z bohaterów będzie np. Polakiem pochodzenia wietnamskie- go. Niby już takie były, ale tam ele- ment pochodzenia był osiłą historii. A mnie chodzi o sytuację, w której, powiedzmy, oglądamy zwykłych nastolatków, z typowymi problema- mi, tylko jeden z nich nie jest biały. Być może w kinie nie ma jeszcze po- myśłu na taką historię, chociaż bar- dzo by się przydała. Ale i tak cieszę się z tego, co nam udało się zrobić. Część filmowych decyzji wynikała z mikrobudżetu. To najskromniejszy rodzaj dofinansowania, jaki może

otrzymać produkcja. Jest to obarczo- ne konsekwencjami, m.in. w postaci liczby dni zdjęciowych i dni wolnych pomiędzy nimi. Wszystko generuje koszty. Andrzej Mańkowski, zapy- tany o pomysł na udział Mamadou, odparł, że gdyby mieli możliwość, zapewne zdecydowaliby się na eu- ropejski, a nawet światowy casting. Ale wiedzieli, że to musi być ktoś przebywający w Polsce. Wielu takich aktorów nie ma. Zaangażowanie Ma- madou było strzałem w dziesiątkę, jednak ta decyzja początkowo była związana z pewnymi ograniczeniami. Trzeba było trochę go odmłodzić, bo jest starszy od bohatera, którego gra. Co nie zmienia faktu, że wygląda świetnie. Ale po charakteryzacji była ogromna różnica. Z drugiej strony co w tym złego – w kinie zawsze jest trochę oszustw.

Andrzej Mańkowski radził sobie z ograniczeniami finansowymi tak, że zaangażował całą rodzinę.

– Żona Andrzeja, a nasza produ- centka, miała obiekcje, czy jej mali synkowie – czytaj wielkie, 17-let- nie chłopy – powinni brać udział

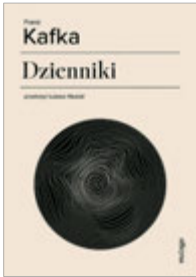
w wulgarnej scenie, nacechowanej przemocą erotyczną. Powiedziałam jej, że nie są już mali i skoro wiedzą, co to znaczy, z pewnością mogą za- grać. I tak się stało. Beata i Andrzej włożyli w ten film ogrom pracy. Nie- dawno dowiedziałam się, że kręcili- śmy zdjęcia w użyczonym domu ich przyjaciół. Robiąc kino tak skrom- ne finansowo, trzeba korzystać ze wszystkich możliwości i zasobów ludzkich. Ale plan był dopięty na ostatni guzik. Nie mogło być inaczej. Nie mógł wypaść nam żaden dzień, żadna godzina. Nie mieliśmy zapa- su, poduszki bezpieczeństwa, która w większości projektów po prostu być musi. A warto wspomnieć, że kręciliśmy film w czasie pandemii – gdyby ktoś zachorował, to byłby koniec. Ja też miałam już ustawione dalsze plany zawodowe. Możemy mówić o szczęściu, ale udało się przede wszystkim dzięki świetnemu przygotowaniu i sprawnej realizacji.

A jak ty sama przetrwałaś pandemię?

– Nieźle. Jej początek był dla mnie bardzo dobry. Szczerze mówiąc, by- łam przeszcześliwa, bo parę miesię- cy wcześniej miałam mnóstwo wy- jazdów związanych ze spektaklami, przez trzy miesiące próbowałam tak- że w Łodzi w związku z jedną z pre- mier. Zaczęto mi dokuczać bycie gościem we własnym domu. I nagle kazali nam siedzieć w domach, a ja pomyślałam: wow, jak fajnie! Taki stan trwał maksymalnie trzy miesią- ce, a potem zrobiło się nieciekawie. Pomijam atmosferę związaną z samą pandemią, ale żyć trzeba, optać rachunki również, pojawił się zatem stres finansowy. Najgorsza była nie- pewność, ile to wszystko potrwa – trzy miesiące, a może trzy lata? Teraz nadganiał to, co wtedy zatrzymała pandemia. Dużo się dzieje – zupeł- nie jak nie u mnie! Kręcimy obecnie zdjęcia do dwóch projektów, zaraz mam premierę teatralną, która już kilkakrotnie była przekładana, więc w czerwcu musi wreszcie się od- być. „Ona”, film, który przygotowu- jemy z Agnieszką Zwiefką, otrzymał dofinansowanie produkcji, co było ogromnym szczęściem. Teraz tylko musimy go zrealizować.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Franz Kafka
Dzienniki
tłum. Łukasz Musiał
Wydawnictwo Officyna, Łódź 2022

W październiku 1921 r. Franz Kafka pisał w swoim dzienniku: „Ten, kto za życia nie potrafi się z życiem uporać, potrzebuje ręki, by trochę odganiać rozpacz z powodu własnego losu, (...) lecz drugą ręką może zapisywać, co widzi pod gruzami, albowiem widzi inaczej i więcej od innych”. Po przeszło stu latach otrzymujemy nowe, zgodne z rękopisami tłumaczenie dzienników Kafki. Łukasz Musiał i redakcja Wydawnictwa Officyna postanowili zaproponować czytelnikom wersję najbliższą oryginałowi: bez modyfikacji, skrótów, zmian. Są to zatem zapiski nieugładzone, „z gruzów”, przedstawiające głębie myśli i duszy autora. Przez lata były uważane za bękarta twórczości Kafki, dziś coraz częściej myśli się o nich jako o jej ważnym elemencie. Dzięki lekturze dzienników możemy łatwiej zrozumieć proces twórczy mistrza z Pragi, jego motywacje, nadzieje i lęki.

Rafał Pikuta

SERIAL

Irma Vep
reż. Olivier Assayas,
w HBO Max



OK, nie pogubcie się: aktorka Alicia Vikander gra aktorkę Mirę, która wciela się w postać tytułowej Irmy Vep na planie filmu kręconego przez serialowych bohaterów. Ów film jest remakiem dzieła sprzed lat. Przy czym serial Oliviera Assayasa też jest remakiem – jego własnego filmu z 1996 r. Za dużo filmów w filmie? Momentami tak, ale nie martwcie się – by czerpać przyjemność z „Irmy Vep”, nie trzeba znać obrazów, do których francuski reżyser się odwołuje. Serial pracuje sam na siebie i momentami jest zabawny. Widzowie lubiący komedie o pracy na planie filmowym będą urzeczeni satyrycznymi sytuacjami – reżyserowi puszczają nerwy, aktorzy zaś żalą się bliskim, jakiego horroru doświadczyli podczas pracy. Momentami „Irma Vep” jest szyta grubymi nićmi, ale twórcy przynajmniej nie boją się ostrego humoru. Nie ma chowania się, bo z czegoś nie wypada żartować. Docinki lecą pod adresem i uznanych twórców z przerośniętym ego, i nadwrażliwych aktorek księżniczek, dla których ziarnkiem grochu może być np. kolor ścian w pokoju hotelowym.

Artur Zaborski

ZASŁUCHAJ SIĘ



Melody Gardot,
Philippe Powell
Entre eux deux
Decca

Robert Chojnacki i Andrzej Piaseczny śpiewali: „I do południa budzikom śmierć”, Melody Gardot łagodnie przestrzegła, by rano jej nie budzić. Romanse i bukiety – tak, ale wieczorem. Żadnych kwiatów w niedzielny poranek! To akurat żartobliwa piosenka, a poprzedza ją urocze zaproszenie do pocałunków na wieży Eiffla, ale na nowej płycie, tym razem bardzo kameralnej, nagranej z francusko-brazylijskim pianistą, dominuje nastrój delikatnej melancholii – i paryskiego charme’u. Artystka odstąpiła Philippe’owi Powellowi miejsce przy fortepianie, za muzykę i teksty odpowiadają oboje, ale znalazły się tu również, wyśpiewane wspólnie, „Plus fort que nous” z „Kobiety i mężczyzny” Leloucha i „Samba Em Prelúdio” autorstwa ojca Philippe’a, słynnego gitarzysty i kompozytora. Kawątek klasyki obok piosenek głównie w klasycznym stylu, które same mogłyby stać się klasyką.

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ

Trauma jest kobietą

Spektakl inspirowany biografią i twórczością amerykańskiej poetki Sylvii Plath, jednej z najwybitniejszych w XX w., powstał na podstawie tekstu polskiej poetki i eseistki Bożeny Keff. Plath przeżywała traumę z powodu uzależnienia od rodziny i zachowawczego środowiska, co doprowadziło do choroby psychicznej i samobójstwa. Keff cierpiała jako córka ofiary Holokaustu, więc dramat Sylvii był jej jakoś bliski. A postawa feministyczna łączy tu wszystkie traumy, niezależnie od czasu i miejsca akcji. Staje się uniwersalna.

Bronisław Tumitowicz

„Plath”, na podstawie tekstu Bożeny Keff, reżyseria Katarzyna Kalwat,
Teatr Studio, premiera 3 czerwca 2022



Dunin z podlaskich
Przybudek został
Europejskim
Drzewem Roku 2022

A dąb rośnie od świata do świata

Helena Leman

W sobotę 28 maja w podlaskich Przybudkach, w święto dębu Dunin, który został Europejskim Drzewem Roku 2022, pogoda nie dopisuje. Porywisty wicher przygania ciemne chmury, z których lecą zimne, ciężkie krople, a czasem grad. Drzewo, jak przystało na solenizanta, przepasane białą wstążką, stoi rozłożyste przy polnej drodze, która wije się aż do Podborowiska, czyli do Karaluków, jak mówią miejscowi, i dalej, ku Puszczy Ładzkiej.

Impreza zaczyna się po południu, najpierw Duninowi przygrywa orkiestra strażacka z Hajnówki, a potem dąb dostaje solidny toast z sikawek, bo mimo opadów na Podlasiu sucho. Następnie odbywa się przekazanie brukselskiej statuetki drzewa roku wójtowi gminy Narew oraz nagród tym, którzy do Duninowego zwycięstwa się przyczynili. Na scenie pojawia się też Jacek Bożek, szef Klubu Gaja, jednej z organizacji ekologicznych, które pomagały wypromować drzewo. Są podziękowania dla Agnieszki Aleksiejczuk i Tomasa Niechody, którzy zgłosili drzewo do konkursu, i wielu, wielu innych. Wszyscy nagrodzeni otrzymują małe dęby w doniczkach, wyhodowane z żółędzi Dunina. Po części oficjalnej scenę na polanie zajmują białoruskie zespoły: Podlaszanki, Harmoni i inne.

„Czerwonej rutę nie szukaj wczorami. Bo twoja droga to czistaja



woda”, płynie nad polami. „Zelenyje żyto zelene. A na tej lipce, na tej zelonieńkiej, trzej ptaszkwie śpiwają”, nucą starsze kobiety, co przysiadły opatulone na ławkach. Jak mi tłumaczyła, to wcale nie byli ptaszkwie, ale trzej bracia, którzy konkurowali o tę samą dziewczynę.

– Kiedyś to dużo młodzieży we wsi było; śpiewali, tańczyli, palili ogniska przy tym dębie. Łąki koło niego tętniły życiem; rano i wieczorem gnano bydło, całymi dniami grabiono siano. A teraz w wiosce ani jednej krowy nie ma i tylko patrzeć, jak się wyludni – mówi Olga Masajło.

Mieszkancka pobliskiego Grodziska wspomina, że jeździła do dębu po żółędzie: – Jakie duże były, worek raz-dwa robił się pełny. Za worek w skupie i 200 zł można było dostać.

– Gdy 50 lat temu przyszłam tu do męża, dąb był grubszy i dorodniejszy, ale piorun go rozdarł i teraz konary gubi i jakby umierał – dodaje inna kobieta. – On i ciebie przeżyje i nas wszystkich, specjaliści od drzew twierdzą, że jest zdrowy i wciąż rośnie – przerywa jej jeden z mężczyzn, dodając, że dąb wcale

nie ma 400 lat, jak ustalili dendrologicy, ale więcej, bo pamięć o nim sięga szóstego pokolenia.

Na stoisku Nadleśnictwa Browsk, gdzie za darmo można dostać sadzonki: olszy czarnej, brzozy i sosny, tłok i gwar. Wesoło i smacznie jest w namiocie Koła Gospodyń Wiejskich z Narwi. Bigos palce lizać, domowy chleb i wędliny wyśmienite. Jedna z czwórkich kucharek gotowała kiedyś w pustelni ojca Gabriela w Odrynkach. Opowiadam, że wracam właśnie z Rybak i nie udało mi się od strony tej wsi wejść do skitu, bo wszystkie kładki przez nadnarwiańskie bagna pozrywane. Ucina, że po śmierci ojca w 2018 r. jeszcze tam nie była.

Nadlatuje ciemna chmura, ulewa zagania wszystkich do czerwonego namiotu rozstawionego przez straż. Po chwili na niebie nad Duninem rozkwita podwójna tęcza. Na scenie koncertuje zespół Z Lasu, który zbiera stare pieśni z Polesia i Ukrainy i wykonuje je tak jak kiedyś. Właśnie zaczyna się utwór znad Prypeci, o kukułce, która nie zwiastuje nic dobrego.

Nie rekonstruujemy tradycji, ona tu żyje. Wołoczebnicy pod szacownym laureatem.



Strażnik Puszczy czy dąb fermeński

– Wieś Przybudki jeszcze żyje, ożywił ją dąb – żartują ludzie. – Chociaż nazwanie go Duninem już nie każdemu się podoba, to nietutejsze imię – słyszę. Miejscowym chyba bardziej odpowiada dub z białoruska lub Strażnik Puszczy, gdyż dąb zwrócony w stronę Puszczy Ładzkiej jest jakby jej forpoczta.

Nazwę Dunin nadał mu nieżyjący już twórca polskiego ruchu ekologicznego dr Janusz Korbel na cześć białoruskiego i polskiego poety i dramaturga Wincentego Dunina-Marcinkiewicza, żyjącego w XIX w.

– Wincenty Dunin-Marcinkiewicz był polskim panem, a szlachta polska traktowała Białorusinów jak siłę pociągową, jak ludzi tylko do pługa i ciężkiej roboty. Oczywiście zastługą Marcinkiewicza było to, że próbował wymóc na władzach Królestwa Polskiego pod zaborem rosyjskim, by uczono języka i kultury białoruskiej – podkreśla sőtys wsi Przybudki Włodzimierz Owłasiuk.

Wieś powstała w wyniku kolonizacji Puszczy Bielskiej, Puszcza Ładzka

to zachowana część dawnej Puszczy Bielskiej. Pierwsze wzmianki o Przybudkach pochodzą, jak twierdzi sőtys, z 1776 r. Do jego sołectwa należą również oddalone o kilkaset metrów od centrum wsi Przybudki-Ferma i bardziej odległe Podborowisko.

– Ja tam ten dąb nazywam po prostu dębem fermeńskim, bo rośnie u nas – mówi 70-letni Eugeniusz Ziniewicz z Przybudek-Fermy. – Kiedyś był tu dwór na górcie, gdzie teraz mieszka mój sąsiad Tolik, stąd określenie Ferma. Mieszkańcy Fermy byli zamożniejsi, a i tak wyżywić rodzinę z niewielkiego gospodarstwa było ciężko. Ja wypłatałem koszyki, strugałem grzybki, jelonki, żubry z miękkiego brzożowego drzewa i sprzedawałem po całym województwie. Szacunku do drzew nauczyli mnie przodkowie, nie wycinało się ich po próżnicy. Ostatnio, jak musiałem ściąć starą lipę, bo zmruszała, to aż mnie serce rozboleło. Gdyby nie my, tego dębu by nie było. Dbaliśmy o niego, strzegliśmy go. Gdy kilka razy się palił od uderzenia pioruna, nosiliśmy wodę i wrzucaliśmy piasek w dziuplę, żeby nie spłonął. Kiedyś leżały pod nim malownicze głązy, zebrane z pola, które go chroniły, ale jednego dnia ktoś po prostu je zabrał. Pamiętam, jak moje dzieci płakały, że tych kamieni już nie ma.

Ponoć dąb ma więcej niż 400 lat; jest zdrowy i wciąż rośnie.

Córka pana Eugeniusza, Ewa Szklarzewska, która przysłuchuje się rozmowie, macha tylko ręką na wywody ojca o dębnie fermeńskim, jej podoba się określenie Strażnik Puszczy. Dla niej drzewo jest symbolem jej dzieciństwa. Gdy wraca czasem z dłuższej podróży i dojeżdża do dębu, czuje, że wróciła do domu. Pomagała zgłosić drzewo do konkursu i promować, ale nie chce o tym mówić zbyt wiele.

Gdy pytam Doroteusza Fionika, regionalistę z Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach, o wątpliwości wokół nazwy dębu, przyznaje: – Coś, co jest przenoszone z zewnątrz, nawet w dobrych intencjach, będzie niejednoznacznie przyjmowane, często ze

ślusznym niedowierzaniem. Zresztą drzewo ma swoją nazwę własną i to wystarczy. A Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, choć pochodził z białoruskiej szlachty spolonizowanej, miał odwagę pokazać, gdzie są jego korzenie, nie wszyscy jemu współcześni taką odwagę mieli.

Wołoczebnicy idą do dębu

Doroteusz Fionik od lat próbuje odbudowywać tradycję wiosennego kołędowania na Podlasiu. – O ile zimowe kołędowanie jest kulturowane, o tyle wiosenne zostało trochę zapomniane, a przecież Wielkanoc – Woskresienije Chrystowo, to Święto Święt w prawosławiu, święto powrotu do życia, odrodzenia – wyjaśnia. – Kołędnicy wielkanocni, wołoczebnicy, kiedyś wędrowali od domu do domu, od wsi do wsi i śpiewali pieśni wołoczebne, zwane także konopielkami. Pozostała młodzież przez cały tydzień wielkanocny śpiewała ohulki połączone z korowodami. Gdy tydzień wielkanocny minął, zaczynało śpiewać zokoliny, pieśni kukuczki. Ohulki są radosne, zokoliny bardziej rzewne. W tym roku z grupą śpiewaczą Żemerwa z pieśniami wołoczebnymi i ohulkami odwiedziliśmy wsie Rogacze, Baciuty, Topilec. A w sobotę 7 maja Nowiny i Łosinkę, skąd

udaliśmy się do Przybudek. Ludzie już tam na nas czekali przy krzyżach i jakoś tak naturalnie wyszło, że poprowadzili nas do dębu. Może dlatego, że ohulki przyjęło się śpiewać w miejscach ładnych, na wzgórzu, nad rzeką. A przydrożna polana z dębem jest piękna, kiedyś, gdy jeszcze nie było brzożowego lasu, ten dąb rzeczywiście królował nad okolicą.

„Oj, dube, ty dube, dube zeloneńki, czom na tobie dube listoczek drubneńki”, Doroteusz Fionik cytuje fragment pieśni chrczinnej, której bohaterem jest dąb. – Do puszczy i wielkich drzew ludzie tutaj mieli bardzo osobisty stosunek, dęby często występują w tekstach dawnych białoruskich pieśni, podobnie jak ▶



28 maja w Przybudkach odbyło się święto dębu Dunin.

▶ wierzba, brzoza lub jawor, a niektóre drzewa już nie, nie ma świerku, nie ma osiki – dodaje.

Pieśni wiosenne mają w zależności od regionu i wsi różne określenia. W Tyniewiczach Dużych to zozuliny, w Przybudkach i Łosince mówi się o nich sadońki, w Orzeszkowie – wesnuszki. Kolędowanie wiosenne zbiegło się w tym roku z dniem św. Jerzego (Jurija), 6 maja. Regionalista opowiada, że w ten dzień gospodarze z rodziną obchodzili zasiewy żyta z upieczonym okrągłym kołaczem – korowajem, który nieśli na haftowanym ręczniku, i śpiewali pieśni „jurijewskie”, żeby zapewnić sobie urodzaj. Dwa i pół miesiąca po „Juriju” wypadają przecież żniwa. Latem przy muzeum w Woziwodach organizowane są Podlasko-Poleskie Spotkania Żniwne „Oleń po boru chodit”. Nazwa festiwalu wzięta się od pierwszych słów tradycyjnej białoruskiej pieśni żniwnej. Impreza jest międzynarodowym wydarzeniem folklorystycznym.

– Nie rekonstruujemy tradycji, ona tu żyje – podkreśla Doroteusz Fionik. – Nasze działania adresowane są przede wszystkim do tych, co pamiętają, do mieszkańców tutejszych wsi. 80-letnia babcia, która siedzi na ławce pod domem, nie pójdzie na festyn, nie będzie tam śpiewać. Lecz gdy cały świat jej młodości do niej przychodzi, gdy widzi barwny korowód ze skrzypcami, akordeonem, bębniem i dudami, ożywia się, zaczyna

podśpiewywać, przypomina sobie stare teksty, sprawia jej radość, zwracając miniony czas.

Duplak stary stoi

Zina nie rozumie, co to za zamieszanie z tym dębem. Różni ludzie zachodzą do niej, pytają o drogę, a samochody jeden za drugim jeżdżą jak w niedzielę do cerkwi. Jest już grubo po osiemdziesiątce, niejedno oglądała, ale takiej fanaberii to jeszcze nie. A jej ten dąb to zbrzydł nawet, dzień w dzień o czwartej rano pędziła krowy koto niego przez tyle lat. Jej życie przeminęło, a dąb dalej rośnie, od świata do świata.

A ile to światów widział, ona zliczyć nie umie. Widział, jak szły „Napoleony” na Moskwę i zatrzymały się pod nim i podobno zakopały złoto, widział bieżęnców, co uciekali przed wilkami z lasów i których według legendy ocalała carska córka. Pewnie i partyzantów widział, co podpalili wioskę w II wojnie i tę lipkę też, ale choć nadpalona, to przeżyła i teraz rośnie bujnie. Widział, jak ludzie chowali bydło po lasach, budowali w nich schrony, jak matka Ziny w obawie przed rabunkami zakopała chleb w ziemi.

Życie Ziny jest twarde. Kiedyś była harda, teraz już nie, złamały ją kolejne utraty. Umarł mąż, rodzeństwo i mniejszy syn dobry. Mieszka z tym starszym; choć różnie bywa, skarżyć się nie będzie. Ukochany pies zdecht

jej na rękach, choć wołała: „Misiu, Misiu, nie umieraj”. Z 15 kurek zostały dwie z kogutkiem. I trzy koty, co drze mią na przyzbie. Nieraz cały dzień siedzi przed chałupą i nikogo nie zobaczy, nikt do niej słowa nie powie. Jak na ławkę pod płotem wyjdzie, to jeszcze ktoś czasem głową skinie, ale rzadko, bogaci biednych teraz nie znają. A w Sybilli napisano: nie żądaj domów wielu, napisano też, że ludzie będą leżeli w polu jak snopki... Myśli, że długo żyć już nie będzie, że jednego wieczoru jak zwykle apap weźmie i więcej się nie obudzi. O taką śmierć Boga prosi. Teraz już iść musi, w piecu napalić trzeba, bo wiosna w tym roku kapryśna. – A tym dębem niech sobie głowy nie zwraca: duplak stary jak stał, tak stoi – woła na odchodnym. Dupło oznacza próchno.

Włodzimierz Owłasiuk mówi, że za nagrodą Europejskiego Drzewa Roku nie idą żadne środki finansowe. Ze zbiorów na ratowanie dębu podobno starczyło tylko na spięcie go linami, żeby się nie rozłamał. Aby nie powstało pod nim klepisko od podjeżdżających samochodów, co szkodzi jego korzeniom, softysy ułożył kilka kamieni. Ustawiono też tabliczkę. A podstawa dębu robi wrażenie, jakby stał na wielkiej, szarej łapie.

Są już pierwsze skutki marketingowe, niektóre agroturystyki reklamują wczasy pod dębem. Mieszkańcy wsi obawiają się, że większy ruch zniszczy drogę wyżywiowaną parę lat temu. Wąski pasek asfaltu, pamiętający jeszcze czasy peerelowskie, jest tylko w centrum wsi. Wzdłuż niego kilka pustych drewnianych domów, kwitną przy nich tulipany, przez trawy przebijają czerwone pąki piwonii. W Przybudkach-Fermie też dwie puste chaty, jedna poczerniała od starości, druga z zielonymi okiennicami. Podobno stanowiły scenografię do filmu o Holokaulście.

Wyjeżdżam z Przybudek, a właściwie z Prybudek, jak mówią tutaj. Na Podlasiu dwujęzyczne nazwy miejscowości są tylko w jednej gminie Orla, a i tam ktoś bez przerwy je niszczy, trwa to już 10 lat.

Helena Leman
h.lemam@tygodnikprzeklad.pl



AGATA TWARDOCH

Architektura bez kobiet traci

Projektując miasta, trzeba pamiętać o wygodzie komunikacji publicznej, dostępie do szkół i przedszkoli, powszechności toalet, eliminacji barier architektonicznych

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Czym się różni architektka od architekta?

– Generalnie niczym, dlatego obojgu należy się szacunek i takie samo traktowanie. Tymczasem nawet słowo architektka budzi kontrowersje.

Jaka była pani droga do nazywania się architektką?

– Zaraz po studiach zdecydowanie byłam architektem. No, ewentualnie panią architekt. Takie były okoliczności, że męska końcówka kojarzyła się z większym prestiżem i fachowością. Wychowane byłyśmy w świecie, w którym mówiono, że płęć nie ma znaczenia, że wszyscy jesteśmy tacy sami, a jednocześnie zakładano, że to męska forma jest

jedyną dopuszczalną. Trochę czasu zajęło mi dostrzeżenie, że równość jest pozorna, a architektki traktuje się gorzej. Zauważyłam, że ideałem ciągle jest ubrany na czarno mężczyzna demiurg, stararchitekt realizujący za wszelką cenę swoje wizje, i to do tego obrazu wszyscy – niezależnie od płci – dążą. Sama musiałam dojrzeć do tego, że nie chcę realizować takiego modelu, nie chcę w pracy udawać kogoś, kim nie jestem. Wtedy zaczęłam dokładniej się przyglądać obowiązującym damsko-męskim normom i dominującej w naszym zawodzie narracji. Świadomie zaczęłam używać feminatywów i poczułam, że chcę opowiedzieć o innych modelach uprawiania architektury.

W książce „Architektki. Czy kobiety zaprojektują lepsze miasta” opisuje

pani system, który utrudnia bycie architektką.

– To nie jest tak, że istnieje jakiś wrogi system, wymyślony specjalnie po to, żeby kobietom było trudniej. Tradycyjnie jednak wzorzec naszego zawodu wypracowany był przez mężczyzn. Czas wzbogacić go o doświadczenia wnoszone przez kobiety – częściej pracujące dodatkowo w domu, inaczej użytkujące miasta i nabywające w procesie socjalizacji inne cechy niż mężczyźni.

Czego brakuje w architekturze, w której nie uwzględniamy kobiecej perspektywy?

– Kiedy mówi się o architekturze i urbanistyce feministycznej, to najpierw zwraca się uwagę na sam proces projektowania – bardziej wyczulony na potrzeby wszystkich grup społecznych, negocjacyjny, włączający w proces przyszłych użytkowników i użytkowniczki. To także dostrzeżenie perspektywy kobiet jako osób korzystających z przestrzeni. Na przykład transport publiczny ▶

Dr hab. inż. arch. Agata Twardoch – architektka i urbanistka. Autorka książek „System do mieszkania. Perspektywy rozwoju dostępnego budownictwa mieszkaniowego” i „Architektki. Czy kobiety zaprojektują lepsze miasta”.

▶ tradycyjnie projektowany był tak, by odpowiadać męskiemu rozkładowi dnia: dojazd do pracy rano i powrót do domu po południu. Nie uwzględniał sieciowego modelu poruszania się po mieście kobiet, które przed pracą musiały odwiedzić dzieci do placówek edukacyjnych, a wracając, odebrać je, zrobić zakupy i odwiedzić rodziców. Teraz więc chodzi o to, żeby, projektując i programując miasta, zwracać uwagę na różnorodność potrzeb i pamiętać o wygodzie komunikacji publicznej, dostępie do szkół i przedszkoli, powszechności publicznych toalet, eliminacji barier architektonicznych itd. To kluczowe rzeczy, które jednak do tej pory umykały naszej uwadze. Wydaje się to wszystko oczywiste, ale z niewiadomych powodów po transformacji ustrojowej uznaliśmy, że w mieście toalety nie są nam potrzebne, a tramwaje można zastąpić prywatnymi samochodami. Ta wrażliwość na potrzeby wszystkich ludzi jest moim zdaniem znacznie ważniejsza niż względy reprezentacyjne i tak popularne jeszcze niedawno „białe słońce”, czyli spektakularne, ale drogie i kosztowne w utrzymaniu budynki.

W pani książce pojawia się bardzo inspirujący przykład Wiednia.

– Przede wszystkim władze tego miasta już w latach 20. XX w. uznały, że mieszkanie nie może być towarem spekulacyjnym, tylko jest podstawowym prawem. To założenie cały czas w Wiedniu obowiązuje. Poza tym – co ciekawe właśnie w kontekście mojej książki – w latach 90., w ramach feminizmu trzeciej fali, moja rozmówczyni Ewa Kail zainicjowała szerokie badanie różnorodnych sposobów korzystania z miast przez kobiety. Wyniki okazały się dla wszystkich bardzo interesujące i odkrywcze. Wyszło na jaw nie tylko to, że kobiety inaczej niż mężczyźni korzystają z miasta, ale też, że wśród samych kobiet są pod tym względem znaczne różnice, zależne od statusu materialnego, wieku czy grupy społecznej. Przy czym były to jeszcze badania całkowicie analogowe, listy trzeba było wypełnić i odesłać pod wskazany adres, więc to, że tak wielu osobom chciało się podjąć ten trud, świadczy o tym, jak ważny był to temat. Efektem projektu była

wystawa, na której zaprezentowano przykładowe rozkłady dnia kilku modelowych kobiet, opisano, jak poruszają się one po mieście, z czego korzystają, gdzie mają trudności, ile robią przystanków. To był moment zwrotny, pokazujący, że wdrażany do tej pory model korzystania z miasta nie był modelem uniwersalnym. Wtedy powołano do życia Frauenbüro, dzięki któremu przy kolejnych inwestycjach zaczęto brać pod uwagę potrzeby kobiet, stanowiących przecież połowę, jak nie więcej, populacji.

Tematem, który przewija się przez całą książkę, jest ekologia.

– Obecnie przy projektowaniu nie da się od niej uciec. Mam nadzieję, że teraz jest to już temat uniwersalny, niezależny od płci, chociaż oczywiście wpisuje się także w spektrum kobiecej perspektywy. Jako projektanci i projektantki zastanawiamy się, co zrobić, żeby architektura była jak najmniej szkodliwa dla środowiska.

Obecnie przy projektowaniu nie da się uciec od ekologii, to już temat uniwersalny, niezależny od płci.

Choć moim zdaniem częściej powinniśmy pamiętać, że najmniej szkodliwe są te budynki, które w ogóle nie powstają. Taka postawa została doceniona w 2021 r. przez jury najważniejszej architektonicznej Nagrody Pritzкера, którą otrzymali Anne Lacaton i Jean-Philippe Vassal. W uzasadnieniu zwrócono uwagę na ich pracę w 1996 r. przy placu Léona Aucoca w Bordeaux. Po otrzymaniu zlecenia na jego modernizację, w wyniku przeprowadzonych konsultacji społecznych oznajmili, że plac należy... posprzątać. I nie podjęli dalszych prac projektowych. Okazuje się, że mieli rację, bo plac bez wielkiej przebudowy dobrze funkcjonuje do dzisiaj. Podobne nastawienie jest bardzo istotne – bez uwzględniania aspektu ekologicznego zmierzamy do klimatycznej katastrofy. W mojej książce zaprosiłam do rozmowy Paulinę Grabowską, architektkę, która podejmuje niezwykle inspirujące działania ekologiczne, obecnie pracującą nad jadalnymi biomateriałami.

Ciekawym wątkiem jest zmiana modelu pracy przez kobiety. Mam wrażenie, że rozwiązania wprowadzone w pracowni mamArchitektki sprawdziłyby się również w innych zawodach.

– Te pracownię założyły architektki, a przy okazji młode mamy, które zauważyły, że aby kontynuować pracę zawodową, potrzebują zintegrować miejsce pracy z miejscem dla dzieci. Otwierając wspólną pracownię, wydzieliły w niej miejsce dla dzieci – taki miniklubik malucha. Dziećmi zajmowały się opiekunki, więc mamy mogły kontynuować pracę, a jednocześnie być blisko dzieci. Nie musiały zostawiać dzieci daleko, co często jest traumatycznym doświadczeniem i dla matek, i dla maluchów. Teraz, po latach, ich dzieci wyrosły, biuro odniosło sukces, a dziewczyny zatrudniły nawet swoich mężów. Fajne odwrócenie sytuacji, bo zazwyczaj to żony dołączają do męskich zespołów.

Od początku wiedziała pani, kogo zaprosi do rozmów?

– Od początku wiedziałam, że nie będę miała problemu ze znalezieniem ciekawych rozmówczyń. Kilka od razu było w mojej głowie, a potem to już była kwestia rozejrzenia się dookoła – to nie było trudne. Żałuję natomiast, że zabrakło mi czasu i miejsca na kilka dodatkowych rozmów, ale mam nadzieję, że jeszcze się uda i rozmowy się ukażą.

Jakie kobiety, architektki były inspirujące na drodze pani kariery?

– Zacznę od postaci, które pojawiły się w książce, a już od czasu studiów są dla mnie bardzo inspirujące: prof. Ewa Kuryłowicz, która kiedyś nawet konsultowała konspekt mojego doktoratu, czego zapewne sama nie pamięta, i Ewa P. Porębska – podziwiana jako redaktorka naczelna miesięcznika „Architektura-Murator” i osoba światowa, dobrze poinformowana, co się dzieje w architekturze. Pamiętam, że gdy pierwszy raz zadzwoniła do mnie, żeby zaprosić mnie do udziału w jury konkursu

organizowanego przez „Architekturę-Muratora”, przez trzy dni z radości chodziłam 15 cm nad ziemią. Poza tym, odkąd pierwszy raz przeczytałam książki Heleny Syrkusowej, jestem jej wielką fanką. Właśnie jej książki popchnęły mnie w kierunku dostępnego budownictwa mieszkaniowego, którym zajmuję się do dziś. Na pewno ważne były dla mnie także Barbara Brukalska i Halina Skibniewska. Do tego dochodzą architektki działające u nas, na Górnym Śląsku: Hanna Adamczewska-Wejchert, Maria Czyżewska, Bożena Włodarczyk i Ewa Dziekońska, które wraz z mężami przyjechały tu po wojnie, żeby projektować i nadzorować budowę miasta Tychy. Co znamienne – mimo że też były z zawodu architektkami, dla Tychów, tak jak ich mężowie, porzuciły swoje dawne życie – biogram na Wikipedii ma jedynie Hanna i oczywiście wszyscy czterej panowie.

Uzbierało nam się całkiem sporo nazwisk. Pisze pani, że architektom było w Polsce łatwiej niż np. w Stanach Zjednoczonych.

– Stany Zjednoczone to wyjątkowo trudne środowisko dla profesjonalistek, bo idea amerykańskiego snu zawsze zakładała, że kobieta powinna być w domu i realizować się przez rodzinę. W naszym socjalistycznym państwie była „kobieta pracująca, która żadnej pracy się nie bała”, a na plakatkach malowano hasła „Kobiety na traktory!”, więc kwestię zawodowej pracy kobiet otaczała całkiem inna atmosfera. Poza tym często praca kobiet wymuszana była przez względy ekonomiczne. To był model odmienny od amerykańskiego, w gruncie rzeczy sprzyjający emancypacji kobiet. Gdy w 2019 r. w galerii Center for Architecture w Nowym Jorku pokazywano wystawę projektów i realizacji Jadwigi Grabowskiej-Hawrylak (kolejnej wspaniałej powojennej architektki), zwiedzający nie mogli uwierzyć, że w połowie lat 60. kobieta w Polsce mogła realizować takie duże projekty jak wrocławskie osiedle Manhattan.

Wśród inicjatorek zmiany, o której rozmawiamy, jest Bal Architektek. Grupa, która opowiada o nierównościach w zawodzie.

– Bal Architektek to inicjatywa założona przez Barbarę Nawrocką,



Nowe przejście naziemne przez ul. Marszałkowską w Warszawie.

Dominikę Wilczyńską i Dominikę Janicką, które stworzyły aktywnie działającą w social mediach grupę poruszającą kwestie feministycznej urbanistyki i architektury czy nadużyć wobec architektek i studentek architektury oraz przywracającą pamięć o zapomnianych projektantkach. Dziewczyny są superzdolne i zaangażowane, więc ich projekt jest w stanie zmieniać świat.

Pisze pani również, że obecnie na architekturze jest 80% studentek. Do tego pani książka zyskała duży rozgłos. To wszystko są elementy składowe zmiany. Na jakie efekty tych działań pani liczy?

– Cieszę się, że moja książka sprawia, że kobiety, z którymi rozmawiałam, stają się zauważane przez media. Co chwilę w czasie wywiadów słyszę: „O! Ta architektka jest bardzo ciekawa! Musimy zaprosić ją do rozmowy!”. W ten sposób do dyskursu publicznego wchodzi architektki i ważne dla nich wątki. To pierwszy sukces!

Poza tym chciałabym, żeby płeć przestała mieć wpływ na to, jak ocenia się czyjąś fachowość. Chodzi nie o to, żeby wszystkie kobiety nazywały się architektkami, bo ta decyzja powinna być indywidualna, ale o to, żeby do architektek, urbanistek i profeserek zwracać się z takim samym szacunkiem jak do ich męskich odpowiedników, a tu język ma wielkie znaczenie. Niejednokrotnie spotykałam się z nierównowagą przy prezentacji

podczas wydarzeń publicznych, gdy dwie osoby o tożsamym wykształceniu przedstawiane były: dr Kowalski i pani Agata. A w skrajnych przypadkach nawet pani Agatka. W ten sposób trudniej być traktowanym fachowo i profesjonalnie. Marzyłabym też o tym, żeby na uczelniach skończyły się głupie żarty i komentarze na temat koloru paznokci, fryzur czy ubrań.

Jakie są pani ulubione budynki, które odzwierciedlają wpływ kobiecego podejścia do architektury?

– Jestem przede wszystkim urbanistką, więc zamiast o budynkach wolę mówić o tym, co między nimi. Ostatnio więc moją ulubioną realizacją jest nowe przejście naziemne przez ulicę Marszałkowską w Warszawie, w miejscu, gdzie do tej pory trzeba było korzystać z niewygodnego przejścia podziemnego. Taka zmiana ma znacznie więcej niż jednego autora, ale zapewne nie bez wpływu na nią była architektka miasta stołecznego Warszawa Marlena Happach. W ogóle w ostatnich latach Warszawa zmienia się na lepsze: łatwiej po niej jeździ się na rowerze, łatwiej chodzi, dofinansowywane są parki, trwają prace nad centrami lokalnymi. Warszawa staje się bardziej przyjazna, a ja mogę jedynie domniemywać, że ma to coś wspólnego z faktem, że w kierownictwie Biura Architektury i Planowania Przestrzennego ponad 70% stanowią kobiety.

Katarzyna Niedurny

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Jak wygląda ortodontyczna mapa Polski?

– Na południu jest nieco mniej, na północy więcej ortodontów. W dużych ośrodkach jest ich oczywiście więcej. Czynnicy działa ok. 1,1 tys. ortodontów specjalistów, ale to nie znaczy, że tylko oni leczą ortodontycznie. To daje nam 2,9 „ortodonta” na 100 tys. mieszkańców. Sprawdziłam USA, mamy dość podobne systemy, tam jest 10,6 tys. ortodontów, co daje 3,2 „ortodonta” na 100 tys. mieszkańców.

Jeśli nie tylko specjaliści nas leczą, to kto jeszcze?

– Także lekarze stomatolodzy. Mają możliwości kształcenia się na kursach w Polsce i za granicą, można się uczyć w szkołach ortodontcji, w których wykładają specjaliści z doświadczeniem. Kształcenie w szkole, w której jestem wykładowcą (Studium Kształcenia Praktycznego w Ortodontcji w Warszawie), trwa dwa lata, adept przechodzi wszystkie etapy szkolenia i może dobrze poznać ortodontję pod okiem specjalistów z wieloletnim doświadczeniem. Niestety, wiele gabinetów oferuje leczenie ortodontyczne bez dostatecznego przygotowania, po „kursie weekendowym”, gdzie nauczono przyklejać zamki, i to jest bardzo niebezpieczne. Toczy się gorąca dyskusja, czy lekarz bezpośrednio po studiach ma prawo leczyć ortodontycznie. Wielu wykładowców uważa, że powinny być pewne ograniczenia. Jeśli stomatolog chce leczyć ortodontycznie, powinien zdać egzamin przed komisją, gdzie wykaże, że potrafi to robić.

Rzadko słychać, by leczenie ortodontyczne kończyło się powikłaniami.

– To jest dziedzina medycyny i jeśli pacjenta leczymy, ingerując w organizm, to ryzykujemy powikłaniami. Ortodontcja nie jest wolna od powikłań, nawet specjalistom się zdarzają, i dyplom nie daje gwarancji na całkowite bezpieczeństwo, ale gwarantuje, że lekarz, który odbył pięcioletnie studia medyczne oraz staż, a następnie trzy lata specjalizacji, wie więcej niż ktoś

Polski zgryz

Ludzie chcą mieć ładny uśmiech, a okazuje się, że mają dużo ważniejszych dla zdrowia problemów



DR N. MED. BEATA TOKARCZUK

– ortodontka, prezeska Polskiego Towarzystwa Techniki Ortodontycznej (PTTO)

po dwudniowym kursie. Powikłania w ortodontcji mogą być niebezpieczne i niestety trafiają do nas pacjenci po niefachowych działaniach. Przez pięć lat byłam biegłą sądową, to bardzo trudna i często niewdzięczna praca, powikłania się zdarzają, ale są i roszczeniowi pacjenci.

Mamy wokół reklamy, mówiące, że szybko i za niewielkie pieniądze „wyprostujemy” uśmiech.

– Jest bardzo duże zagrożenie, że nowe technologie, np. skanowanie, ułatwiające wykonanie przezroczytych nakładek, które są reklamowane np. na billboardach i mają wyprostować zęby w trzy miesiące,

spowodują, że niedługo zabiorą się do takiego „łatwego” leczenia np. kosmetyczki, fryzjerzy. A ono nie jest łatwe, bo nakładka, aparat stały czy wyjmowany są tylko narzędziem w rękach lekarza. Jeśli to narzędzie zostaje dobrze wykorzystane, uzyskamy prawidłowy efekt, ale jeśli źle, to niewiele się zmieni albo pojawią się powikłania i konsekwencje na lata, za które firmy, zmieniające nazwy i lokalizację, odpowiedzialności nie wezmą. Konsekwencje zaś niekoniecznie ujawniają się od razu, często po 10-20 latach od leczenia.

Kiedy ludzie zaczęli prostować sobie zęby?

– Ludzie zawsze chcieli poprawiać sobie zęby, już starożytni wiązali zęby złotymi ligaturami, aby je przesuwac. Za ojca współczesnej ortodoncji uważany jest Edward Angle, Amerykanin, który usystematyzował diagnostykę, zasady przesuwania zębów, stworzył szkołę ortodoncji, specjalizację i stowarzyszenie ortodontów. Ortodoncja była pierwszą specjalizacją stomatologiczną. W Warszawie kursy leczenia metodą Angle’a były dostępne już w 1903 r.! Prof. Marian Żeńczak, twórca katedry ortodoncji, używał aparatów stałych, zęby były opierścieniowane i na łączącym je drucie musiało być mnóstwo dogięć, technika była na pewno trudniejsza i dla lekarza, i dla pacjenta. System wytrawiania szkliwa i przyklejania zamków to lata 80. XX w.

Skąd ta pani pasja do ortodoncji, dostrzegana zresztą przez pacjentów? Pracuje pani 30 lat w zawodzie stomatologa, 24 lata jako dyplomowana ortodontka.

– Moja przygoda z ortodoncją zaczęła się niespodziewanie na urlopie dziekańskim, pod koniec studiów, który spędziłam po połowie w Szwecji i w USA. Tam się zetknęłam z ortodoncją europejską i amerykańską, która wyglądała inaczej niż ta w Polsce. Nie miałam pojęcia o tej dziedzinie, ortodoncja była na piątym roku. Wydawało mi się fascynującą magią to, co wyprawiali w USA, trafiłam do pracowni technicznej, może to mnie również ukształtowało, zobaczyłam cuda, które tam się działy. Po powrocie zaczęłam zajęcia z ortodoncji i to było coś zupełnie innego. Wtedy leczyło się u nas dzieci do 14. roku życia tylko aparatami wymiowanymi. Po studiach trafiłam do przychodni szpitala wojskowego, gdzie pracowało 30 świetnych lekarzy różnych specjalności, współpracujących ze sobą i to było też duże moje szczęście, poznałam od początku wielospecjalistyczne podejście do pacjenta. Trafiłam na stomatologię dziecięcą, za ścianą była ortodoncja i tak mnie ciągnęło za tę ścianę! Wtedy nie było dużego zainteresowania tą specjalizacją. Koleżanki wybierały stomatologię zachowawczą, chirurgię, protetykę. Na staż trafiłam do prof. Zofii Charazińskiej

na Koszykową w Warszawie, gdzie nauczyłam się, że nawet wymiowanymi aparatami można zrobić cuda. Profesor była bardzo otwarta na nowe rzeczy, chętnie wysyłała nas na kursy i lubiła się popisać swoją wiedzą teoretyczną. Pokochałam ortodoncję. Nie wyobrażam sobie, żeby robić coś innego. Obecnie jest to najbardziej oblegana specjalizacja, najtrudniej się dostać.

Pani była pomysłodawczynią i współzałożycielką, wspieraną przez techników, Polskiego Towarzystwa Techniki Ortodontycznej, w którym czynnie działa do dziś. PTTO łączy środowiska.

– My, lekarze, jesteśmy winni technikom, którzy siedzą w swoich pracowniach, by ich kształcić i pokazać im, co robimy w klinikach. Towarzystwo zrzesza lekarzy i techników ortodontycznych, jest otwarte na wszystkich zainteresowanych i pracujących w ortodoncji, na firmy,

pomocy, ale są takie wady, które powinny być wcześniej diagnozowane i leczone. I tu właśnie jest rola dentyków. Czasami już cztero-, pięcioletki należy leczyć. Wczesna terapia jest pierwszym etapem leczenia i daje wielkie korzyści, poprawia warunki dalszego rozwoju. Jeśli konieczny jest drugi etap leczenia, staje się on łatwiejszy i krótszy.

Czy leczenie ortodontyczne jest refundowane?

– NFZ refunduje wykonanie aparatu ortodontycznego do 12. roku życia, do 13. roku mogą być kontrolowane; niestety, nie wszystkie typy aparatów są refundowane. Do tego dochodzą kolejki. Nie trzeba skierowania, lekarze stają na głowie, by zająć się dziećmi, ale system jest, jaki jest. W ośrodkach akademickich są przeglądy ortodontyczne w przedszkolach, szkołach i wtedy także wychwytuje się dzieci, które potrzebują pomocy. Poprawa okluzji, czyli

Wiele gabinetów oferuje leczenie ortodontyczne bez dostatecznego przygotowania, po „kursie weekendowym”, i to jest bardzo niebezpieczne.

naukowców, którzy wdrażają nowe technologie. Teraz zostałam wybrana na prezesa, wcześniej przed tym się broniłam, chciałam dać pole do popisu technikom ortodontycznym. Właściwie nawet nie ma takiej nazwy, bo nie ma takiej specjalizacji, są technicy dentyści, którzy pracują w ortodoncji.

No to idziemy do ortodonty – kiedy powinno się przyprowadzić dziecko?

– Każde dziecko w momencie wymiany uzębienia, czyli w wieku sześciu-ośmiu lat, powinno zostać skonsultowane ortodontycznie, takie są zalecenia i polskiego, i amerykańskiego towarzystwa ortodontycznego. Rodzice często zauważają np. diastemę, czyli przerwę między górnymi zębami, która zwykle jest fizjologią w tym wieku, natomiast nie widzą dużych wad zgryzowych w innych odcinkach. Według badań prof. Beaty Kawali, specjalisty krajowego, 90% naszych dzieci ma jakieś zaburzenie zgryzowe, co nie znaczy, że każdy od razu potrzebuje

zgrzyzu, i leczenie zaburzeń zwarcia są często niedoceniane, a zły zgryz, urazowy kontakt zębów prowadzi i do starcia zębów, i do chorób przyzębia, najgorsze to zaburzenia w stawie skroniowo-żuchwowym. To najczęściej wychodzi później.

Jak wygląda „polski zgryz”?

– Zaczniemy od tego, że na zgryz wpływa wiele czynników. 80% wad naszych dzieci to wady nabyte, 20% wad określa się jako wrodzone, czyli zaburzenia szkieletowe, zespoły wad, często trudne do leczenia, leczone do dorosłości zespołowo przez kilku specjalistów. U dorosłych pojawiają się te związane z wiekiem, wymagające interdyscyplinarnego leczenia. U dzieci wady często „produkują” troskliwie mamy i babcie, nie zdając sobie z tego sprawy. Cywilizacja wpływa na to, że jemy przetworzone jedzenie, zmielone, nie gryziemy i zwiężają się nam łuki zębowe. Konsystencja pokarmów, ich rodzaj i skład mają wpływ na rozwój szczęk dziecka. Jeśli jest ono karmione ▶

▶ butelką do siódmego roku życia, co się zdarza, ma to bardzo duże konsekwencje zgryzowe. Do tego plagą jest próchnica. Próchnicowe ubytki powodują, że zmniejsza się ilość miejsca w łuku zębowym. Przedwczesna utrata zęba mlecznego powoduje zmiany w kości, zmniejsza się ilość miejsca dla stałego zęba, potem jest ciężka praca z odtworzeniem tego miejsca, czasem konieczne jest usuwanie stałych zębów.

Czyli dorośli mogą wiele zrobić, by nie psuć dzieciom zgryzu.

– Dobrze jest wyeliminować np. złe funkcje, nieprawidłowe układanie języka, oddychanie przez usta, zapobiegać próchnicy. Prawidłowe funkcje i przywracanie napięcia do równowagi leczy, wzrost nam pomaga. Dziecko oddycha buzią z różnych powodów, np. przerostu migdała, ma przedłużony czas karmienia butelką i niechętnie żuje. Co się dzieje z twarzą? Nie rośnie szczeka. Oddychanie przez nos modeluje szczękę, oddychanie przez usta powoduje zapadnięcie szczęk, najczęściej cofniętą żuchwę, wąski nos, podkrążone oczy, ponieważż takie oddychanie nie natlenia wystarczająco krwi, pacjent jest niedotleniony. Przychodzi z otwartymi

wyedukowane, bez lęku, przygotowane do wizyt i w odpowiednim momencie kierowane do specjalisty. Kiedyś, jak zakładaliśmy dziecku aparat, to była rozpacz, teraz jest rozpacz, jak mówię, że nie ma czego leczyć i nie założę aparatu. Nieraz nastolatki leżące stałymi aparatami przeciągają ściągnięcie aparatu albo płaczą, jak go zdejmujemy. Wpływ grupy, otoczenia jest niebagatelny, ale jeśli jest się pierwszym w klasie z aparatem, to czasem jest jeszcze przestrasz.

Czas na słowo o leczeniu dorosłych.

– Dorosły nie rośnie, ale zęby możemy przesuwac. Taki pacjent często utracił jakieś zęby albo w związku z krzywym ustawieniem zębów ma choroby przyzębia i przeciążony staw skroniowo-żuchwowy, czyli przychodzi z kompleksem zaburzeń. Niejednokrotnie koledzy protetycy przysyłają nam pacjenta, by go przygotować do protetyki. To zupełnie inny świat ortodontcji. Często przychodzą do nas pacjenci, by sobie poprawić uśmiech, a po drodze znajdujemy dużo innych, ważniejszych dla zdrowia problemów, ale nie zmusimy nikogo do leczenia. Każdy jest panem swoich zębów.

90% naszych dzieci ma jakieś zaburzenie zgryzowe, co nie znaczy, że każdy od razu potrzebuje pomocy.

mi ustami, jeśli zaś dołącza się karmienie butelką i przetrwały nawyk polykania niemowlęcego, to język wypycha przednie zęby, powodując wychylenie siekaczy. Takie dziecko wygląda gorzej, choć dzieci z natury są ładne, tkanki miękkie wiele tuszują, przy dorastaniu te wszystkie wady się uwypuklają. Widać wtedy długą twarz, wychylone zęby, niedorozwój szczęki czy zgryz otwarty.

Ortodonta stał się już lekarzem częstego kontaktu, przynajmniej w większych ośrodkach.

– Zauważam nawrót do leczenia dzieci w wieku rozwojowym, mam wielu takich pacjentów i chwala za to pedodontom, którzy czuwają nad rozwojem dzieci. Mam przyjemność współpracować ze świetnym ośrodkiem, który kieruje dzieci

Zwierzęta również mają swoich ortodontów.

– To prawda, są weterynarze, którzy zajmują się stomatologią i ortodontcją zwierzęcą. Raz projektowałam aparat dla psa rasy chow-chow, który miał brać udział w wystawach, ale nie zakończyło się to sukcesem. Nie mogliśmy wytłumaczyć pieskowi, żeby nie odklejał aparatu. Nie chciałam współpracować.

Trendy w ortodontcji?

– Powszechnie stosujemy technologie cyfrowe, czyli skanowanie wewnątrzustne, skanowanie modeli, tomografię komputerową. Przenosimy się od fotela do komputera, jednak nie każdy z nas, starych ortodontów, to lubi, bo to inny rodzaj pracy. Jednym z trendów w ortodontcji jest holistyczne podejście do pacjenta,

ja doszłam do tego po latach pracy. Pacjent to całość. Jeśli człowiek źle gryzie, konsekwencje odczuwa najczęściej w układzie pokarmowym, a to powoduje inne komplikacje. Jeśli dziecko ma zaburzenie związane z ustawieniem żuchwy, wysuniętą żuchwę lub cofniętą, towarzyszy temu nieprawidłowe ustawienie głowy, a co za tym idzie, kręgosłup się dostosowuje i mamy zaburzoną całą sylwetkę. W drugą stronę – jeśli pacjent np. ma krótszą nogę lub koślawą piętę, automatycznie kolano jest inaczej ustawione, miednica przemieszczona, kręgosłup inaczej ustawiony i mamy konsekwencje w zgryzie. Najbardziej to widać u młodych pacjentów, dziwią się, bo przyszli do mnie prostować zęby, a ja im każę chodzić na basen i zalecam ćwiczenia ogólnorozwojowe, bo jeśli nie wzmocnią mięśni, to ja sobie nie poradzę.

Mity?

– Na pewno ten, że aparat stały wyleczy wszystko bez zaangażowania pacjenta, to niebezpieczne myślenie. Leczy to, czego pacjent nie widzi: diagnostyka, która jest najważniejsza. Do problemów pacjenta dobiera się sposób leczenia, nie tylko aparat, czasem usunięcie zębów, poszerzenie szczęki, dodatkowe procedury. Każdy aparat wymaga współpracy, nie da się bez tego pacjenta wyleczyć. U dziecka ważna jest współpraca z rodzicami, np. aparat stały wymaga wielkiego zaangażowania w higienę. Sama nie mogę wyleczyć pacjenta, tworzymy drużynę, aparat jest tylko narzędziem.

Pacjent idealny?

– Najlepszy pacjent przychodzi skierowany przez kogoś, kogo wyleczyłam wcześniej. Boję się pacjentów na podstawie opinii w internecie, które często są z kosmosu. Celowo zostawiłam negatywne opinie na temat mojej pracy, choć mogłabym z tym walczyć – pochodzą od pacjentów, którzy nigdy u mnie nie byli. Nie cierpię na brak pacjentów, a nie przepadam za tymi, których „doktor Google” wykształcił, jak i czym mają być leczeni, to chyba najtrudniejszy typ pacjenta. Z tych fajnych miałam np. rodzinę, w której leczyłam babcię, mamę i dziecko, czyli trzy pokolenia, zaczęło się od

wnuka. Na jednym z kursów amerykański ortodonta przyznał, że u niego pacjenci po 85. roku życia mają leczenie za darmo. Przesuwał zęby 90-latce, żeby zrobić jej warunki do wygodnej protezy. Myślicie, że nie warto? Osiem lat później pokazała swój piękny uśmiech, żyła te lata, pewnie i więcej, w komforcie. Leczyłam panią 80-letnią, którą też przygotowałam do protetyki. Czy warto? Niech sobie każdy sam odpowie.

Mówię pacjentom, że jeśli nie ma chemii między ortodontą a pacjentem, to lepiej uciekać.

Co daje pani największą satysfakcję zawodową?

– Czuję ją, kiedy widzę, że zalekcioniony, zakompleksiony nastolatek, który do nas przyszedł, nie bardzo chciał porozmawiać, na pewno nie chciał się uśmiechać, po kilku miesiącach zaczyna się uśmiechać. Robimy zdjęcia na początku, w trakcie oraz na koniec leczenia i często to są inni ludzie. Otwierają się i bliżej,

są wyprostowani, z zupełnie inną aurą. My z tymi pacjentami spotykamy się przez lata, poznajemy rodzinę, wiemy o sobie trochę, zaprzyjaźniamy się, ale jeśli nie ma chemii między ortodontą a pacjentem – mówię to pacjentom – lepiej uciekać. Mam też wielką satysfakcję, jeśli po latach przychodzą pacjenci na kontrolę retencji i widać wtedy, czy zaplanowaliśmy leczenie właściwie. Retencja to podtrzymanie efektu leczenia. Zęby

nie są kołkami zacementowanymi raz na zawsze, kości się wymieniają, dlatego po leczeniu kontrole są konieczne. Jeśli taki pacjent potem przychodzi ze swoimi dziećmi, mam satysfakcję. I jeszcze dzieci niepełnosprawne, mam ich dość dużo wyleczonych czy „podleczonych”, czasem nie da się wyleczyć przy wielu innych problemach i zaburzeniach, ale tak jak tę 90-lletnią babcie – warto leczyć.

Mama z dzieckiem z zespołem wielu wad, z ciężkim kontaktem z otoczeniem, prosi, by mu wyprostować zęby, chociaż trochę, bo wygląda naprawdę źle. Po kilku wizytach to dziecko mówi do mnie uśmiechnięte: „Popatrz, jakie mam ładne zęby”. To się robi także dla rodziców. Każdy z nich powinien dostać medal za miłość i poświęcenie. To wielka radość, kiedy uda się przywrócić funkcję, żeby to dziecko dobrze gryzło, przywrócić uśmiech, również mamie.

Przekrój zawodowy pacjentów ortodonty?

– Wszystkie zawody. Od pani sprzątającej przez prezesów, wiceprezydentów, miałam paru prezydentów radiowych, śmiałam się, że przerabiam ich na prezenterów telewizyjnych.

Czego pani życzy pacjentom?

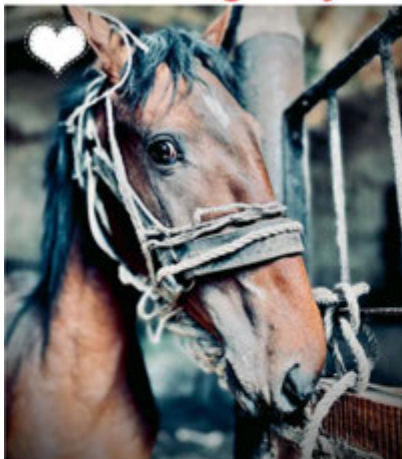
– Zawsze życzę sobie od nich, żeby dobrze myli zęby!

Na koniec: jak wygląda według pani stan zgryzu i uśmiechu polskiej polityki, widoczny w mediach?

– Bardzo źle.

Beata Dżon-Ozimek

Dzieciak błaga o życie!



Jedziesz za chwilę na wakacje? On też zaraz wyruszy. Tylko w zupełnie innym kierunku.

Może miniesz go na szerokiej drodze otoczonej rozległymi polami. Bo czasem śmierć prowadzi przez piękne scenerie. Aby czuło się ile jest co stracenia.

Będzie pędził asfaltem, a jego wielkie oczy będą wyglądać zza krat ciężarówki. Może gdy będziesz go mijał, spojrzysz w nie i uwiecznione w nich spojrzenie pełne niedosytu życia. Bo życie Dzieciaka kończy się zanim na dobre się zaczęło.

Nie wiemy skąd przyjechał. Takie konie są bez przeszłości. I bez przyszłości. Mają za słabe papiery, aby ktoś chciał pozwolić im żyć. Bo takie konie jak Dzieciak muszą jakoś bardziej zasłużyć niż inne. Nie trafił on też na swego człowieka, który by uznał, że jest wart kochania. Dzieciak nie wie co to miłość. Wie za to co to biznes. I co jest priorytetem.

Mówią, że kiedy nie wiadomo o co chodzi, chodzi o pieniądze. Myślę, że nie zawsze. Ale w przypadku tego młodego konia tak właśnie jest. Ktoś go wyhodował, nie sprzedał się dobrze, a może w ogóle nie szukali kupca? Może rzeźnia była mu pisana od dnia narodzin?

Tu gdzie go spotykamy stoi w szeregu innych. Pierwszy z brzegu. Patrzy błagalnie, ale ze zrozumieniem – są piękniejsze od niego, są lepsze. O niego nikt, kto minie próg stodoły – nie pyta. Ót, odpad hodowlany.

Podchodzi bliżej a on wtula ciepłe, miękkie chrapy w moje dłonie. Wtula i o nic nie prosi. Jakby wiedział, że decyzja zapadła. I po prostu chce poczuć się choć raz chciany. Chciany, nim wchłonnie go rzeźnia.

Głaszczę go więc po tych chrapach, po zamkniętych, rozmarzonych oczach i sterczących uszach. Zerkam na kwadratowe okno tuż obok, okno za którym rozpościera się wielki piękny świat. Czerwiec obsypał go zielenią, obdarował ciepłym wiatrem i cykadami w wysokich trawach. Aż trudno uwierzyć, że wystarczy ceglasty mur i za nim jest

zimno, ciemno i pachnie śmiercią.

Dzieciak ma czas do 24 czerwca. Musi do tego dnia zebrać wśród ludzi 9200 zł, aby opłacić swoje życie i transport. Dołączysz do tej zbiórki? Innej nie będzie. To jedyna, pierwsza i ostatnia. I albo ocali mu życie. Albo Dzieciak minie.

Minie, bo wszystko mija. Ale czasem coś może chwilę potwać nim zniknie. Maluch ma przed sobą wiele lat życia.

Więc gdy wyjedziesz na nasze drogi, rozglądaj się. Może miniesz wiele ciężarówek. I gdy dobrze się im przyjrzyysz, w żadnej nie spotkasz ciemnych, rozmarzonych oczu.

To będzie dobry znak. To byłby znak, że – wbrew wszystkiemu – się udało.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem **DZIECIAK** na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści **DZIECIAK** na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.



Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8
52-314
tel. 518 569 487
tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

Konrad Malec

Dzień taty nie jest tak hucznie obchodzony jak dzień mamy. Bo zwykle to matki wkładają więcej wysiłku w wychowanie potomstwa. Przynajmniej u ludzi. Ale w świecie zwierząt jest wielu znakomitych ojców.

Nie zmienia to faktu, że zdecydowana większość zwierząt swojego ojca nigdy nie poznaje. Matki zresztą też nie. Najczęściej rola ojca kończy się na zapłodnieniu samicy lub, w przypadku zapłodnienia zewnętrznego, jaj przez nią złożonych. Rzecz jasna, jaja są składane w trudno dostępnym miejscu, zamaskowane. Choć bywa inaczej, np. ważka czteropłama, zamieszkująca nad stawami, również gęsto porośniętymi, i torfowiskami, a nawet rowami, po prostu zrzuca w locie jaja do wody. Kiedyś ważki bywały ponoć tak liczne, że obserwowano naloty dywanowe tych owadów, podobnie jak szarańczy. Z tą różnicą, że nalot drapieżników, a wszystkie ważki gustują w mięsie, nie jest powodem do niepokoju. Przynajmniej póki drapieżnik ma rozmiary ważki.

Troskliwi ojcowie rodów

Niewiele znam przypadków ojcowskiej opieki w grupie bezkręgowców. Za przykład niech nam posłużą oceaniczne krewetki z rodzaju *Synalpheus*. Niektóre ich gatunki żyją w grupach rodzinnych, podobnych do pszczelich rojów. W takim roju jest jedna lub kilka samic, przystępujących do rozrodu, i znaczna liczba potomstwa, które dba o młodsze rodzeństwo. Gdzie tu rola taty? Otóż samiec lub samce zajmują się ochroną rodziny i gąbki, w której ona żyje. Podejrzewa się, że niedobór gąbek nadających się do zamieszkania był kołem zamachowym ewolucji tej grupy krewetek w kierunku eusocjalnym, jak nazywamy duże grupy rodzinne, w których występują przynajmniej dwa pokolenia oraz podział na kasty i w których rozrodem zajmuje się tylko niewielka liczba osobników, pozostałe zaś opiekują się potomstwem i wykonują inne, niezbędne dla grupy zadania.



Tacierzyństwo

Zdecydowana większość zwierząt nigdy nie poznaje swojego ojca

Eusocjalność rozwinęła się przede wszystkim u różnych grup owadów, m.in. u pszczołowatych, os, mrówek czy termitów, ale zdarza się też wśród chrząszczy czy pluskwiaków i w kilku innych grupach. Co ciekawe, eusocjalność występuje również wśród ssaków. Najbardziej znane z tego są afrykańskie golce piaszkowe, które zadziwiają nas długowiecznością, nieodczuwaniem bólu i niezwykłą odpornością na nowotwory (bodaj dwa znane przypadki, a badań w tym kierunku na gólcach wykonano setki, jeśli nie tysiące).

Skoro już zahaczyliśmy o ssaki, warto podkreślić, że ludzie są na ich tle dość wyjątkowi. Niewielu ssaczych ojców opiekuje się potomstwem. Znajdujemy się w doborowym towarzystwie, bo w naszej grupie są m.in. wilki, które lubią życie rodzinne, toteż parze rodzicielskiej towarzyszy potomstwo z poprzedniego roku, a niekiedy starsze. Zdarzają się powinowaci rodziców, a niekiedy i niespokrewnione wilki, które zostały adoptowane przez rodzinę jako

osobniki już dorosłe. W takiej grupie ciężar opieki rozkłada się na wszystkich, nie w jakiś szczególny sposób. Zresztą i mama po pierwszych dniach, gdy młode potrzebują nieustannej opieki i mleka, udaje się na łowy, pozostawiając dzieci pod strażą piastuna. Jest nim najczęściej ktoś ze starszego rodzeństwa, ale niekiedy to osobnik wyspecjalizowany w opiece nad maluchami. I bywa, że opiekun nie jest krewnym, a rola piastuna u wilków nie jest zależna od płci. Nieco zbliżone modele wychowania młodych możemy obserwować u innych ssaków drapieżnych żyjących w grupach rodzinnych, np. u surykatek szarych.

Skoro już wspominałem o adopcji, wyjaśnię, że w świecie zwierząt nie jest to zjawisko częste, ale przynajmniej wśród ptaków i ssaków zostało dobrze udokumentowane. Znane są również przypadki, gdy to samce stają się rodzicem zastępczym, a dotyczy to nie tylko gatunków, których samce choćby

minimalnie opiekują się młodymi osobnikami, jak szympanse (na marginesie, ta opieka u naszych krewniaków nie zawsze wynika z pokrewieństwa). Opisano jeden taki przypadek u tygrysów, których samce są raczej zagrożeniem dla młodych. Tymczasem dorosły samiec zaopiekował się trójką młodych po zmarłej samicy. Z kolei u szympansov znany jest przypadek samca, który w ciągu życia adoptował pięć osieroconych szympansiątek. Niemniej to raczej wyjątki, a nie norma.

Pani tata czy pan mama?

Spośród naszych stosunkowo bliskich krewnych tatusiami są najbardziej pigmejki karlowate, uchodzące za najmniejsze małpy świata. U tych południowoamerykańskich mikrusów maluchami opiekują się głównie ojcowie z pomocą starszych synów. Matki ograniczają się do karmienia piersią, niewiele poza tę rolę wychodząc. Wydaje się, że chłopa-ki nie dorosły do karmienia piersią albo po prostu Matka Ewolucja nas upośledziła, choć i na tym polu jest jeden wyjątek – dajakoloty sundajski, nietoperz z Indochin, Sumatry i Borneo. Niestety, niewiele wiemy na temat jego życia, na ile to przystosowanie do opieki nad potomstwem, a na ile efekt uboczny pokarmu obfitującego w fitoestrogeny, substancje podobne do ssaczyh estrogenów. Wiele wskazuje, że to jedyne ssaki, których samce karmią młode mlekiem, ale nie jesteśmy pewni, czy to rzeczywiście ma miejsce – czynne gruczoły młeczone nie muszą oznaczać karmienia. Wiemy, że dajakoloty żyją w dużych grupach społecznych, w których pary są prawdopodobnie monogamiczne.

To czynniki sprzyjające opłaczalności inwestowania w opiekę nad własnym potomstwem – skoro i tak nie mam szans na przekazanie genów innej samicy, może lepiej zadbać, by jak najlepiej powodziło się genom, które już przekazałem? Z pewnością dodatkowa para sutków (bo nietoperze mają tylko jedną parę na piersi, a nie na brzuchu, są więc podobnie jak my górnosutkowcami) wpłynęłaby pozytywnie na szanse przeżycia

młodych. Niestety, wiele wskazuje, że nigdy nie poznamy sekretów tych zwierząt. Dajakoloty zamieszkują lasy tropikalne, które są silnie eksploatowane, głównie pod plantacje palmy olejowej. Szkoda tym większa, że nie tylko możemy stracić interesujący gatunek (a właściwie gatunki, wszak lasy tropikalne są domem unikatowych gatunków w ogóle), ale też badania nad nim mogłyby nam wiele powiedzieć o nas samych.

Co do innych ssaków i laktacji u samców, to jest ona znana z pojedynczych przypadków, jednak dotyczy specyficznych sytuacji, takich jak pobudzenie produkcji mleka miauczeniem kociąt, a nawet karmienie, obserwowane u wykastrowanych kocurów, lub jako efekt zaburzeń hormonalnych lub chorobowych u ludzi (wszystkie znane, potwierdzone medycznie przypadki).

Moimi osobistymi faworytami wśród ssaków są chomiki mongolskie, których samce nie tylko opiekują się potomstwem, ale jeszcze pełnią funkcję akuserek – pomagają

Wiele wskazuje, że dajakoloty sundajskie, nietoperze z Indochin, Sumatry i Borneo, to jedyne ssaki, których samce karmią młode mlekiem.

chomiczkom opuścić drogi rodne matki, a następnie oczyszczają im nosy, pomagają złapać pierwszy oddech i myją. To wyjątek wśród ssaków. Naukowcy, jak to naukowcy, szukają najprostszh wyjaśnień, bo te są najczęściej najbardziej prawdziwe. Wśród powodów, dla których chomiki mongolskie są wiernymi partnerami i troskliwymi ojcami, wymienia się: trudne warunki środowiskowe (skoro musimy się namęczyć, by przeżyć, to nie mamy czasu na myślenie o skoku w bok), słabe zaangażowanie i częste stosunki seksualne z partnerką (skoro mamy częsty seks w domu, a poza domem niewielkie szanse na spotkanie jakiegokolwiek samicy, to po co szukać szczęścia?). Zapewne w tym rozumowaniu jest wiele racji, ale kto wie, czy w całym chomiczym rodzie właśnie u tego gatunku nie narodziły się prawdziwe uczucia? Choć jeśli tak by było,

pewnie byłby to wynik ewolucji w takich, a nie innych warunkach.

Być wiernym czy zostać hulaką?

Rzadką u ssaków opiekę ojców nad potomstwem tłumaczy się tym, że między zapłodnieniem a porodem jest dość czasu, by samiec mógł się oddalić, oraz starą łacińską sentencją *mater semper certa est* – tylko matka jest pewna. Podobnie bywa u niektórych ptaków – samce po kopulacji znikają z pola widzenia, a matka zostaje z jajami – np. u coraz rzadszych w Polsce bąków. Niemniej jednak samce większości ptaków uczestniczą w opiece nad potomstwem. Całkiem prawdopodobne, że ma to związek z częstymi kopulacjami w trakcie okresu godowego. U wielu gatunków to ponad tysiąc stosunków w ciągu zaledwie dwóch-trzech miesięcy. Choć ma to swoją cenę. U najbardziej aktywnych seksualnie gatunków jądra samców powiększają się, osiągając 8% masy ciała! To jakby mężczyzna miał między nogami dwa okazałe arbuzy.

Niektóre ptaki uprawiają seks także poza sezonem lęgowym, np. pospolite wróble. Podejrzewa się, że ma to miejsce u dobranych partnerów, a seks pomaga utrzymać więź partnerską. Z drugiej strony również u wróbli ojciec nigdy nie może być pewny, że w gnieździe są jego potomkowie. W takim przypadku samicy opłaca się skok w bok, by zatroszczyć się o pewniejszy materiał genetyczny dla potomstwa. Nie wiadomo, co z młokosa wyrośnie, a długowieczność sąsiada dobrze świadczy o jego genach. Mimo to samce wielu ptaków opiekują się potomstwem. Niekiedy na równi z matką, jak u kormoranów, gdzie panuje równouprawnienie (nawet w trakcie seksu raz on, raz ona jest na górze). Inne ptaki mają bardziej konserwatywne zwyczaje, np. u gęsi czy fabełdzi rolę ojca jest stróżowanie i obrona, wodzenie piskląt to sprawa samicy. ▶

U wielu ptaków drapieżnych matki są strażniczkami ogniska gniazdowego, ojcowie zaś dostarczają pokarm. Dopiero kiedy maluchy podrosną, matka przyłącza się do aprowizacji. U ptaków drapieżnych to samice są większe, ów podział obowiązków może zatem wydawać się dziwny, ale to większa samica ma większe szanse na obronę gniazda niż mniejszy samiec. To jeden z prawdopodobnych powodów, dla których samice są większe, ale niejedyny. Na drugim biegunie mamy ptaki słynące z frywolności. Najlepszym przykładem są tu płochacze halne, które żyją w łące hipisowskich komunach. Samice koczują się ze wszystkimi dostępnymi samcami, te zaś opiekują się potomstwem wszystkich samic, z którymi spółkowały. Zgroza!

Gender kontratakuje!

A gdyby spełnić sny specjalistów od „prawa naturalnego”? U niektórych ptaków siewkowatych samice porzucają lęgi i partnera, nim pisklęta urosną. Maluchy zostają pod czułą opieką taty. U tych gatunków nawet upierzenie samic bywa ładniejsze

U chomików mongolskich samce opiekują się młodymi i są akuszerkami – pomagają potomstwu opuścić drogi rodne matki.

niż samców, zdaje się, że nie tylko dla naszego oka. Jednak mistrzami odwróconych ról płciowych są ryby z rodziny igliczniowatych, u których to panowie pływają w ciąży. Przedstawiciele tej rodziny znajdziemy w Bałtyku. Jednym z nich jest wężyńka. Samica za pomocą pokładełka, które jako żywo przypomina penisa, składa jaja do fałd skórnych na brzuchu samca. Tam następuje zapłodnienie plemnikami, ale to samiec pływa w ciąży. Gdy jaja dojrzeją, narybek spokojnie opuszcza ojcowskie fałdki. Nieco bardziej dramatycznie wygląda to u drugiego gatunku naszych igliczniowatych – igliczni. W ogólnym zarysie przebiega to podobnie, ale jaja znajdują się w torbie skórnej. Narybek, który opuszcza ojca, musi ją rozzerwać. Spokojnie, torba się zrasza.

Niestety, ryba ta jest na polskim wybrzeżu krytycznie zagrożona, ale czemu tu się dziwić w kraju, który nie toleruje ideologii gender (na wszelki wypadek wyjaśnię, że za zanik igliczni na naszym wybrzeżu odpowiada zanieczyszczenie wody oraz niszczenie siedlisk, czyli podmorskich łąk z morskiej trawy). Najdalej natomiast na drodze zamiany ról posunęły się pławikoniki, zwane konikami morskimi. U nich obserwujemy skurcze porodowe i porody przypominające ssacze.

Generalnie u ryb sprawujących opiekę nad potomstwem nieco częściej to samce nim się opiekują, w ok. 52% przypadków. Tłumaczy się to tym, że u ryb przeważa zapłodnienie zewnętrzne i samiec widzi, co zapładnia (choć i tu zdarzają się sprytni oszuści). Najbardziej z tej grupy lubię ciernika, pospolitą, niewielką rybę naszych wód. Samce cierników budują gniazdo z roślin, sklejając je wydzieliną produkowaną w nerkach. Następnie zapraszają do niego samice z ikrą. I tu ciekawostka, samice chętniej wybierają gniazda z już złożoną ikrą niż jej pozbawione, co prowokuje mniej atrakcyjne samce do kradzieży, a właściwie kidnapingu. Rzecz jasna,

tacierzyństwa. Niektóre drzewołazy przenoszą na grzbiecie kijanki do dzbanów tworzonych przez liście nadrzewnych bromelii (krewniaczki ananasa). Trzeba tu jednak podkreślić, że w opiece nad potomstwem uczestniczą oboje rodzice, a w niektórych przypadkach potomstwo jest karmione niezapłodnionymi jajami, składanymi przez samicę. To jeden z nielicznych przypadków, gdy potomstwo jest karmione wydzielinami ciała rodziców, poza ssakami (mleko) i znanymi akwarystom paletkami (potoczna nazwa amazońskich pielęgnic *Symphysodon discus*, obie płcie karmią potomstwo wydzielinami skóry). Bliżej naszych granic, już w Europie, spotkamy pętówkę babienicę. Panowie tego gatunku oplątują sobie biodra sznurem jaj. Taki jegomość wygląda, jakby był w slipkach. Rzecz jasna, staje się wówczas niedostępny dla innych samic. Bywa to powodem zaciekłych pojedynków pań.

Pierwsze miejsce dla płazich matek

Jednak w mojej osobistej kolekcji niezwykłości i osobliwości to samice pewnych płazów dzierżą palmę pierwszeństwa. U grzbietorodów amerykańskich po skomplikowanej grze wstępnej zapłodnione jaja znajdują się w skórze na grzbiecie samicy. Tam się rozwijają, tam dojrzewają kijanki, aż w końcu wydostają się w pełni ukształtowane miniaturki. Jako ciekawostkę dodam, że łaćńska (naukowa) nazwa tego gatunku to *Pipa pipa*. Jeszcze bardziej zdumiewający był australijski żołądkoród południowoqueenslandzki, zwany żabą gęborodną. Samice tego gatunku połykały jaja, których rozwój, a także rozwój kijanek, przebiegał w chwilo-wo nieczynnym żołądku! Przeobrażone młode wydostawały się otworem gębowym. Piszę o żołądkorodzie w czasie przeszłym, ponieważ ostatniego osobnika na wolności odnotowano w 1979 r., zaledwie siedem lat po jego odkryciu. Stało się tak pewnie na skutek zawleczenia przez ludzi pasożytniczego grzyba atakującego płazy, choć domniemyanych przyczyn jest więcej. Niestety, wszystkie poszlaki wskazują na nasze sprawstwo.

Konrad Malec

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Wymiary opóźnień

Nigdy nie miałem prawa jazdy, jestem wiecznym pasażerem, pociągi to podstawa mojej dalekobieżności. Stwierdzam zatem z perspektywy człowieka, który zjadł zęby na kolei, że nigdy dotąd nie było tylu opóźnień. Owszem, epizodyczne i zawsze nagłe ataki zimy lub sezonowe kradzieże trakcji w czasach recesji wywalały rozkład jazdy i czyniły chaos w sieci połączeń, zdarzały się też huraganowe anomalie pogodowe i inne przypadki losu, ale nigdy dotąd nie odnosiłem wrażenia, że pociąg odjeżdżający na czas jest rzadkością.

Albo mnie ściga jakoweś fatum, albo źle się dzieje w ojczyźnie, bo od ostatniego samobójczego skoku pod lokomotywę, niegdyś przeze mnie opisanego na tych łamach, zdążyłem już skląć w duchu cały batalion samobójców, przez których zatrzymywano ruch na wiele godzin. Zawsze mnie zastanawiał ten wybór, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że decydują się na ten rodzaj pożegnania ze światem ludzie dotkliwie samotni – ich życia były światu doskonale obojętne, więc chociaż śmiercią chcą wpłynąć na jego bieg. A raczej brak biegu – bo wedle zasady domina trup pod kołami blokuje tory i generuje całą serię opóźnień, bo musi przyjechać pogotowie, policja, prokurator,

postój, spazmatyczny płacz przerażonych dzieci, nie tylko syna, któremu tatuś wcale nie zaimponował swoją nieustraszczością, ale i małych Ukraińców, którzy na podniesione głosy i panów w mundurach reagują traumatycznie.

Miałem długą podróż przed sobą, pogoda wakacyjna, byłem już na starcie znużony samą myślą o jeździe całodziennej przez tę erupcję testosteronu i złych emocji – zająłem do mapy. Znalazłem w połowie drogi miasteczko u stóp góry niewysokiej, ale wybitnej, bo wyniesionej nad niziny, w sam raz na krótką przebieżkę – co mi tam, zrobię sobie przystanek. Ostatni wolny pokój w hoteliku zająłem pod wieczór, ale jeszcze jasny, jak to w czerwcu, z widokiem na rynek, na którym trwały jakieś dziwne obrzędy. Amatorska grupa taneczna sprawiająca wrażenie skrzykniętej naprędce sumiennie trenowała prosty układ w stylu dożynkowym, w kółeczku, do muzyki ludowej (melodia chłopsko-rolna, ale stuningowana patriotyczną nutą), karnie stosując się do instrukcji wodzireja, wykrzykiwanych przez megafon. Do samej nocnej ciszy szlifowali swój układ, a potem od samego rana znowu. Po śniadaniu zagadnąłem recepcjonistkę o możliwość przechowania plecaka, żeby móc pobiec w górę na lekko.

Spojrzała na mnie przestraszona, zapytała, co tam mam w środku, a kiedy się dowiedziała, że także laptop, poprowadziła mnie na zaplecze i nakazała schować plecak pod jakimiś gratami, „żeby nie uszkodzili”, a potem dała numer, pod który mam zadzwonić, kiedy będę chciał bagaż odebrać. Już mnie natłok tych dziwności małomiasteczkowych

tak wytrącił z równowagi, że pobiegłem byle dalej, byle wyżej, byle zdążyć przed niedzielnymi tłumami na wieżę widokową, a także przed ezoterycznie usposobionymi pielgrzymami, oblegającymi miejsce mocy pod szczytem.

Kiedy wróciłem, hotel obstawiony był panami o smutnych obliczach, a wydzwoniona recepcjonistka cichcem dała mi plecak gdzieś na tyłach budynku. I nagle rozległa się znajoma melodyjka i hoża ludność wraz i wokoło ją obtańcowywała. Przybyła – i wszystko się wyjaśniło, oto premier Mateusz odwiedził Sobótkę znienacka, w przeddzień to reprezentanci ludu z łapanki ćwiczyli choreografię powitalną, zaś nie tylko obsługa hotelowa miała trzymać w ścisłej tajemnicy tę wizytę gospodarską, aby uniknąć niechcianych pytań i gwizdów, wszystko przecież ma przebiegać w atmosferze propolskiej, oznaczającej miłość do rządu i rozkoszne oszołomienie krajem, który wprost miodem i mlekiem ocieka w dobrobycie i powszechnej szczęśliwości. Z niejakim opóźnieniem, ale w końcu wprowadziło nam PiS północnokoreański model kontaktów władzy ze społeczeństwem.

W końcu wprowadziło nam PiS północnokoreański model kontaktów władzy ze społeczeństwem.

poczynić oględziny, spisać protokół, a co za tym idzie, kolejne rzesze ludzi zostają wciągnięte w lawinę odwołań, opóźnień, przeprosin, tłumaczeń – jedno samobójstwo rozpościera swoje macki na tysiące ludzkich losów, przypadki mnożą się, ktoś nie zdąży na los szczęścia, inny uniknie tragedii, wszystkim zmieniają się plany. Jeśli dobrze wybrać miejsce skoku, można zatrzymać ruch w połowie Polski, a to już, trzeba przyznać, całkiem poważny powód do pozagrobowej satysfakcji.

Zaczęły mnie jednak fascynować spóźnienia niegargantuiczne, lecz też nie małe, ot takie 40-minutowe, które już burzą plany, ale jeszcze nie dają szansy na zwrot kosztów biletu. I oto świadczyłem jednemu z nich – maszyna sunie po szynach terminowo, ludność zadowolona z siebie, bo wyłożyła pieniądze na przejazd klasy premium i dostała darmową wodę mineralną, aż tu nagle rutynowa kontrola biletów zamienia się w walkę kogutów. Pan wysportowany jechał z siedmiolatkiem bez legitymacji, konduktor zażądał dopłaty do ulgi, pan nie chciał zapłacić, bo gołym okiem widać, że dziecko w wieku szkolnym, konduktor, że zniżka jest na dokument, nie na oko, i tak od słowa do słowa aż po szarpaninę, wezwanie policji, przedłużony

w.kuczok@tygodnikprzeklad.pl

 Rozmawia Dorota Bartosewicz

Bocian, fabeńdz, czapla – jakie jeszcze duże ptaki lądowały dawniej na talerzach Polaków?

– Żuraw, drop czy np. paw, na którego przepis zamieszcza jeszcze na początku XX w. Maria Ochrowicz-Monatowa, autorka „Uniwersalnej książki kucharskiej”.

To wyjątek czy reguła?

– Margines, choć w najstarszych polskich tekstach kulinarnych pojawiają się przepisy na duże ptactwo. Ale mitem jest, że dawni możni władcy zjadali się dziczyzną, a przez to rozumiem też dzikie ptaki. To była moda, która pojawiała się raz na jakiś czas w górnych warstwach społecznych – wszystko, co dzikie, było objęte specjalnymi przywilejami albo królewskimi, albo dworskimi. Inna rzecz, że z czasem przetrzebiono duże ptaki. Najlepszym przykładem – wielki drop.

Snobizm, chęć wyróżnienia się – co jeszcze za tym stało?

– Chęć zadziwienia gości, bo duże ptaki zawsze kojarzyły się z przepychem. Do tego stopnia, że np. prawie podawano w całości, z piórami. Nierzadko na postumencie. A że była to bardzo misterna robota, nieraz w ogóle ich nie zjadano. Nadworni kucharze niejednokrotnie odsprzedawali je dalej. Na inny dwór. Zresztą zdania co do smaku tego mięsa były podzielone. Jedni uważali, że jest soczyste, delikatne i przypomina indyka, drudzy z kolei – że jest twarde i łykowate.

Na stołach gościły nie tylko duże ptaki, ale i te małe, w tym śpiewające.

– Wróbelki, skowronki, ale również np. kosy, sikorki, dzięcioły, dzierlatki, czeczotki, drozdy, kukutki czy choćby szpaki, rybitwy, turkawki i gołębie. Nie były one jednak w naszej kuchni cenione – mimo mody na zagraniczne potrawy kuchni włoskiej i francuskiej w XVI i XVII w. Obrazuje to prześmiewczy wiersz Wacława

Magdalena Kasprzyk-Chevriaux specjalizuje się w historii smaku. Autorka książki „Sztukamięs ze szlachtuza. Nieopowiedziana historia mięsa” i współautorka książki „Kaptony i szczeżuje. Opowieść o zapomnianej kuchni polskiej”.

Piąta ćwiartka

Szacunek do wszystkich części zwierzęcia? Kulinarny snobizm? Dlaczego Polacy coraz chętniej sięgają po mięsne odpadki?



MAGDALENA KASPRZYK-CHEVRIAUX

Potockiego „Bankiet włoski”. Sarmata z barokowej ucztę wydanej przez Włocha mieszkającego w Polsce wychodzi... głodny. Zamiast kapłanem w rosole, czyli tłustym kastrowanym kogutem, gospodarz karmi go pieczonymi wróbelkami. Goszczony ironizuje, że Włoch może się nimi najeść, ale Polak już nie. On musi zjeść dużo i tłusto. Ostatecznie po bankiecie nasz bohater biegnie do gospody, by zjeść stoninę w kapuście i bigos cielęcy.

Skąd w ogóle to upodobanie do „ptaszków drobnych różnych”? Tak pisano o nich w dawnych książkach kucharskich.

– Zagraniczna moda to nie wszystko. Ceniono je też ze względów religijnych. Do oświecenia wierzono, że jeśli ktoś jadł np. pieczone skowronki, to mógł się znaleźć bliżej nieba i dostąpić zbawienia. I tu ciekawostka: pieczone skowronki, choć z innych względów, jada się we Francji do dziś.

Z czasem zmieniło się jednak nie tylko myślenie magiczno-mistyczne.

– Tak! Po pierwsze, zaczęto dostrzegać znaczenie ptaków dla ekosystemu i ich rolę w tępieniu

szkodników. Po drugie, rodziło się współczucie dla zwierząt, głównie wśród mieszczan. Po trzecie, zaczęły powstawać ruchy obrony praw zwierząt. Po czwarte wreszcie, zmieniły się źródła zaopatrzenia. Do tego stopnia, że w ptakach śpiewających przestano widzieć potencjalny obiad.

Tyle ptaki, ale w grę wchodziło także jedzenie jeży, do dziś zresztą uznawanych za jadalne we Włoszech, wiewiórek...

– ...o których mawia się, że paszowały je wszystkie stany w średniowieczu i renesansie. Oraz np. bobrów, w tym ich ogonów.

Przepis na pawia podawała jeszcze na początku XX w. Maria Ochorowicz-Monatowa w „Uniwersalnej książce kucharskiej”.

Ale jak?!

– Najpierw należało go ugotować, a na końcu podawać w occie i soli, z dodatkiem czosnku i oliwy – jak głosi jedyna zachowana receptura z XVII w. Czyli dość „prostacko”, bo czosnek był przyprawą plebsu. Bogaci używali przypraw korzennych. Sprowadzanych z daleka. Drogich.

Bobrzy ogon był afrodyzjakiem?

– Nie, choć jądra bobra już tak. Podobnie jak organy płciowe zwierząt znanych z ferworu seksualnego – byków, ogierów, królików, kogutów. Z czasem asortyment środków wspomagających aktywność seksualną został zresztą powiększony o suszone jądra niedźwiedzi, wieprzy i kozłów. Przy czym były to nie tyle dania, ile lekarstwa, medykamenty, „używkki priapowe”, jak pisał o nich Zbigniew Kuchowicz w „Mitości staropolskiej”.

To dawne dzieje, ale są i takie specjały, które teraz wracają na stoły, czyli podroby.

– Zwane też piątą ćwiartką. Coraz częściej podaje się je w restauracjach, żeby wspomnieć choćby o byczych jądrach w białej czekoladzie. Głównie dla ekskluzywnych smakoszy.

Ta lista jest jednak dłuższa, bo mogą to być np. kacze ozorki czy śledziony. Dawniej nieakceptowane, teraz bardzo pożądane.

– Żeby tylko. Do tego dochodzą przecież jeszcze ogony, podniebienia, wymiona, serca, mózdzek...

...płuca, szpik, cynadry...

– ...a nawet kurze grzebienie, kuropatwiane nóżki, granelli – to jąderka młodych jagniąt i cieląt – czy choćby oczy i uszy.

Oczy i uszy?!

– Tak, sposobów na ich przyrządzenie jest kilka. Przepis na oczy gotowane w bulionie, w winie i z ziołami albo np. panierowane, z cebulą i zaprawą z ogórków, podawał Wojciech Wielądko w „Kucharzu doskonałym” z XVIII w. Jeśli chodzi o uszy – spotykane od dekady na rynku restauracyjnym – to

mogą być grillowane lub pieczone w panierce, z sosem na bazie bulionu, agrestu i posiekanej szalotki. Jako potrawka w sosie tatarskim. Z grochem. Albo panierowane z serem szwajcarskim. Wtedy już bez osusa.

Płuca – a je jak podawać?

– W bigosie, przy czym dawniej bigos niekoniecznie oznaczał danie z kapustą i różnymi rodzajami mięs, tylko siekanekę. Mógł być bigos z naleśników, ryb czy podrobów. A jeśli chodzi np. o krowie wymiona, to znalazłam na nie aż trzy przepisy, w tym na potrawkę z marchewkami. Lub w sosie z bulionu i białego wina.

Coraz częściej podaje się w restauracjach bycze jądra w białej czekoladzie.

I wszystko to teraz łąduje na naszych talerzach jako elitarne dania?!

– Oczu nie jadamy. Nigdy nie cieszyły się u nas powodzeniem. Co do zasady jednak tak – ostatnio popularne stały się również policzki. Różnych zwierząt. Wieprzowe, cielęce, wołowe. O ile tylko szefowie kuchni mogą to wszystko dostać, co wcale nie jest łatwe. Szczególnie że np. na kacze ozorki jest bardzo duże zapotrzebowanie w Chinach. Można ich jednak nadal spróbować co najmniej

w kilku restauracjach w Krakowie i Warszawie.

Czyli ponownie, jak w dawnej Polsce, przerabia się wszystkie części zwierząt? Tak, by nic się nie marnowało.

– Szefowie kuchni starają się wykorzystywać różne ich części – ale o niektóre jest bardzo trudno (w miarę łatwo o grasicę cielęcą, trudniej o śledzionę czy bycze jądra). I te, do których dziś czujemy obrzydzenie – flaki, które w wersji PRL-owskiej pozbawione zostały szafranu i parmezanu, a w wersji wykwentnej, tzw. garnuszkowej, podawane były z pulpetami. I te, które w ogóle uważamy za niejadalne – wspomniane już uszy. Te ostatnie podawane są także w formie frytek z keczupem z ogórka. Tak!

Czym tę modę na mięsne odpadki – jak mawiają niektórzy – można jeszcze tłumaczyć?

– Szacunek do wszystkich części ciała zwierzęcia – nie tylko powszechnie uznanych za jadalne, jak wątróbki, żołądki, nóżki wieprzowe – i zasada od ryjka do ogona to jedno. Dwa – to moda, kulinaryny snobizm, chęć wyróżnienia się w danej grupie społecznej. Wykwinty smakosz to głównie smakosz wielkomięjski. Jest gotowy posmakować wszystkiego. Nawet jeśli będzie to np. konina i podroby końskie. Jedzenie koniny było przez wieki tabu – uznawano, że koń przedstawia zbyt dużą wartość, ma służyć w wyprawach wojennych i pracy na roli. Poza tym to barbarzyństwo – w końcu to kuzyn kaszanki Józefa Piłsudskiego. A teraz mamy np. w Krakowie restaurację, gdzie ser-

wują m.in. tatar z koniny czy grasicę. Obok m.in. pátę z mózdzku cielęcogo, steku z przepony wołowej, ozorka wołowego i serca w glazurze.

Swoje zrobiła też francuska rewolucja kulinarna.

– Bez dwóch zdań. Moda na wykwentnie przyrządzone podroby przyszła do nas z Francji. To właśnie kuchnia znad Sekwany wyniosła na wyżyny aromatyczną grasicę cielęcą czy np. delikatne cynaderki. Nie traktowano ich już jako dodatków – u Stanisława Czernieckiego, autora ▶

► pierwszej drukowanej książki kucharskiej z II połowy XVII w., mowa jest o animelce, czyli właśnie grasicy cielęcej używanej do przyozdabiania potraw, ewentualnie jako farsz w pasztetach. Liczy się kunszt i umiejętność stworzenia pysznego dania z każdej części zwierzęcia. Do tego dochodzi przekonanie, że niemarno-

beszamel, lub takimi, do których prawidłowego przyrządzenia potrzebnych jest kilka innych sosów. Chociażby ze zredukowanego wywaru z kości cielęcych (najczęściej) albo wołowych (rzadziej), a który ma służyć do podbicia smaku sosu głównego. Każdego: czosnkowego, cytrynowego, kaparowego.

A sama moda na podroby nadal będzie się rozwijała w Polsce?

– Niewykluczone, że tak, bo smakosze mają coraz większą świadomość kulinarną, a i są coraz liczniejsi. Coraz więcej i chętniej też podróżujemy po świecie i widzimy, jak mięsne odpadki są wykorzystywane w innych kuchniach. Z drugiej strony nadal żywimy się dość ubogo, co również kształtuje nasze upodobania kulinarne. Głównie żywimy się mięsem z brojlera i tuczniaka. Kurczak i schab to nasz chleb powszedni. A jemy bardzo mało innego mięsa, w tym wołowiny. Nie wspominając już o jagnięcinie, gęsinie czy dziczyźnie. Poza tym podroby nierzadko trudno dostać.

Jeśli już...

– ...są to głównie serca, wątróbki, nóżki i fłaczki. A przecież, żeby przyszła moda na mniej znane części zwierząt, muszą one być bardziej dostępne. Na razie nic nie wskazuje, żeby coś na tym polu miało się zmienić. Dodatkowo z podrobami wciąż jest tak, że za długo były oznaką biednej kuchni, szczególnie w okresie PRL.

Moda na wykwinicie przyrządzone podroby przyszła do nas z Francji.

Nadal mamy przekonanie, że jadało je głównie wtedy, gdy brakowało mięsa i trzeba było swoje wystać w kolejkach. Bywa więc, że kurze serduszka czy wątróbki wciąż kojarzone są z czymś, co jest zamiast i nie bardzo smaczne. Może być trudno przekonać niektórych, że podroby to coś wykwinitego. Że trzeba za nie nierzadko słono zapłacić, np. 30-40 zł za grzanki z ozorkiem cielęcym. A takie niestety bywają ich ceny.

Ale mamy teraz inflację sięgającą 14% i podwyżki cen mięsa nawet o 40%.

– Dlatego niedługo może się okazać, że siłą rzeczy znów zaczniemy jeść więcej mięsnych obrzezków – tak też je nazywano. O ile wcześniej sami je przyrządzimy. I zaczną się do nich przekonywać także ci do tej pory nieprzekonani. Historia zatoczy koło.

Dorota Bartosewicz

Uszy mogą być grillowane lub pieczone w panierce, z sosem na bazie bulionu, agrestu i posiekanej szalotki.

wanie składników obowiązuje także w kuchni wyższych warstw. Poza tym francuska rewolucja kulinarna wiązała się z rozwojem sztuki rzeźniczej.

Mięso przestano dzielić na polcie i ćwiartki, a zaczęto wydzielać poszczególne jego części.

– Powstały wtedy kotlecki, polędwiczki, rostbefy, udźce, a co za tym idzie, rozwijały się sztuka i techniki kulinarne, jak to wszystko przyrządzać. Popularność zyskały świeże zioła zamiast mocnych przypraw: szafranu, pieprzu, cynamonu, imbiru, goździków. I inny sposób przygotowywania mięs – smażenie na maśle. Wszystko podawane obowiązkowo z sosami. Lekkimi. Naturalnymi, jak

Tyle historia, a gdzie teraz plasuje się Polska, jeśli chodzi o jedzenie podrobów?

– Mniej więcej pośrodku. Między Włochami, tam je wręcz uwielbiają, i Francją, gdzie do dziś jada się np. nadziewane kogucie grzebienie, a Anglią i Stanami Zjednoczonymi, gdzie sięga się głównie po wołowinę. Co ciekawe, Amerykanów nie udało się przekonać do jedzenia podrobów nawet podczas II wojny światowej, kiedy zapotrzebowanie na mięso dla amerykańskiej armii było tak duże, że poważnie zaczęto się obawiać, czy wystarczy go dla wszystkich. Powołano nawet specjalną komisję w Departamencie Obrony składającą się z naukowców, psychologów, dietetyków i socjologów, byle tylko przekonać Amerykanów do piątej ćwiartki. Wcześniej poza nielicznymi stanami, np. biedną Luizjaną, podroby nie były tam cenione. Przeprowadzono wiele badań i analiz. Ostatecznie nie zostały one jednak wykorzystane, bo wojna skończyła się wcześniej, niż zakładano, i nadeszła era prosperity. Temat stał się nieaktualny.

Kolejne lata przyniosą zmianę w tym zestawieniu?

– Trudno to przewidzieć, bo współczesne trendy kulinarne są poplątane i jest ich tak dużo, jedno zachodzą na drugie. Z jednej strony, mamy modę na prostotę, z drugiej – wykwinite eksperymenty na talerzu. Czego najlepszym dowodem jest to, co robi René Redzepi w kopenhaskiej Nomie, który przedstawił światu nową odsłonę kuchni nordyckiej, opartą na lokalnych produktach.



Deszczyca

Chyba nie było w Polsce zagranicznego ambasadora, który żegnany byłby z taką pompą. Na zakończenie misji w Polsce, długiej, ośmioletniej, przyjęli go i marszałek Sejmu, i marszałek Senatu, prześcigając się w jego komplementowaniu. Media o tym się rozpisywały i cytowały jego wypowiedzi. Andrij Deszczyca, ambasador Ukrainy, został wyniesiony do rangi gwiazdy. Kto z nim może rywalizować?

W przestrzeni medialnej funkcjonuje co najwyżej kilku ambasadorów. I to jak! Ambasador USA Mark Brzezinski przez długie tygodnie był przez rządzącą prawicę utożsamiany z jakimś zagrożeniem, bardzo się starano, wymyślano różne preteksty, żeby do Polski nie przyjechał lub przyjechał jak najpóźniej. Prawica nie chciała także, by do Polski przyjechał ambasador Niemiec Arndt Freytag von Loringhoven, któremu wypominano ojca i trzymano w szufladzie wnioski o przyznanie agrément. Z kolei przyjazdu ambasadora Rosji do Polski, Siergieja Andriejewa, nikt nie blokował, za to różne głosy się pojawiają, że powinien wyjechać.

Ale wróćmy do Deszczycy – przez te osiem lat pobytu w Polsce dał się poznać jako twardy urzędnik, zdecydowanie broniący interesów swojego kraju. Wręcz polityk.

Jego polityczne zdolności nie pojawiły się znikąd. Można rzec – określili jego karierę. Najpierw, w roku 2014, zaraz po Euromajdanie został pełniącym obowiązki ministrem spraw zagranicznych w rządzie Arsenija Jaceniuka. Nie był nim długo, już w czerwcu został odwołany, po tym jak przed ambasadą Rosji w Kijowie śpiewał kibicowską przyśpiewkę „Putin chuj!”. Bardzo tym rozeźlił szefa MSZ Rosji Siergieja Ławrowa. On sam z kolei tłumaczył, że musiał tak

śpiewać, żeby zapanować nad nacierającym na ambasadę tłumem. „Sądzę, że minister Ławrow najlepiej rozumie, że w niektórych sprawach dla ratowania stosunków dyplomatycznych między państwami stosuje się metody niedyplomatyczne”, wyjaśniał.

W każdym razie po tym wydarzeniu wystano go na ambasadora do Warszawy, jego listy uwierzytelniające przyjmował Bronisław Komorowski.

W Polsce Deszczyca też potrafił wyjść poza schematy. Na pewno będziemy go pamiętać z ostatnich miesięcy. Chociażby z apelu, który wystosował 30 maja, podczas marszu Ukraińców, który przeszedł ulicami Warszawy pod hasłem „Przyjaciele, dziękujemy!”. Deszczyca wyraził wdzięczność całemu narodowi polskiemu i zaapelował o przyznanie Polsce Pokojowej Nagrody Nobla.

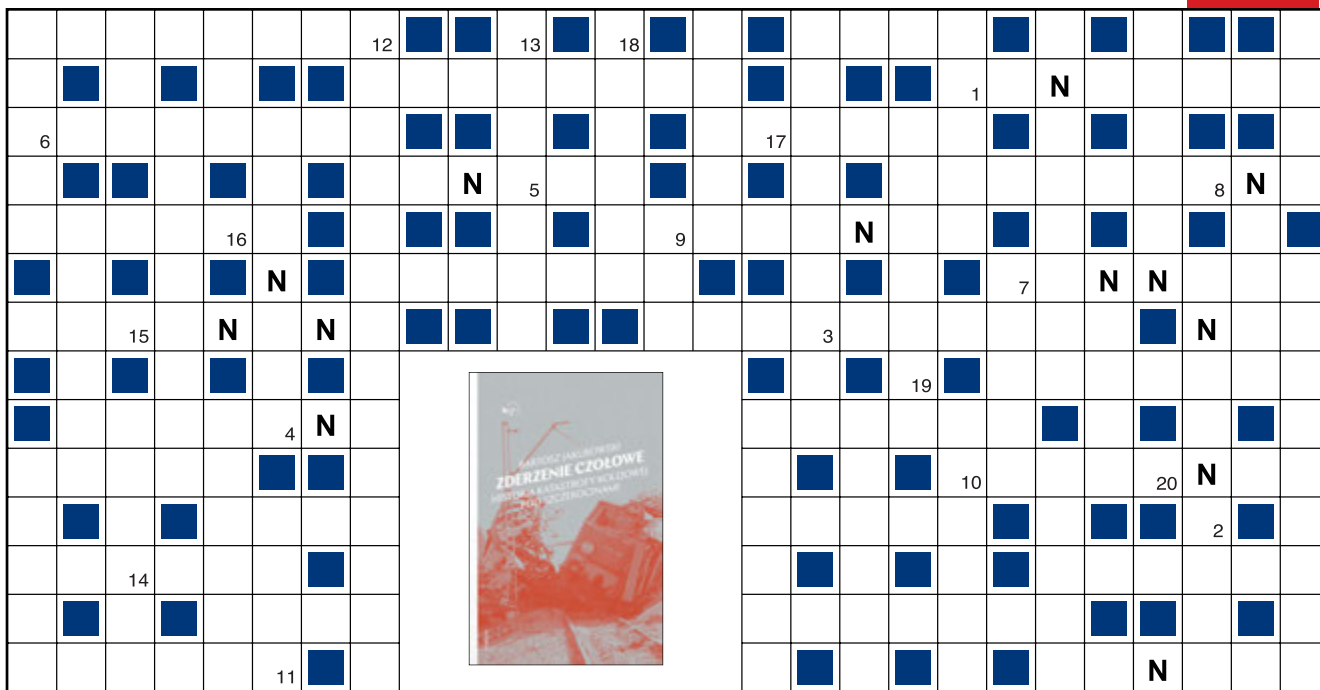
Nawiasem mówiąc, był to pomysł, który rzuciła wcześniej była ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher, tłumacząc, że w Polsce ukraińscy uciekinierzy trafiają nie do obozów dla uchodźców, ale do domów obywateli. „To mówi wszystko o polskim charakterze”, komentowała.

Co ciekawe, Deszczyca miał zakończyć swoją misję w Warszawie jeszcze przed wojną, ośmioletnie ambasadorowanie w jednym kraju rzadko przecięż się zdarza. 8 lutego prezydent Zełenski podpisał jego odwołanie. Zastąpić go miał Wasyl Zwarycz, który wcześniej był zastępcą ambasadora w Warszawie. Ale zmiana została wstrzymana, bo wybuchła wojna. W Kijowie uznano, że w tak trudnym czasie bardziej potrzebny będzie w Polsce Andrij Deszczyca. Teraz przyszedł czas realizacji wstrzymanej decyzji.

Attaché



Na bieżni zapomnijmy o zen. Zawody sportowe w Tybetańskim Buddyjskim Instytucie Teologicznym w Lhasie.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- uprawia ją Lec
- Jacek i... z dobranocki
- zalegają archiwa
- skóra bywa jak on biała i gładka
- „Markiza...”, francuski film kostiumowy
- władzy państwowej albo lustrzanka
- mąż Ginewry

- osłona chłodnicy samochodu
- z herbacianymi polami w piosence
- pseudonim Tadeusza Komorowskiego
- płynie przez Bydgoszcz
- ciąż nieprawomyślnie teksty

- pociera się o nią zapalkę
- osłania szyjki zębów
- spichrz zbożowy
- dziedzina zajmująca się chorobami wieku podeszłego
- wrzucany do urny
- stawiany przez astrologa
- zwierzęta hodowlane, dobytek
- Amman jej stolicą
- „Wyrwij murom zęby krat, zerwij...”
- mała wyścigówka bez nadwozia
- tam od listopada do grudnia mundial
- serialowa w Schwarzwaldzie
- ...Rad – Związek Radziecki
- wypadek, stłuczka

- człowiekopodobna słomiana lub z gałganek
- zamknięcie firmy jako odpowiedź na strajk
- skupisko ryb i poznańskie lotnisko
- Cześnik chciał ją strącić z gwintówki
- niestaranne rysunki, bazgroły
- ...Tuczyńskie – torfowiskowy rezerwat przyrody
- europejski... arestowania
- oswoiła słonia Kinga
- nietoperz z mroczkowatych
- sieci, w Rosji, na rosole
- zajęcie zakładu przez strajkujących
- niejeden w łańcuckiej wozowni
- serial z Barcisiem jako Czerepachem
- zwracanie nieruchomości m.in. w Warszawie

- satyryczne słuchowisko z Kmicicem, Zagłobą, Oleńką
- narzędzie rytownika
- pieczony ze śliwką – nie dla jarosza
- jeden z tzw. azjatyckich tygrysów
- ...umrzyka z pirackiej piosenki
- łądząco podobny do kogoś innego
- maszyna sprężająca do odsysania gazów
- ...ludowe: łowicki, żywiecki czy huculski
- przemieszczał się dzięki lianom
- długa i podniosła mowa
- Kmicic go podkręcał
- z niej np. chianti w Toskanii
- na drążku lub film Grega Zglinskiego
- drogowy albo losowy
- zagięcia, zakręty, wneki
- tama, przeszkoda
- łowna gruba lub drobna
- dobry... – nie pożyczaj

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1070”. Do rozlosowania książki „Zderzenie czołowe” ufundowane przez Krytykę Polityczną. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 czerwca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1067” z nr. 23: *Życie ciekawsze niż film.*

Nagrody otrzymują: Stanisław Majda z Bydgoszczy, Barbara Słowińska-Chojnacka z Motylewa, Maria Szacht z Lublina.

PENETRACJE

odra

**PROF. ADAM
CHMIELEWSKI,**
FILOZOF

Pokój na świecie jest możliwy pod warunkiem funkcjonalnego porządku politycznego w Rosji. Rosja, w której nie ma porządku, nie jest potrzebna ani Rosjanom, ani nikomu innemu. Tym, którzy chcą rozpadu Rosji, warto przypomnieć trzy rzeczy. Pierwsza to ta, że rozpad imperiów nigdy nie odbywał się bezkrwawo. Po drugie, względna stabilność jest jedną z najcenniejszych walut politycznych. Po trzecie zaś, należy pamiętać, że w przeciwieństwie do innych imperium chińskie, zdystansowany sojusznik Rosji, nadal trzyma się mocno.

RES HUMANA

STEFAN DUDRA,
POLITOLOG I HISTORYK

W ramach Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego (PAKP) prowadzi działalność 260 parafii (71 w diecezji warszawsko-bielskiej, 57 w białostocko-gdańskiej, 44 we wrocławsko-szczecińskiej, 31 w lubelsko-chełmskiej, 12 w łódzko-poznańskiej, 26 w przemysko-gorlickiej, 7 w Prawosławnym Ordynariacie WP oraz jedna parafia w Brukseli i 11 w diecezji Rio de Janeiro i Olinda-Recife). Współcześnie wiele parafii prawosławnych, szczególnie na ziemiach zachodnich i północnych, w wyniku powojennych przesiedleń i późniejszych migracji ludności ma charakter wielonarodowościowy. Tworzą je: Ukraińcy, Białorusini, Łemkowie, Polacy, Rosjanie, Grecy, Macedończycy i Asyryjczycy.

zwierciadło **SZCZEPAN
TWARDOCH,**
PISARZ

Skąd się wzięły szyte na miarę garnitury i marynarki? Stąd, że całe życie muszą innym coś udowadniać. Ludzie z jakichś tam starych rodzin o dużym, odziedziczonym kapitale kulturowym mogą się ubierać jak szmaciarze, stać ich na to. Mnie nie. Jest taka anegdotka o Kossakach. Stary Kossak wraca do domu dorozką z rautu. Dorozka w końcu dojeżdża na miejsce, Kossak płaci i nie zostawia napiwku. Dorozkarz pyta rozczarowany: „Jak to tak, wielmożny panie, wczoraj ze mną jechał syn wielmożnego pana i zostawił mi bardzo duży napiwek”. Na co Kossak: „Wiesz, dobry człowieku, on może, bo ma bogatego ojca, a ja jestem sierotą”.

PANI **EWA BEM,**
WOKALISTKA
JAZZOWA

Mój mąż jest najbardziej troskliwym mężczyzną, jakiego znam. Jesteśmy 42 lata razem. Z drobniutkiej, śliczniutkiej dziewczyny stałam się rozłożystą panią w starszym wieku. On mi posiwiiał, a oczy straciły nieco blask. Ale dla nas nie ma to znaczenia. Wciąż biją w nas gorące serca. Ryszard zna się na wszystkim. Ma gigantyczną wiedzę i stale ją uzupełnia. Imponuje mi niezmiennie. Pozwala mi być kobietą pod opieką męża. Finansową i wszelką. Kto u nas rządzi? Raczej ja!

Aby język giętki...

**PROF. ALEKSANDER KRAWCZUK
O SETNYCH URODZINACH**

Popełniłem sporo głupot, ale miałem też niewiarygodne szczęście, że dożyłem tego wieku.

**KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ
O TADEUSZU KONWICKIM**

Kiedyś w „Czytelniku” podszedł do mnie i powiedział: „Cieszę się, że jest teraz w naszym kraju dwóch Kresowiaków”. Pił do naszej melancholijnej natury.

**KAROLINA GRUSZKA
O BOJKOCIE KLASYKÓW**

Piętnując wszystko, co rosyjskie, tylko za to, że jest rosyjskie, wpisujemy się w retorykę konfliktów, którymi karmi się wojna.

PROF. JERZY BRALCZYK O ŻARTACH

Gorsze od żartowania z nas być może byłoby niezauważanie nas.

PABLOPAVO O KIBICOWANIU

Można zmienić religię, małżonkę, obywatelstwo, ale klubu, któremu się kibicuje od lat, zmienić się nie da.

JOHN PORTER O POLAKACH

Lubię wasz temperament, który sprawia, że nigdy do końca nie wiadomo, co zrobicie.

MARIAN PILOT O SIEDLIKOWIE

Myśmy nie mieli koni. Oraliliśmy, woziliśmy kartofle i gnój krowami.

MAGDALENA CIELECKA O ZWIĄZKACH

Miałam związek, o który długo walczyłam, aż stwierdziliśmy, że wyczerpaliśmy wszystkie możliwości porozumienia się, i się pożegnaliśmy.

RYSZARD SIBILSKI O EWIE BEM

Kto rządzi w domu? Ja staram się być sprytny, podsuwam Ewie rozwiązania, tak by zaakceptowała jak własne.

ANNA DZIEWIT-MELLER O DZIECIACH

Jeżeli moje dzieci będą chciały kiedyś wyznawać jakąś religię, przyjmę to z godnością, ale własnoręcznie na tę minę ich nie wsadzę.



Tajwańczyk Jerry Huang z pupilami. Jerry jest miłośnikiem ryb i wynalazcą wózka, w którym wyprowadza je na spacer.



Proboszcz, czyli menedżer

Od października na Uniwersytecie Ekonomicznym w Katowicach będzie można studiować zarządzanie... parafią. Lista przedmiotów na tym podyplomowym kierunku zawiera m.in. zarządzanie nieruchomościami, marketing, wykorzystanie mediów społecznościowych oraz psychologiczne aspekty procesów zarządczych. Uczelnia obiecuje, że studenci będą m.in. „realizowali zadania projektowe, pozwalające na wypracowanie umiejętności spojrzenia na parafię przez pryzmat zachodzących w niej różnorodnych procesów zarządczych”. Zjazdy zaplanowano na czwartki i piątki, by było możliwe łączenie nauki z pracą duszpasterską. Koszt studiów: 4 tys. zł. Chyba nie myśleliście, że „co łaska”?

Coś ty, kotku, zdał?

Studia ma już za sobą półtoraroczną pręgowaną kotka o imieniu Suki, która nieformalnie ukończyła Uniwersytet Teksasu w Austin. Zwierzak towarzyszył właścicielce, Francesce Bourdier, we wszystkich zdalnych zajęciach, więc uznała ona, że nie może go zabraknąć na ceremonii wręczenia dyplomów. Suki otrzymała od niej własną togę i biret, a wspólne zdjęcie absolwentek spotkało się w mediach społecznościowych z licznymi gratulacjami, w tym od uczelni. Suki, jeśli myślisz o podyplomowce, ciekawy kierunek wkrótce rusza na Śląsku!

Łudziła się, że wyłudzi

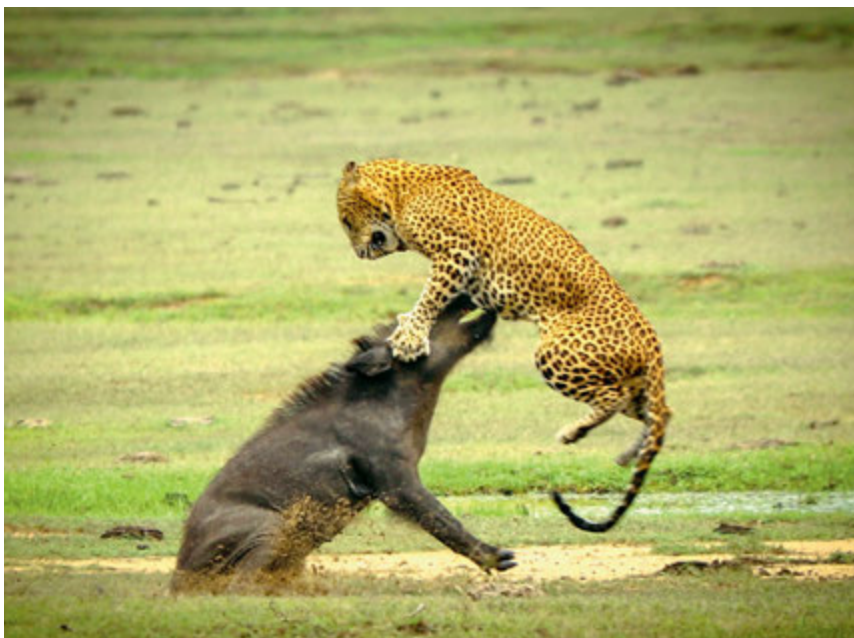
Tymczasem w stolicy Mazowsza 48-latką w postarzącym makijażu udawała 85-latkę, by przejść przeszło 100-metrowe mieszkanie w centrum. Kobieta przyszła do jednej z kancelarii notarialnych, podała się za właścicielkę lokum i chciała podpisać pełnomocnictwo uprawniające inną osobę do jego zbycia. W okazanym przez nią dowodzie osobistym zgadzały się dane, w tym seria i numer, ale nie zdjęcie, które różniło się od figurującego w rejestrze. Wątpliwości notariusza wzbudził jednak przede wszystkim podejrzanie młody wygląd seniorki, dlatego wezwał policję, która zatrzymała oszustkę. Może liczyła, że zadziała zasada: „kobiecie wieku się nie wypomina”?

Bandyta zmiennym jest

Niepowodzeniem zakończyła się także maskarada w Paragwaju – tam znany gangster usiłował zbiec z więzienia przebrany za kobietę. Prywatne widzenie 36-letniego Césara Ortíza z damą o podobnej posturze zakończyło się opuszczeniem przez niego zakładu karnego w ciemnej peruce, bluzce i spódnicy, w makijażu, z pomalowanymi paznokciami i doczepionymi sztucznymi rzęsami. Strażnicy dali się nabrać (lub udali, że się dali), jednak kierownictwo paki szybko się zorientowało, że doszło do ucieczki, i zaalarmowało policję, która złapała Ortíza zaledwie kilka przecznic od miejsca odosobnienia. Gdyby znał klasykę polskiej komedii, mógłby zakrzyknąć: „Niech żyją mężczyźni! Jutro znowu wam ucieknę!”.

Dziewięć wieków i wystarczy

Czyżby Moskwa przestała istnieć? W sieci krąży dokument rzekomo wydany przez władze stolicy Ukrainy,



Lamparci skok na dzika w Parku Narodowym Kumana na Sri Lance.

zatytułowany „O przywróceniu sprawiedliwości historycznej i naprawieniu błędów byłych wyższych urzędników miasta Kijowa”, którego treść unieważnia dekret Jerzego Dołgorukiego z 1147 r. o założeniu Moskwy. Na takie dictum nic nie poradziłby nawet sam Iwan Groźny!

Roboręka? Jedna piąta już jest

– Stworzyliśmy działający palec robota, który porusza się podobnie do ludzkiego i jest pokryty rodzajem sztucznej skóry, która potrafi się regenerować – poinformował prof. Shoji Takeuchi z Uniwersytetu Tokijskiego. – W przyszłości zamierzamy opracować jeszcze bardziej zaawansowane wersje naszego pomysłu, odtwarzając niektóre elementy żywej skóry, takie jak komórki receptorowe, mieszki włosowe czy gruczoły potowe – zapowiedział. Trzymamy kciuki!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew.** 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,
Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumitowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaboriski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Gluska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Ja i pejzaż, 1930



Wyścig, 1930

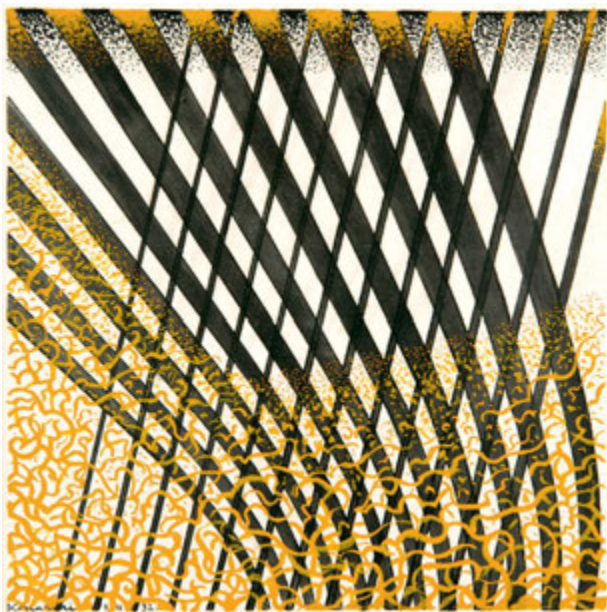
Marzyn z Krzeszowic

W Galerii Miejskiej we Wrocławiu czynna jest wystawa prac Mariana Konarskiego (1909-1998), który przed wojną związał się z założonym przez Stanisława Szukalskiego Szczepem Rogate Serce i przyjął pseudonim „Marzyn z Krzeszowic”. Za poparcie Szukalskiego został po roku relegowany z krakowskiej ASP, a w 1938 r., nie mogąc znieść artystycznej koftunerii krakowskiej, wyprowadził się do oddalonych o 25 km Krzeszowic, gdzie do końca życia samotnie tworzył i przeczekał wszystkie modne kierunki artystyczne.

Na wystawie można zobaczyć m.in. wykonane w 1943 r. rysunki pomnika ofiar Auschwitz. To jedyny znany projekt upamiętnienia ofiar obozu powstały w czasie wojny. Projekty te znajdują się w archiwum rodzinnym artysty. Z kolei reprodukowane obrazy pochodzą ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Toruniu.



Pomnik dla Oświęcimia, 1943



Szum, 1930

Marian Konarski 1909-1998
Galeria Miejska we Wrocławiu
ul. Kiełbaśnicza 28

do 30 czerwca

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Orlando. Biografie

reż. Agnieszka Błońska

premiera: 25 czerwca 2022 r.

kolejne pokazy: 26, 28, 29 i 30.06

Spektakl na podstawie powieści „Orlando” Virginii Woolf (1928) oraz filmu w reż. Sally Potter (1992). Twórczynie i twórcy próbują zmierzyć się z zakłopotaniem, niechęcią i nienawiścią wobec inności. W podróży przez wieki, życiorysy, a także doświadczenia zaproszonych do projektu artystów cisplciowych oraz określających się jako osoby trans – i niebinarne, pytają: czy naprawdę

bycie inną/innym jest tak rzadkie, jak nam się wydaje? Może każda z nas jest w jakiś sposób inna?

Czy innością nie jest każda transformacja i przemiana, jaką przechodzimy w życiu?

Czy binarne podziały są odpowiedzią na dzisiejsze zagrożenia? A może w inności kryje się obietnica zabawy, rewolucji oraz... nowego, lepszego porządku i świata?

SERGIO CASTELLITTO

(„WIELKI BŁĘKIT”, „SPRZEDAWCA MARZEŃ”, „OPOWIEŚCI Z NARNII”)

BÉRÉNICE BEJO

(„MAŁE SZCZĘŚCIA”, „SŁODKICH SNÓW”, „ARTYSTA”)

Księgarnia w Paryżu

WZRUSZAJĄCA ROMANTYCZNA OPowieść
O ŻYCIOWYCH NIESPODZIANKACH

W KINACH OD 24 CZERWCA

